





610860

RUDOLF
CZEKANOWSKI

CZYLI
DWIE TATARKI.

POWIEŚĆ Z POCZĄTKU OŚMNASTEGO WIEKU.

NAPISAŁ

J. DOBIDAŃOWICZ.

TOM I.

WARSZAWA,
W Drukarni J. OLECKI,
ULICA BIELAŃSKA, W DOMU G. SENNEWALD, N 595

1845.



Biblioteka Główna
Uniwersytetu Gdańskiego



1100529351

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby exemplarzy.

w Warszawie d. 8 (20) Maja 1845 r.

Cenzor **Niezabitowski.**



1319248

115/24/86

400

DWIE TATARKI.

I.

WYBACZ.

Eh!... jeźliście kiedy byli w Litwie, musieliście być przecie tyle ciekawymi, żeście raczyli spojrzeć na zwaliska starego zamczyska, którego czerwonawe, zbrudzone wiekami ruiny, jeszcze dotąd zdają się być dumnemi, i mieścić w sobie moc dawania rozkazów, jakim każdy Litwin z radością się poddawał.— Mówię tu o Trockiem książęcém pomieszkaniu, zapewne

Nie ociągaj się przeto, rodaku, pływamy, — na Trockiej wyspie nie raz byłem prawdziwie myślą szczęśliwym. Tak tam błogo, spokojnie, tak lubo dla serca, że murawa zielona, wabi w swe objęcia, a rozłaczając wonność polnych kwieci, balsamiczném tchnieniem przyrody napawa powietrze — powietrze czyste, niezarażone wadami miast wielkich, w łonie swoim noszące niewinność dziewczącą, miłość macierzyńską, wielkość poświęceń męskiego wieku, i cichość skolatanego cierpieniami życia starca.

Spojrzyj po za ten tatarak — piękna, kwiecista murawa, dalej drzewa — krzaki, — dalej krzewy kraśnej szupszyny — a za nią, Boże mój...

Na odłamie spruchniałego muru, wilgotna, zielonawa pleśń mchowa porastała, przez okna ukośnie strzelał promień złocisto-czerwonawego za-

chodniego słońca, odbijający się o karbujące się lekkie fale jeziora, poruszane łagodnym wietrzykiem; słowik śpiewał piosnkę swą lubą, pies wierny ocierał się głową o strzeleckie moje bity, opodal za mną szary namiot, obok niego tlejące zarzewie przygasłego ogniska, — rozwieszone siecie, i gwar rozmowy rybackiej.

Zapuściłem się wgłąb zamku, przedzieralem się przez zwaliska i nieraz noga moja usunęła się w nicość pracy ludzkiej ręki i rozumu — smętno mi się robiło, — głos jakiś wewnętrzny kazał mi przykłęknąć i schylić koronę czoła ku ziemi; — kiedy powstałem, skryło się już słońce, a gdy wróciłem do łodzi, szarawe światło zastąpiło jasność dnia pogodnego.

Dawno, o! bardzo dawno, na tym samym brzegu, wówczas jeszcze, gdy stary pan Litwy, zamek, nie wskazy-

wał przyszłego swego zniszczenia, na umajonym brzegu, tak jak dzisiaj, rozbity był z szarego płótna rybacki namiot. Pośród talaraku, przy pobrzeżu rosnącego, stały dwie krypy, na ich rufach leżały siecie; wiosła, na krzyż poskładane, i myśliwskie torby rozrzucone były na dnach statku, — z pod sieci wyglądała lufa tatarskiej broni. Przed szalaszem leżał rozciągnięty mężczyzna, — nie Tatar, zjada bowiem ostatek wędliny i nie modli się do dwórożnego księżycy, tak jak to czyni czterech innych, których czerwone mycki widać z pomiędzy gałęzi. — Było jeszcze trzech towarzyszy, ale ci spali w namiocie, tak mało zajmowała ich wyprawa zamierzona i jej niebezpieczeństwa, że mogli spoczywać na kilka chwil przed dokonaniem czynu, który albo ich samych, albo kogoś innego życie kosztować może.

Musieli to być czystego pokolenia dzieci téj ziemi!

— Gdzie on się zadział? — rzekł do siebie Szafranowicz, — juścić z Szwedami złączyć się nie musiał... Biedny chłopak, los kazał mu rzucić dom zmarłej matki i siecie, przy których można tylko prawdziwie być szczęśliwym... Ciekawym, czyli znajdziemy Missallę... To łotr...

— Szafranowicz! — zawołał jeden z nadchodzących Tatarów, — czas!

— Nie tak skoro, niech noc zapadnie. Oby Bóg dał nam burzę; bezpieczniej byłoby, niktby nie podpatrzył.

— Pamiętacie burzę? — mówił Tatar do towarzyszy swoich, — on chce burzy... Szafranowicz, zdaje mi się, że większej burzy nad tę, jaka wstrząsa duszą moją, w żywiole życzyć sobie nie możemy?

— Nie zgadzam się... i powiadam,

że potrzebna nawałnica. Właśnie uspokoiłaby ona twoje oczekiwanie, twoje wzruszenie... do naszego dzieła konieczną jest spokojność i krew zimna.

— I lufa gorąca.

— Bez tego może się obejść... Bóg dobry... nie zawsze przeznacza nam użycie gwałtownych środków.

— Ale tutaj, przecież się sposobimy na to.

— Prawda... czyli jednakże koniecznie siłą broni mamy się rozprawiać. Stary pijak nie będzie opornym, młody nie odważny.

— Nie odważny?

— Tak, powtarzam, że nie mężny. Kto zbrojno napada na kobiety, nie postawi mężowi czoła... Wierz mi Sulejmanie... jam doświadczony i wiem co mówię.

— Jednakże są dworscy.

— Dworscy... czy wiele rachować

możesz na wolu zaprzęgniętego w jarzmo?... jeżeli go niedopilnujesz i nie pogonisz, położy się w bruździe.... Służących można porównać z wółami, co mówię, gorsi jeszcze, zdradzają cię prędzej niż ktokolwiek inny, dla tego tylko, że śpią pod twoim dachem i twój chleb pożywają.

— Coś kochany Szafranowicz — przerwał Ben-Ani — za wiele dziś mówisz;... więcej jak zawsze;... widać chce się pozbyć myśli, które go dręczą bezwątpienia.

— Znasz serce, Beni Ana — odparł Szafranowicz, nasuwając na oczy czapkę — myśli mnie dręczą, a jednak bez tych myśli żyć niechciałbym.

— Anas niecierpliwi chmura, — przemówił Jussow, — która jak nieruchoma góra stanęła na zachodzie, i nie posuwa się na wschód.... Zaćmilaby księżyc.

— Nie wiele on nam zaszkodzi... w nowiu... — obojętnie uczynił uwagę Litwin.

— Zimnyś, gorący współziomku — mówił Sulejman, — serce ojca boli... brata Hassana oko ogniem błyska, Jusow i Beni-Ana niecierpliwią się... twoi śpią... ty rozprawiasz.

— Przebudzę ich wkrótce, trzeba żeby się najedli i fajki wypalili. Cóż ich obchodzić może, że w услudze przyjacielskiej, kula pierś któremu przeszyje. Prawdę ci mówię, Sulejmanie, nie zbywa im na odwadze, śmierć z światem dnia, czyli też z całunem nocy nastąpi... zawsze nie minie.... Z resztą, żarty; rybak Trocki szydzi z burzy, z piekła; śmiało zapuszcza sieć i nie mniej w potrzebie pociągnie cyngiel.

— I nam na męztwie nie zbywa — dumnie zawołał Hassan.

— Szafranowicz temu nie przeczy.

u was żar południa duszę i ciało trawi... u nas, chociaż ogień ciało ogarnie, dusza spokojna...

— Jesteście skryci.

— Jak ci się podoba... dobrze nam z tym, i na cóż się o więcej kłopotać.

— Nie widziałem cię nigdy tak spokojnym.

— Bom się nigdy z wami na śmierć nie wybierał.

— Szydzisz.

— Być może.

— To wada waszego narodu.

— Jeżeli tylko ta jedna, to przebaczyć nam ją chcecie.

— Muszę cię koniecznie w zapal wprowadzić — rażno przerwał Hassan, — dotykamy cię z najsłabszej strony.

— Odlóż to na czas inny; — dzisiaj wiatr chłodny oziębł piersi moje.

— Powiedz raczej, bojaźń.

— Niech i tak będzie.

— Aleć to hańba; niesłychana sromota!

— Prawda, jednak was nie opuszczę, i pamiętaj Hassanie, iżbym zażrzewać cię nie potrzebował.

— Na waszego Bożka Perkuna! już nie wiem jak na cię uderzyć!

— Jak ci się podoba.

— Drugi raz słyszę podobną odpowiedź...

— Możesz i trzeci jeszcze otrzymać.

— Na Allaha... cyt... błyska coś z krzaków.

— Nie lękaj się Hassanie, to pewno świętojanka.

— Ja się nie obawiam światła, ale lękam się wykrycia naszego zamiaru... pójdźmy.

— Zatrzymajcie się... sam pójdę.

Szafranowicz podniósł się z ziemi, przeciągnął, zawinął w płaszcz z sa-

modziału i poszedł w stronę, gdzie światelko jaśniało. Noc była zupełna.

— On nas zdradzi, — szepnął cicho Hassan.

— Hassanie! co mówisz? jak możesz być podejrzliwym potwarcią, — przerwał Sulejman, a oczy jego błyszczały, jak dwie rozpalone główne, — zapomniałeś żeśmy winni mu życie; że on tak dzielnie bronił sprawy Rudolfa... a czyliż nieszczęście moje, nie było zarodkiem jego niedoli!

— Przebaczcie mi... ale otóż i Szafanowicz wraca.

Rybak niósł w rękę światło, było to zmurszałe drzewo; chimura okryła nieboskłon; ciemność zupełna otaczała wyspę. Rozbudzono śpiących i wolno zbliżono się do łodzi. Na rufach zasiedli rybacy, i spożyli skromną wieczerzę: po kawałku chleba i séra; potem nałożyli krótkie fajeczki, skrzesałi

ognia, i woń tytoniu otoczyła ich i ciągnęła się śladem łodzi, zwolna odsuwających się od brzegu.

Plusk wiosel zmieszał się z piosenką, gwizdaną przez Szafranowicza; czerwone ogniska otwartych fajek lyskały jak dalekie gwiazdki, wiodące kroki pełnego nadziei wędrownika. Wiosła oparły się o krawędzie *Żelaznego* mostu, w którym nie dojrysz metalowego gwoźdźdza, a później znowu jednotonne, miarowe uderzenia powtarzać zaczęły. Skonał poświst litewskiej nóty, a miejsce jego zastąpił wiatr, podnoszący wody jeziora, i uderzający ich falami w ściany rybackich czółen.

Wkrótce przybili do przeciwległego brzegu, uwiązali statki i weszli do chaty węglarza, do której blask płonącego luczywa, wiódł ich kroki.

II.

DEFAKTO.

Na Allaha, — mówił pozostały na dworze Beni-Ana do Jussufa, — dzieci tej ziemi nie są jeszcze zepsutemi... i... lecz zamilcz, o kochany przyjacielu, Bóg chrześcijan jest wielki... równy a może większy od proroka.

— Jakże możesz porównywać proroka z Bogiem. Bóg jeden włada światem... tylko że my, biedni ludzie, w mniemaniach religijnych swoich, różnym go być sędzimy; ale wyznam



ci szczerą prawdę, Beni-Ana, że młodzińcem będąc, wówczas, kiedy krew żywo i potoczyście przepływała żyły, kiedy serce drgało na odgłos miłosnych zwrotek... pokochałem chrześcijankę.... pamiętasz zapewne, jak często znikalem z domu!

— Przypominam.

— Byłem kochany, nie pogardziła krwią tatarską czuła Litwinka, a gdy jej powiedziałem, że m wyznawca koranu, posępiła się i zapytała mnie, czy porównywałem ewangelję z księgą wielkiego proroka. Odebrawszy przeczącą odpowiedź, prosiła, abym ją obeznał z zasadami koranu, za co ona mnie także z dogmatami swęj wiary poznać obiecała... upłynął rok.... o czemże myślisz, Beni-Ana?

— Słucham?

— Upłynął rok, a ja zamiast wstętu, z uwielbianiem spoglądałem na

krzyże, na znamiona chrześcijańskiej wiary.... Możebym nawet... ale nie. Nastąpiła wojna... długa i okrutna.

— Ach, niezapomniałem jej jeszcze.

— Zawiesilem na piersiach dane mi przez kochankę amulety; walczyłem, narażałem się, lecz ani żelazo, ani olów nie szarpał mego ciała.... Odłąd, wierzę że Mahomet był wielkim prorokiem, ale jestem zupełnie przekonany, iż Chrystus był synem Boga.

— Dalej, dalej, — zawołało kilku wychodzących z węglarskiej chaty mężczyzn.

— Gdzież konie?

— Tu, tu pójdźcie — wołał Jan, syn węglarza, a pordzewiała szwedzka szablica szczekała o konary drzew i trącała biodra jego.

Spojrzyjcie... Las gęsty i zawsze ponury, noc ciemna, księżyc z poza chmur słabem i bladym przeziera

światelkiem; za chatą węglarza, głębiej w las, błyskała luna pożaru, odbijająca się czerwoną smugą przez szerokie jezioro.... To węgle palą... Wspaniały widok, uroczy obraz... z daleka;... z bliska, przykry, znoyny, niesławny i niekorzystny. Tak to, zazdrościliśmy często temu, czego nieposiadamy, a skoro osiągniemy, pragnęlibyśmy wrocić w to samo miejsce, z którego tylko zewnętrzne odzianie przedmiotu widzieliśmy. Około płonącego stosu ognia stało kilku ludzi, tak potrzeba działać nakazywała. Węglarz z czeladzią w domu, syn jego przewodnikiem obrońcom niewinności.

Nie długo potem po wąskiej ścieżce, której nigdy podkowa końska nie uderzyła, biegło rzędem gęsim dziewięć rumaków, każdy z zbrojnym na grzbiecie jeźdźcem; jeźdźcem chcącym okiem przejrzeć ciemności nocy

i mężką ręką dzierżącym kulą nadzia-
ną flintę.... Czterech Tatarów, pięciu
Litwinów, to dostateczna liczba do do-
konania zemsty, albo upomnienie się
o własny honor. Nie potępiajcie ich
przedwcześnie i bądźcie cierpliwi;
może przyznacie potem, że nie tak
dalece drożnego nie uczynili.

Wyjeżdżając z Trok, po nad brze-
giem jeziora, jest droga, zapuszczają-
ca się potem w gęsty las. Droga ta
dzisiaj nie jest najlepszą, co mówię,
nawet dobrą nazwać się nie może,
jaka była przed stu czterdziestu laty,
łatwo się domyślicie; w wielu miej-
scach zawałiska tamowały przejazd,
a pieszy podróżnik musiał zdejmować
bóty, a czasem i co więcej, aby nie
utonać w kałużach błota, rzadko kie-
dy wysychającego.

Droga ta w pewnych miejscach
dzieli się, i ramionami swemi sięga

dworów, albo wiosek; zaścianków szlacheckich, lub też pojedynczych domostw węglarzy, leśników lub smolarzy. Niektórzy z tych ostatnich wydeptali ścieżki do brzegów jeziora, z kąd łódkami dojeżdżali do miasteczka, a przezto i większą wygodę mieli i czasu oszczędzali; inni, mniej dbali, kierowali swe kroki do *traktu*, na miano nędznego *manowcu* niezasługującego.

Tą to drogą udać się musimy, jeżeli zechcemy zapoznać się z domem Zabohoskich, a poznać go koniecznie nam trzeba, już dla tego, że syn ich ma udział w opowiadaniu się mianych wypadkach, już dla obejrzenia okolicy w jakiej jest położony; tak bowiem jest wabną i czarującą, iż nieżałuję nóg nigdy na jej odwiedzenie, ile razy znajduje się wzgrzybiałych wielowieczkach Trokach.

Z ciemnego, gęstego lasu, zawa-
lonego drzewem starością lub burzą
zniszczonego, u podnóża wzgórków,
okrytych zaroślami, rozwija się widok
na rozległą płaszczyznę, zamkniętą
z wszech stron borem. Mała rzeczka,
z czystą wodą, przerzyna ją wężyko-
wało, po obu jej brzegach kwieciste,
woniejące łąki rozpościerają się i do
koła otaczają pagórek, wyniesiony na-
turą z łona doliny. Na tym to pagórku
wznoszą się białe zabudowania Zabo-
hskich dworcu; przystęp do nich
nie łatwy, wszędzie bowiem, gdziebyś
się chciał przedrzeć, znajdziesz sze-
roki wydarniowany rów, napelniony
wodą użytecznej rzeczki; za rowem
gęsty równocięty żywopłot cierniowy,
a za nim jeszcze przykop wysoki, za-
sadzony owocowymi drzewami, pod
których cieniem mnóstwo pracowitych
pszczołek stoi domków; za tą ostatnią

dopiero zaporą, napotkasz budowle, porządnie utrzymane, w kwadrat ustawione, dachówką kryte. Na gołębniku, blaszanna, czerwono pomalowana chorągiewka, zastępuje przepowiadacza zmiany powietrza, a w środku dziedzińca kłębów kwitnących, roznosi woń aromatyczną po całej spokojnej szlacheckiej siedzibie, z pozoru na pewny rodzaj warowni wyglądającej, z tą różnicą, że w miejsce błyszczących paszcz działowych i budek strażniczych, na kątach wyskakujących sterczały krzyże, stróże duszy; a przy gustomnie i mocno zbudowanym moście, jedyném wejściu do tego ustronia, przy rowie, leżało kilka kup nagromadzonych *tłoką* kamieni.

W oddaleniu, w stronie równoległej miejscu, z którego otwiera się widok opisywany, wśród wyniosłych drzew, ukazuje się naga góra, mchem bia-

łym porosła, na której widać ruiny małej kapliczki; — fronton jej, oszczędzony wieloletniwym czasem, był jeszcze nie uszkodzony, a na szczycie swoim miał utkwiony krzyżyk, pochylony w lewą stronę uderzeniem piorunu. Na prawej stronie, na wynioślejszej jeszcze przestrzeni, rozrzucone były chatki wioski S***, pomiędzy którymi pas biały piaszczystej drogi dawał się widzieć.

Zabohoscy, oboje nie młodzi, oboje skąpi nadzwyczajnie, nie wydalali się nigdzie dalej nad obręb powiatu, i tak byli szczęśliwi, tak zawsze weseli, że mało a nawet nie nieobchodziło ich nieszczęście sąsiada, lub krewnego; o przyjaciółach nie wspominam, bo nietowarzyska szlachta z nikim stosunków podobnych nie miała.

Jedyny spadkobierca, synaczek, wychowany był z wszelką troskliwością,

Umiał celnie strzelać, dosiadał nieujędzonych koni, pił za siebie i za rodziców, a nawet, po sześćcioletnim pobycie w jezuickich szkołach, nauczył się dobrze czytać, nieźle pisać i rachować. Ojciec pysznił się tak uzdolnionym potomkiem, chociaż ksiądz prefekt twierdził zawsze, że nieuk i niepotem chłopiec, że szkoda wyłożonych kosztów i straconego czasu, słowem, ksiądz prefekt był przeciwko Edziowi uprzedzonym i tylko z surowości charakteru swego, tak ostro wyrażał się o młodym, ładnym, wysokiego wzrostu, a wyższych jeszcze, jak już przekonaliśmy się, umysłowych zdolnościach młodzińcu.

Wszędzie napotykałyśmy przeciwności. Edward doświadczał jej w szkołach, doznał także od rodziców panny Barbary, sąsiadów, do których, nieszczęście mieć chciało, jks. pre-

sekt przyjeżdżał na wakacje. On to swoją wymową przekształcił umysły i wyjednał konkurentowi *odkosza*.

Po tak niezasłużonej odprawie, biedny Edward, umyślił z rozpacz, hułać ile możności, a poczciwi małżonkowie Zaboloscy, nie żalowali synakowi krwawo uzbieranego grosika, dla rozpędzenia melancholji, która zapewne byłaby jedynaka do grobu wtrąciła.

Z swobodną duszą a smutkiem na ustach, Edward ładował pieniędzmi kieszenie, a dosiadłszy konia, biegł po powiecie szukać przyjaciół, jednych myśli, uczuć i wrażeń.

Znalazł jednego. Niewiele starszy od niego wiekiem, podzielał wszelkie jego zdania, dla tego, że Edward otwarty miał dla przyjaciela swego worek. Przy takich zobopólnych poświęceniach się, dziwić się nie można, że przyjaźń była szczera i pra-

wdziwie otwartą, że poufalość była zupełna i że jeden przez drugiego wysadzali się, na wyświadczenie wzajemnych sobie przyjemności.

Tym węzłem zjednoczone serca Edwarda i Józefa, tchnęły jednym powietrzem, rządziły się jednemi myślami; — uczucia kierowane swawolną ręką, dążyły do jednego celu, i gdyby matka Józefa, była tak hojną względem niego, jakimi byli Zabohosczy dla Edwarda, możeby ośmielono się zaręczyć starej, żebracki kęsek chleba na wiek zgrzybiały.

Rzadko bardzo Edward nocował w domu; polowania zabierały mu wszystkie czas, jaki od koniecznego spoczynku pozostawał.

I teraz, lubo nie na polowaniu, jednakże nie znajdował się w pięknym dworku rodzicielskim. Jakaś tajemnica wywołała go równo z świtem. Noc

była zupełną i czeladź gasiła łuczywo, a rumak jego nie zadzwonił dziańską podkową po mostku, nie zarżał przed wrotami kochanej stajni.

— Gdzie to Edzio? — mówiła czuła matka, a poółkle wielką oszczędnością pokarmów lica, przybrały wyraz niespokojności, rozlewając się po głębokich zmarszczkach twarzy, pięćdziesięcioletniej matrony.

— Hula, — odparł lakonicznie Zabohoski, poprawiając palcem łukę.

— Hula, hula! ty zawsze tylko biadaczka prześladujesz. Ty....

Zabohoski powstał z krzeselka i śpiesznie wszedł do sypialni, aby nie narazić się na gotową kłótnię.

— Biada to, — mówił do siebie, nalewając szklankę starego lipczyku, — kiedy dzieci mamy wypieszczonych; ale większem jest nieszczęściem mieć złą żonę. Tyle lat cierpieć i nie módz

umrzeć; — tu wypróżnił szklanę i znowu ją napelnił, — człowiek jeszczeby dostał młodę, nie tak dziwacznej, bo przecież... hm... jeszcze nie przestarzały... jeszcze... chwát, — i łykiem miodu stwierdził słowa swoje. — Do licha... jeszcze jedną szklaneczkę. Fenicjanie, to mądrzy ludzie, wynaleźli szkło; ale mędrszymi byli ci, którzy miodek fabrykować zaczęli, bo miodek... hmm... bo miodek... to miodek, oj... próżna butelka. Czy też zacna połowica spać się położyła? zobaczmy, — i zbliżył się ku drzwiom, pochylił do dziurki w zamku i ujrzał, jak oszczędna gospodyni kładła się w łóżko, w jednym ręku trzymając paciorki, drugą stawiając półgarncówkę na stole.

— No proszę... widzę, że się oboje szukujemy; — ale zapłaci mi za to... wysuszę dereniak... będzie też płakała. — Stary ukląkł i modlił się długo.

lubo myśl jego niebyła pobożnością
 zajęta; a potem wymknął się do sieni,
 otworzył drzwi piwniczne i zstąpił do
 grobu wódki i miodu. To rozkosz, to
 raj prawdziwy... tu antalki anyżówki,
 ówdzie praśny miodek, skamieniały
 starością wieku, tu znowu jablecznik,
 dalej różne nalewki, konfitury i powi-
 dła, a w oddzielnym kąciку, do któ-
 rego Zabohoski zmierzał, dwie spo-
 re, na legarach, stały beczulki, nad
 niemi trzy półki, a na każdej gąsiorzy
 z wyborowemi miodami. Z pomiędzy
 tych gąsiorów, jeden na szyjce miał
 zawiązaną czarną chusteczkę, znak,
 że powęduje do księdza kustosza
 bernardynów na kolendę, bo pani Za-
 bohoska, nie umiejąc pisać, utworzy-
 ła w swej mądrej głowie hieroglify,
 na których sama się tylko poznać mo-
 gła. Nie zgorszymy się przeto, że je-
 gomość Zabohoski, nie znając się na al-

legorycznych znakach swęj małżonki, sięgnął ręką po gąsior, nożykiem wydobyl korek, i, nie mając szklanki, do szerokiego otworu jego, przypiał się jak pijawka krwi czarnej pragnąca.

— Dosyć... na... dziś, — przemruczał szlachcic, — dalibóg, tak mi lekko, jak kiedyś bywało... tak... jakby... człek miał lat... dwadzieścia... ot... konia... konia dajcie ... podajcie bułat... jasno widzę wiedeńską rozprawę, i czerwony namiot Kary Mustafy... i... ściętego strusia i trzech pokojowców wejzyrowskich... Polaków... co... to... król Jando... hm... Krakowa odesłał; — postawił na ziemi gąsior i powoli stapał po wschodach, a jakkolwiek nie były one wysokie, zmęczył się bardzo nieborak, zaledwie miał siły spuścić drzwi piwnicy, i, zamiast wejść do pokoju, odsunął ciężki rygiel, wyszedł na podwórko i usiadł na darniowej pod lipą ławce.

Po rozległym łanie, pędziło kiku jeźdźców, poświstem zwoływali się, bo w ciemnej nocy i na niewygodnej drożynie, rozciągnęli się bardzo; a i potrzeba i duma nakazywała działać wspólnie. Stanęli nakoniec przed mostem. Jan zsiadł z konia, przelazł przez bramę, roztworzył ją, powrócił do swoich i dosiadł znowu bieguna.

— No! dalej, — rzekł z cicha Szafranowicz, — dwóch niech przy bramie zostanie.

— Dobrze, — odparł Hassan, — ja i Beni-Ana będziemy jej strzegli.

— A! zimno ci Hassanie, — z uśmiechem przerwał Szafranowicz; — Nie żartuj nigdy przedwcześnie. — I nie czekając odpowiedzi ruszył naprzód.

— Słyszysz, tętni most, — mówił parobek przewracając się na sianie w stajni.

— Pewno wraca panicz, — odrzekł drugi.

— Wstań, otwórz wrota.

— E... niech się zatrzyma... zawsze go szatan po nocy nosi...

— Dobrze mówisz...

Tak radzili w stajni, może i w innych zabudowaniach słyszano odgłos stąpań końskich, ale nikt nie miał chęci podnieść się z łoża i przekonać się, kto by gościł w dworcu; a tymczasem przybyłcy, z przed domu, pochwycili pijanego starca i otoczywszy go do koła, uprowadzili z sobą. —



III.

WIELA ODPTĘTU.

Abyście wiedzieć mogli, dla czego tak gwałtownego kroku dopuścili się ludzie, którzy przecież trudniąc się bądź rybolówstwem, bądź też rolnictwem, mieli pewne utrzymanie, potrzeba wiedzieć wypadki, jakie poprzedziły ostatnie zdarzenie.

W Trokach, nie daleko farnego kościoła, stał nie wielki wprawdzie, ale schludny i porządny domek, żółto pomalowany, z niebieskimi okienicami,

okna domostwa tego ocienione były dzikimi winogronami, pnącemi się po tyczkach w ziemię zasadzonych, poprzecznicą do dwóch klonów przybitą, wspartych; podwórko zamiecionne, piaskiem wysypane, a w głębi jego szlachety, broniące bydłatkom wstępu do owocowego ogrodu.— Mieszkanie to Tatara Sulejmana...

U Tatara dwie dziewczyny, córki jednej matki, Misalla i Ayesza, zatrudnione zawsze gospodarstwem, zdolne jednakże, umysłowemi swemi wiadomościami, zająć pierwsze przed wielu salonowemi paniczami miejsce. Sulejman, w młodości z proporcem i pałaszem służył w dobrze znanych chorągwiach ułańskich, widział świat, poznał ludzi, a zachowując pod względem czysto-religijném, obrządki wiary, pogardzał zabobonnemi zdaniem. Tej dzielności ducha przypisać wypa-

da nie wysokie, lecz użyteczne w domowém i rolniczém jego zatrudnieniu i posiadane nauki, szlachetne postępowanie z jedyną małżonką, a nakoniec staranne wychowanie córek.

Po za rynkiem, przy końcu wązkiej ulicy, mieszkała w starym domu, nad samém prawie jeziorem zbudowanym, wdowa Czekanowska. Mówiono, że już przeszło lat dwadzieścia jak przybyła do miasta i zakupiła ów dworek, że była szlachcianką i że mąż jej pod Żurawnem (*) życie utracił. Inni prawili, iż się ukrywa przed rodziną, wraz z synem Rudolfem, owocem nieprawej miłości.

Z okolicznych sąsiadów, sam tylko Szafranowicz odwiedzał niekiedy Czekanowską, i zdawało się, że o tajemniczym domku i jego mieszkańcach,

(*) 1686 r.

więcej możnaby się dowiedzieć prawdy od niego, aniżeli znaleźć jej w biegających pogłoskach. Lubo wdowa nie łączyła się z nikim, przecież nawet mieszczanie lubili ją bardzo, a szczególnie kochali jej syna Rudolfa, pracowitego i dobrego, jak go nazywali, dzieciaka.

W małym miasteczku łatwiej zapoznać się z stu, jak w wielkim z dzieściu osobami. Zastanawiając się nad tem, niewiem której stronie przyznać trafność postępowania, chociaż można obiedwie za równo rozsądne uważać. Na wsi, prawie zawsze, pierwiej znamy charakter aniżeli osobę, w mieście przeciwnie się dzieje. Tam odgłos czynów roznosi się daleko, tu czyn w czynie niknie.

Dla tego też większa swoboda pod sklepieniem lazurowego nieba, jak pod złoconemi sufitami pysznych pałaców, — więcej tam jest prawdziwego

ezucia; ale tu przeważa za to szala przewrotności, godłem mądrości przyodzianej.

Było to 14 sierpnia, dzień skwarny, na niebie ani jedna nie ukazała się elimurka, któraby, chociaż na chwilę, zasłoniła podróżników, pielgrzymów, przed promieniami słońca. Mnóstwo wozów rozmaitego kształtu i nazwiska, łączyło się od karczmy Pietuchowo zwanej ku Trokom; wielu piechotników, z zawieszonymi tlomoczkami na kijach, trzymanych na ramionach, potem okrytych, postępowało pomiędzy pobrzeżnemi drodze drzewami gęstego lasu, zatrzymując się dosyć często dla odwilżenia spragnionych ust, to przy strumykach w cieniu lasu płynących, to znowu przy kramikach przekupek, rozłożonych pod bardziej zacienionemi drzewy, lub też pod szalasami z gałęzi zrobionemi koczującymi.

Do tej kilkomilowej wileńskiej karawany, łączyły się z pobocznych manowców przybywające powózki, i coraz większy sprawiały tłok na drodze.

Przy wjeździe do Trok, obok porządnej kałamaszki, w której dwie siedziały osoby, na dzielnym koniu, uwijał się młody mężczyzna, wysoki, przystojny. Dumném okiem mierzył przechodzących lub przejeżdżających koło siebie, a prawą ręką trzymając za zatknięty u pasa pistolet, zdawał się grozić każdemu, ośmielającemu się w czémkolwiek mu ubliżyć. W takiej postawie pomknął się żywo w środek miasta, aby wyszukać mieszkania, które, prawie w każdym domu, przez gościnnych mieszkańców dla podróżnych bywa przysposabianém. Zajrzał do kilku domów, przy wrotach kilku innych chwil kilka się zatrzymał,

rozpylując się u stojących przy tychże mieszczan, o dogodności mającego wynająć się lokalu. Na twarzy jego piętnowało się niezadowolenie połączone z pogardą dla miejskiego stanu. — On, szlachcie, rozmawiać musiał z *gminem*, a *pfe*, gdzież można tak dalece się poniżać!

— Jakież to zakazane figury, — myślał w sobie Edward, — ja, co wszystko filozoficznie biorę; ja, co tak umiem rozważać naturę serc ludzkich, nigdy nikczemnymi mieszczańskimi figurami nie zaprzatnę sobie umysłu. Kiedyś, powiadał mi Józef, że kochał aż trzy tygodnie córkę mieszczucha.... Trzy tygodnie poświęcić użytecznego i drogiego życia dla miejskiej dziewczyny.... eha — eha — cha.... a to... Czy nie ma tu pomieszkania? — przemówił do starej kobiety stojącej u wrót, rozstawionych na przyjęcie gości.

— Są dwie izbedki, chędogie, wi-
dne, prawdziwie szlacheckie.

— Szlacheckie, — przeciągnął przez
zęby Edward.

— Alboż to, łaskawy paniczu, w
mieście szlachta nie mieszka?

— Tak... w Wilnie..

— O! nie, paniczu... u nas także jest
szlachta... Szafranowicz...

— E, zamilknij, i pokaż mi ponie-
szkanie. — To mówiąc, uwiązał przy
płocie konia, i udał się za niewiastą
po wschodach na piętro.

Domek drewniany wprawdzie, ale
z grubych zbudowany bali, miał pier-
wsze piętro, złożone z czterech nie-
wielkich przeciwległych sobie izbedek.
Dwie, z których okna wychodziły na
ogród Tataru Sulejmana, wynajął Ed-
ward, i kazawszy przysposobić starą
to wszystko, co dla podróżnych jest
potrzebnem, dosiadł konia i udał się

na spotkanie rodziców, oczekujących go w rynku, natłoczonym rozmaitemi furmankami i handlującymi.

— Już mamy przytulek, kochana mamo, — zawołał Edward przybliżywszy się do kałamaszki rodzicielskiej, — jedźmy.

Kolaska ruszyła z miejsca i wkrótce stanęła na mieszczańskim podwórku.

— Patrzże, Edwardku, jak tu porządnie... no proszę... co się to teraz dzieje... jakie to czasy, — mruczała pani Zabohoska, — to my szlachta, nie jesteśmy w stanie mieć takich wytwornych domów, a tu mieszczuch, a! Boże! Boże!

— Tak to... niedługo wszystko przewrotnie będzie, niedługo mieszczanka pogardzi kilkowiecznej szlacheckiej rodziny młodzieńcem.

— Edziu!-co ty mówisz, tobie się

w głowie przewraca... jakby mogło nastąpić tak wielkie poniżenie.... nie mówmy o tem... pójdźmy na górę.

Synaczek, Edzio, podał rękę rozsądnej mamie, i wprowadził ją do wynajętych pokoików.

— Aaaa! — zawolała Zabohoska, — co to ja widzę! u mieszczana takie zwierciadło.... Ono warte kilkadziesiąt czerwonych złotych.... a te obrazy w srebrnych szatach.... a te sprzęty.... a wszakże to u nas nie podobnie ma! — Co za zbytki.

— Prawda mamó. swawola... zbytki wielkie. Szlachta upada... ale i nie dziwić się... to owe uciążliwe pospolite ruszenia, to sejmiki, to znowu elekcje... domu pilnować nie można, gospodarstwa opuszczać musimy na długo, wówczas, kiedy oni za piecem siedząc, grosz lekko zbierają.

— Alboż to mało nas, szlachtę, ko-

szlują usługi sąsiedzkie. To siadź na koń bracie Tomaszu, żeby pomścić się na bracie Jakubie, to znowu broń Jakóba przeciwko Wojciechowi. Koń wiecznie okulbaczony, szabla nigdy z krwi nie otarta... Tak to my służemy krajowi i nie mamy nic... oni pasą się po miastach i pieniądze w skrzynie ładują.... Oj! sprawiedliwość!

— Ach! cóż za ładna dziewczyna, mamó! zechciej spojrzeć, w ogrodzie sąsiednim; jak piękna!

— Daj pokój, nie zapominaj się... to pewno mieszczanka.

— Ależ kochać jej nie będę... tylko popatrzę.

— Szkoda oczu.

Stara nie zbliżyła się do okna. W jej przekonaniu, patrzeć na miejską dziewczę, było zbrodnią.

Nie inaczej w każdym innym razie, myślał nieodrodny jej jedynaczek, ale

teraz, zasady jego upadły, a smukła bruneta zwróciła całą jego uwagę. Już niemyślał o jej urodzeniu, natężył wzrok tylko na kształtne ruchy i śledził okiem krok każdy.

— Jutro, — dumał sobie, — wymknę się z kościoła; muszę zapoznać się... ładna twarzyczka, .. a przecież, żadna mi jeszcze oprzeć się nie zdołała.

Z temi myślami kładł się na posłanie; w nocy spać nie mógł, bo wyobraźnia zajęta uroczą dziewczicą, wzburzała umysł i bicie serca podwajała. Nieczyste zamiary i chęci, lubo wabią nas niekiedy, zawsze jednakże rodzą niespokojność i niechęć tak przykrą, że człowiek sam przez się będąc nie-mi szarpany, nigdzie pociechy więcej znaleźć nie może, jak tylko w zupełném i bezwarunkowém ich zrzeczeniu się.

Nie był tak silnego ducha Edward,

mniemał owszem, że dzielność charakteru na tém polega, iżby od powziętego raz przedsięwzięcia nie cofać się, nie wzierając jaki ono ma cel, i jakie skutki wyrze.

Błędne te wyobrażenia czerpał z nauk matki, kobiety skłonnej do wszystkiego, a innych przymiotów nad piękną zaletę zarozumiałości nieposiadającej. Zbrojny więc w nieodmienność zdania, postanowił, ale to postanowił, dobrym lub złym sposobem, osiąść serce dziewczyny miejskiej, pewien będąc pomocy Józefa, który mu takowej nie w jednej podobnej rozprawie, rad bardzo użyczał.

Z świtem, zerwał się z słomą wplecionego łóżka, ubrał się śpiesznie i wyszedł do miasta dla wyszukania Józefa. Jego rady w wielkiej miał cenie, i dla tego chciał poprzednio ich zasięgnąć, aniżeli przystąpić do działania.

Cel był wytknięty, ale planu do dopięcia go pan Edward wymyślić nie mógł.

Było jeszcze bardzo rano, kiedy, dowiedziawszy się od woźnicy Józefa, o jego pana pomieszkaniu, silnie zakolatał w okienicę.

— Otwieraj, otwieraj, kochany Józiu, mam nagły i ważny do ciebie interes. Jeden ty tylko możesz mi pomóc. — Wstawaj żywiej, prędzej, prędzej."

— Kto tam?"

— Wstawaj, wstawaj prędzej; — cóż to krew w tobie zastygła; czyś się na ślimaka przetworzył?

— Aa! a! jakże mi się spać chce, — mówił Józef otwierając okno, — przed półgodziną, nie więcej, jak cię kocham, zasnąłem.

— Ja całą noc spać nie mogłem.

— I dla czego?

— Dla czego? zaraz się dowiesz;... ale nie bardzo bezpiecznie na ulicy głośno rozmawiać.... włączę do ciebie.

— Idź przez stodołę.

— Zamknięta brama; z resztą tu jest bliżej, - to mówiąc, okraczył okno i wszedł do izby.

— No, i cóż?

— Cóż! zaraz; nie masz czego się napić?

— Nie mam.

— E, do licha, jeszcze czy?

— A wszakże dopiero piąta godzina.

— Słuchaj.

— Słucham.

— Zakochałem się.

— Ja też samo.

— W przecudnej brunetce.

— Z niebieskimi oczyma,

— Co? co?

— Smagłej kibici.

— Co?

— Z malutką nóżką.

— Co? jak?

— Z rączkami białymi jak pargamin.

— Co ty gadasz, co?

— Ale....

— Nic... ale...

— W....

— Mów że, mów...

— W Tatarce.

— Aj, aj! Chryste Panie.

— Tak, w Tatarce,.... już znam wszystkie jej stosunki rodzinne....

Tatarka ją rodziła.

— Ojciec... nie Tatar?

— Ta... tar... hm!

— Zupełnie do mojej podobna przygoda.

— Co, i ty się Edziu w Tatarce pokochałeś.?

— Eu... nie... nie pokochałem...

ale tak... to jest... jakby... to,....
e... podobala mi się.... podobniu-
teńka do twojej.

— Moja mieszka, w żółto malowa-
nym domku niedaleko fary.

— Tam są niebieskie okienice.

— Tak!

— Eu eu

— Co ci to ?

— Nic nic.

— Pobladłeś

— Z czczości.

— Otóż słuchaj... ale słabo ci z głó-
du, przepomniałem... widzisz więc, —
mówił Józef, — Tałarka prześliczna...
oczy, ach oczy, niechciałbym nigdy zo-
stawać długo pod ich wpływem... a,
tobie jeść się chce... mam tu półgą-
skę.. zwarjowałbym... jedzże, kocha-
nie, jedz, — i wydobyl z kobiałki chleb,
ser i parę półgasek wędzonych.

— Idź do dj...

— Nie mam nic więcej; wiesz, że i tego z sobą nie wożę.

— Zjedz sam.

— Dobrze.... jak chcesz... moja Tatarka prześliczna... ale wiesz... już mi powiedziała...

— Co ci powiedziała?

— Że mnie kocha.

— Co? ona cię kocha, ona mogłaby takiego osła kochać, ciebie, nie potem hulakę... włóczęgę.

Józef spoglądał na Edwarda zdziwionem okiem, nie wiedząc w jaki sposób odpowiedzieć mu na zelżywe wyrazy, które potokiem wychodziły z ust ostatniego.

— Tybyś śmiał ją kochać, ty, co mówisz zawsze, iż jesteś moim najpierwszym przyjacielem... o zdrajco przewrotny.

— Ale zmiłuj się...

— Zmiłuj się... ja ją Kocham, u-

bóstwiam, szaleję za nią, ty do niej nie masz najmniejszego prawa; ja jestem jej sąsiadem, okna mojego pomieszkania wychodzą na ich ogród, ... ona cię nigdy kochać nie może.... nie powinna.

— No proszę, widzę, że tobie dziś mózg się przewrócił;.... dla tego, że mieszka obok domu ładnej dziewczyny, koniecznie ma być kochanym.

— Nie inaczej... oddalam się, — to mówiąc wyskoczył oknem i pobiegnął ulicą do rynku wiodącą.

— Dalibóg sfiksował.... ale korzystajmy... oj, będzie stypa... dobra myśl... sprzedam swoją miłość, lubo pomimo tego, zdaje mi się, że przez to Edward nie kupi serca pięknej Tatlarki... a... że piękna... to już prawdziwie piękna. Nasza Litwa nie słusznie tak źle o twarzach tatarskich mówi, chociaż zawsze z uwielbieniem o zacnych charakterach ich wspomina.

Edward wybiegłszy od Józefa, pędził przez ulicę, potracając przechodzących i rzucających nań za to bądź przekleństwo, bądź też niegrzeczne słowo; w minut kilka stanął przed domem, w którym mieszkał, obszedł go do koła, zaglądając przez szpary parkanu do ogrodu Sulejmana, i śledząc w nim dziewicy.

Na takich spostrzeżeniach upłynął czas niejaki. Wszystko powstało i ruszać się zaczęło, Edward wszedł do pomieszkania, rodzice jego wychodzili do kościoła, on zasiadł przy oknie i widział czyste tatarskie podwórko porządnie utrzymany owocowy ogród, a nakoniec — dwie kobiety, wychodzące z domu. Jedna niosła dzbanek glinianny i zmierzała do studni, druga dążyła do obory.

Trzeba wam wiedzieć, dostojni moi czytelnicy, że wówczas szkiełek

z prawdziwej tylko używano potrzeby, i że każdy chętniejby wyrzucił pieniądze za okno, a nawet zgodziłby się opłacać pewny podatek, aniżeli utracić wzrok, zasłaniając zdrowe oko narzędziem fanfaronady. Dzisiaj zmieniły się trochę czasy. Jeden, za ledwie czytać umie, nie ma przyszłości, jest ciężarem rodziny, a złotych kilka musi wydać na zbroję zrzenicy; — inny znowu, umyka z domu przed świtem, żeby go z wschodem słońca komornik sądowy w domu nie zastał; — są i tacy, którzy kilku groszy na zapłacenie praczce nie mają; którzy rano, bardzo rano, w hiszpańskich płaszczykach i druciarskich kapeluszach, wybladli, kroczą chwiejaco się ku rynkowi Starego Miasta z dwoma groszami, dla kupna saltzka i mleka, i skonsumowania go wprost z półkwartka, bo garniczka kupić nie mają za co, — a je-

dnak, jednak ci wielcy ludzie, w Dü-kerta ogrodzie, w teatrze, w Łazienkach Królewskich i t. d. i t. d., bez lorynety obejść się nie mogą. Jak chcecie, wierzcie lub nie, ale, dalibóg, prawdę powiedziałem. — Możebym i ja uległ tej śmieszności, a nawet z pewnością was o tem zaręczam, gdybyście mnie wskazać chcieli szkło, przez które do serc ludzkich zajrzeć i uczucia ich zbadać i ocenić było można.

Rozgadałem się. O! wiem, że wielu na mnie powstanie, że wielu mnie lubić nie będzie, lecz takie już moje przeznaczenie, — prawdę śpiewać, cokolwiekby za nią spać mnie miało. — O toż, mówiąc prawdę, Edward nie miał lorynetki i nie mógł rozpoznać z tyłu, która z wyszłych z domu dziewcząt, była serca jego władczynią.

Jakże się zadziwił, gdy obie dzie-

wczęła, nie zważając na rekonesans z okna czyniony, zszedłszy się, rozmawiać zaczęły. Obie ładne, i tak do siebie podobne, że Edward nie mógł rozróżnić, którą widział, którą pokochał i którą wypadło mu kochać.

— O to pytanie, — mówił do siebie, — pewnie ja na nie nie odpowiem. Którą ja wczoraj widziałem? którą pokochałem! Nic nie pomoże, tu trzeba Józefa, a obraziłem go mocno. On prędzej może powie, która go kocha, a przez to bezwątpienia tę ja kocham, która jego nie kocha.

Z tak mądrym rozumowaniem, pochwycił czapkę, i znowu pobiegł do swego przyjaciela.

IV.

ODPUST.

Uderzono w kotły przy farnym kościele, dzwony odezwały się i zmieszały głos swój z chrapliwemi trąbami. Tłumy pobożnych cisnęły się do świątyni, prawie wszystkie rzymskich katolików siedliska opuszczone zostały. Karaici i Tatarzy stali przed drzwiami swych domów, przypatrując się uroczystości, wesolej uroczystości, godzącej grzesznika z swym Stwórcą.

Dwie kobiety, młode, w skromnym

ubiorze, lecz długimi, gestami osłonięte zasłonami, szły ulicą poboczną, oglądając się często, i bacznie okiem, przez mało uchylony woal, to jedna, to znowu druga, spoglądając na przechodzących.

— Uprzedzony ojciec, po co to udawać... co innego mówić... inaczej kazać postępować.

— Nie sarkaj, ... wiesz przecie, że rodziców czczyć należy.

— Ja mu tem nie ubliżam, ale to sprzeciwia się godności człowieka.

— Być może; jednak, jesteśmy za młode, abyśmy czyny starszych roztrząsać miały.

Dwie dziewczyny, a może kobiety, zbliżyły się ku kościołowi, i porwane wirem tumultu, przerzucane z jednej na drugą stronę, znalazły się na końcu w świątyni.

— Ach! moja droga, zasłoń się sta-

ranniej, tam na boku, przy ołtarzu, stoi Rudolf.

— Gdzie?

— Tam, na prawo.

— Ach! prawda, dziękuję ci Missallo.

— Idźmy do domu.

— Zaraz, niech się msza skończy.

.....

— Idźmy.

I dziewczyny znikły w skupionym narodzie.

Kiedy Edward wyszedł z domu, zmierzając ku pomieszkaniu Józefa, ten ostatni udał się do domku tatarskiego. Mniemał on, że tak jak w wielu innych, dostanie tam baranich koldunów, a przez to ułatwi sobie znajomość, co tém więcej uważał za konieczne, że przed Edwardem, nie tylko o znajomości, lecz nawet o pozyskanėj miłości wspominał. Cenił bardzo swój *honor* i nie chciał

być na *skompromitowanie* wystawionym.

Wbrew atoli przyjętym zwyczajom, u Tatara Sulejmana nie przysposabiano koldunów, i pan Józef, chcąc nie chcąc, musiał wynosić się za progi; które ledwie przestąpił, spotkał wracającego Edwarda.

— Byłeś tam?

— Ma się rozumieć.

— I cóż?

— A cóż!

— No!

— A no!

— Niecierpliwisz mię.

— Zdaje się, że nie masz prawa wzierania w moje postępowanie.

— Ale, bój się Boga, mam ważny do ciebie interes.

— Czyliż na ulicy miejsce do prawnienia.

— Pójdźmy, pójdź tylko; tu jest mio-

dek kowieński przy szklanicy jego
opowiem ci wszystko!

— Dobrze.

I poszli.

Nad drzwiami karczmy, pochylającą się ku ziemi, przed którą wiecznie stała kałuża smrodliwego błota; na małej desce, niebiesko, jak mówiono, pomalowanej, wypisano było brudno-czerwonemi, koślawemi literami: „*myudk kowénsky*.” Pod takie to godło weszło dwóch nierozdzielnych przyjaciół, dla radzenia o ważnym interesie.

— Mowszo! kwartę kowieńskiego lipczyku.

— Zaras, zaras, wielmożni pani.

— Byłeś więc w domu Tatara?

— Widziałeś.

- Powiedźże mnie, którą ty kochasz?

— Zapewne tę, której ty nie kochasz.

— A to pysznie. Alboż ty wiesz, która mnie kocha?

— Prawda, że dotąd nie wiem, ale podług prawdopodobieństwa, ja téj któraby cię miłowała, kochaćbym nie mógł.

— Zawsze swoje.

— Ja mówię, opierając się na zasadzie logiki; jakiej udzielał nam ksiądz Piotr, societatis Jesu, w wileńskiej akademji.

— Tyś obłąkany, ... prawisz od rzeczy.

— Ależ nie żartuj.

— Zdrowie twoje. Może ci miód humor i siłę rozsądku przywróci!

— Mój kochany Józefie, ty dziś sztydzisz tylko.

— Mylisz się. Zastanów się tylko co mówisz. Kochasz dziewczynę?

— Bez zaprzeczenia!

— Którą?

— Tę, która ciebie nie kocha.

— A gdyby mnie żadna nie kochała, gdybym ja również o żadnej nie myślał?

— No proszę, to sęk. I cóż ja teraz zrobię; obiedwie bardzo ładne, lecz zupełnie do siebie podobne, — powiedz, Józefie, którą wybierasz; ja pozostałą będę kochać, bo z dwóch wybrać nie mógłbym.

— Ja... kocham Missalę.

— A ja?

— Ty masz kochać Ayeszę.

— Co Jęszę, a juści wolę Missalę, to w samem imieniu jest jakieś brzmienie miłości.

— Obiecałeś... musisz poprzestać na tej, jaką ci pozostawilem.

— No, już dobrze, ... ale zaprowadź mnie tam... Mowszo! kwartę dereniaku.

— O co na to, to zgodzić się nie mogę.

— Bój się Boga.

— Nie mogę... to nie w mojej mocy... Stary Tatar nie wpuści cię do domu. Widział cię siedzącego w oknie... niepodobałeś się mu.

— Dla czego?

— O! na to odpowiedzieć ci już nie potrafię.

— Wiesz co, gotów jestem dać beczkę piwa.

— Daj Tatarowi... jeżeli ją przyjmie.

— Cóż więc mam uczynić, ... dopomóż mnie.

— Tu trzeba czystych pieniędzy... Mnie ta sztuka kosztuje dwadzieścia ezerwonych złotych.

— Ja ci dziś taką sumę wypłacę, ale zaprowadź mnie tam; ... dusza moja w rozpacz.

— Ani za sto nie pójdę z tobą... Zgadza się na podany warunek, ale tygodni trzy musisz być cierpliwym.

przez ten czas postaram się uprzedzić
starego przeciwko tobie zwalczyć,
przychylność zyskać, i w oczach dzie-
wczyny w dobrej opinii cię przedstawić.

— Nieoszacowany.

— Głupi, — mruknął pod nosem Józef
i dopił półkwartowej szklanicy.

Zostawmy, owych dwóch zacnych
przyjaciół, na czas niejaki w siedlisku
obrzydłego opilstwa, każącego imię
i tępiącego umysł człowieka; uciekaj-
my, abyśmy wonią szynkowego smro-
du nie przesiąknęli, abyśmy nie byli
pokuszeni i nie stali się samobójcami
czystej sławy naszej, abyśmy w końcu
kordów w krwi bratniej nie skrwawili;
abyśmy słowami i czynami nie zatrui-
li spokojności bliźnich, nie skazili my-
śli przodków... Powietrzem nadbrze-
żnem jeziora wspaniałego odetchnijmy,
w naturze zanurzymy się, przyrodą dzia-
łajmy tak, jak nam ona postępować

nakazuje przez swoje prawa przez Najwyższego jej nadane. Dalej zatem, słońce przyświeca pogodnie; lubo was promieniami jego nie zachęcam, bo wiem, że w noc ciemną, zawieruchy i gołoledzi, jeszczebyście za mną poszli, jeszczeby prawdę słów moich siłami swemi wesprzeć postarali się....

Na brzegu jeziora, na rogu wąskiej uliczki, prowadzącej do rynku, jak już powiedziałem, stała stara chata, z nieco zakłękniętym gontowym dachem; — już lat dwadzieścia mieszka w niej Czekanowska, w niej wychowała jedyne-go syna; rybaka, co z siecią spał, obok sieci jadał, a szlachetniej postępował od nie jednego zhardtzałego panka. Tam idźmy, tam mieszkają cnoty, naszemu narodowi właściwe, prawość, gościnność i wspaniałość; tam biją dwa serca, co mówię, jedno serce — serce matki-syna. Bo czyli nie mogę powie-

dzieć, że serce matki zawiera w sobie syna, — a syn, czyliż matki nad siebie kochać nie powinien? Gdyby inaczej było, byłby wyrodkiem, podłym egoistą, zwierzęciem gorszem nad szakala, bo z rozumem i silną wolą, zdolnym tylko być niecnym pochlebcą. Do téj chaty ubogiej, ale niepokalanéj zbrodnią, ja was chcę zaprowadzić; jeźliście dzieci prawdy, postępujcie za mną.

Stara Joanna sama tylko w domu. Rudolf poszedł do kościoła, — potem zobaczyć się ma z Szafranowiczem, do którego oboje zaproszeni na objad. Joanna siedziała przy roztwartym oknie na jezioro wychodzącem, nad brzegiem którego pasły się trzy ich mleko-dajne krówki, a strzegł je wierny pies, uderzający ogonem kiciastym o ziemię, ilekroć Joanna po nazwisku go wołała.

Już było po w pół do dwunastej, kiedy wysunęły się z uliczki dwie kobiety, same, któreśmy w kościele widzieli, uchyliły wrota i weszły do domu chrześcijańskiej wdowy.

I one były chrześcijkami i ich ojciec był poczciwym człowiekiem, w duszy chrześcijaninem; ale nie nadszedł jeszcze czas, nie wybiła godzina chrztu, chwila światła, dająca nam siłę umrzeć za naukę Chrystusa.

— Chrystus Pan, Bóg człowiek, niech będzie uwielbiony, — rzekły obie dziewczyny na progu domostwa.

— Na wieki, — odpowiedziała Joanna, — i niech słowa jego zrozumiane mi będą przez każdego.

— Amen, — dodały tatarskie dziewczęce. — Jak się macie, matko Joanno? syn wasz zdrow, widziałyśmy go w kościele.

— Dobrze dziecię.

— O! wiemy o tem, — przerwała Mi-salla, — on to nie zważał na srożącą się burzę, ani na różnicę wiary, on ocalił czterech ojców tatarskich rodzin.

— Nic nie uczynił, nad obowiązek.

— Obowiązek?

— Tak, prawdziwego chrześcijanina.

— Nie wszyscy są tacy; inni prześladują, pogardzają nie tylko obcemi ale nawet swemi.

— W duchu nie są sługami Chrystusa; siadajcie.... Wy lubicie kawę. Przysłał mi mój brat mały jej woreczek, ... doskonała, ... kupił w Kamieńcu ... Żal się Boże tych prowincyj, okropnie były prześladowane. (*)

— Prawda, kochana matko, to cię-

(*) Kamieniec traktatem Karłowickim, dopiero w r. 1699, d. 14. stycznia zawartym, Polsce przewrócony został.

ży na naszych głowach... tam rządźli synowie Koranu.

— Zgotuję wam kawy,... może tu ojciec wasz wstąpi; dawno nie był.

— Żniwa, zbiory, gospodarstwo domowe, w którym mu ile możliwości pomagamy, zajmują mu czas;... co to za książka? — zapytała Ayesza, — Biblja,... i my mamy biblję; ale niecała, podarta, nie ma początku i końca,... muszę poprosić syna waszego o pożyczenie,... a to jaka? — ah! to dla mnie niezrozumiana, obcym językiem pisana, no proszę, to wasz Rudolf zajmuje się naukami?

— Za wiele nawet, — odparła Joanna, — zaledwie sięć rzuci, a już zagłębia się w książki; napróżno powiadam mu, że zbytnia praca nadwercza zdrowie, i że te wielkie jego nauki, na nic mu się przy jego nie przydadzą stanie. On odpowiada, że ryby łapiąc

trzeba się kształcić; bo nie zawsze i nie wszędzie rybakiem być można; — w części słusznie mówi, bośmy przecie nie byli... a... cóż to ja powiedzieć miałam, — cicho do siebie rzekła Czekanowska i rzecz urwała.

— Czy Rudolf nie wróci z kościoła? — zapytała Misalla.

— Nie;... miał jeszcze z Szafranowiczem popłynąć na wyspę. Jakiś wielki pan, zdaje się, starosta Wilczyński, z całą swoją rodziną zapragnął widzieć starożytnie zamczysko; a przechadzając się po pobrzeżu, spotkał Rudolfa i koniecznie jego tylko za przewoźnika mieć chciał. I tak uprzejmie prosił, że mu odmówić nie mógł. Uroczyste więc święto zgwałcić pracą wypadnie.... ale przynajmniej nie przyjmie zapłaty, a tym sposobem mniej zgrzeszy.

Długo rozmawiała Misalla z Joanną

o dziarskim rybaku. Ayesza ani jedném słowem nie wmieszała się, — ale gdybyś patrzył na nią, na jej płonącelica, i pośpieszne bicie serca słyszał, łącznie pojąłbyś, że dziewczica nim zajęta, że miłość istność jej dzierży w posiadaniu, i że nie masz już środka do cofnięcia się z tego stanowiska, bez straty zdrowia a może i życia.

Dzisiaj, mówią że kochają; że bardzo kochają.... a nie zaniedbują nigdy pytać, czem był jego lub jej ojciec, jaki ma posag, pensją lub dochody, czy może utrzymywać ekwipaże, słosować do mody, wiele ma lat? i wiele innych jeszcze okoliczności przychodzi pod rozwagę. Powiecie, że bardzo sprawiedliwie czynią; ale pozwólcie także uczynić sobie zapytanie, wy wszyscy, którzyście, będąc jeszcze nie skalani rozpustą, grą lub pijaństwem, kochali, czyliżeście wówczas podlém wyra-

chowaniem rządzą się, i czyli więcéj na zewnętrzne stosunki i oznaki zważali, czyli też na podstawie anielskiej czystości charakteru, myśli, wrażeń, zdań i czynów, opierali się? Powiedźcie mi, czy miłość łatarachuje, i czy ta, dla tego, że jest w tém względzie nieodpowiedni stosunek, kochać zaprzestaje! — O! wiercie mi, ogień serca, kierowany niespodłonym występkiem lub samolubstwem umysłem, trwa wiccznie, on złączony jest z nieśmiertelnością naszej duszy, jest jéj zaletą, jéj pierwszą chlubą. Biada temu, kto rzuciwszy niewinną czystość myśli i uczuć swoich, i stanąwszy na rozdrożu, porzucił prawą, lewéj chwycił się drogi; biada mu powtarzam, on stracony dla prawdy, on sprzedał się szatańskiej mocy, on zkuszonego, stał się kusicielem, duchem ciemnoty i obludy. — Ja wiem, wy go

przeklniecie, wy go wytrącicie z kola waszego domowego społeczeństwa, jak Chrystus wyganiał kupczących, chciwych zysku, z przysionka Jerozolimskiego kościoła; wy otoczycie go pogardą, poniżeniem; a pogarda i poniżenie, najlepsze bronie na sprawki czartowskiego ducha. A jeżeli między wami są tacy, co stanąwszy na rozstajnych drogach, rzucają czarną lub białą galikę, aby losem wiedzieć gdzie się udać, i potem losowi zlorzeczyc, zaklinam was, niewabcie się pociągliwem złotem, lepiej po żelaznej drodze bieg życia odbyć, aniżeli u końca srebnego złotego szlaku, potworę, gryzące sumienie i przekleństwo bliźnich spotkać.

Dawniej, inaczej kochali, inaczej miłość rozumieli. Surowe obyczaje, nieskażone plamami kruszcu, któremu sami wartość i szacunek nadaliśmy, a który teraz nad godność człowieczą

wynieśliśmy, dla którego poświęcamy nasze serca i nasze umysły; przed którym zginamy kolana, co tylko przed Stwórcą i Panem naszym czynić powinniśmy;..surowe obyczaje nie skrzywiały zdań rozumu samorodnego, nie wyradzały bazylijszków, chytrych lisów i żarłocznych wilków, nie rodziły ani hyen ani tygrysów, co przez wiele lat zabijają i mordują swoją mądrością, a żadne prawo potępienia wyrzec na nich nie może; były one rękojmią szczęścia rodzin, na podstawie szczerego i zupełnego przywiązania gruntującego się.

Ale w czasie, kiedy Sulejman w Trokach zamieszkiwał, już się rozszerzały maksymy lekkomyślności, tej choroby, która tylko długim szeregiem lat doświadczenia wyleczoną być może. Widzimy dwóch ludzi, różnych rodzin, puszcających wodze namiętnościom,

depeących najświętsze ludzkości prawa, oszukujących się, a jednak przyjaciółmi się zowiących. Zostawiliśmy ich w karczmie, przy szklanicach, roz-czerwienionych trunkiem, rękawami ścieraiących rozlane resztki durzącego napoju, i ściskających się i wynurzających przyjaźń, której węzłów nigdy nie czuli. Wroćmy do nich, powstają z ławy, i ramię w ramię, zataczając się, wychodzą. Jeden mniema, że zyska pieniądze; drugi, że dopełnie czarnych swych zamiarów.

Zobaczmy jakie będą skutki rozwiązłości, jakie przyniesie owoce rozpusta.

Zmrok zapadał, wiosła pluskały po wodach jeziora, Starosta Wileczyński spoglądał po twarzach swego towarzysztwa; może chciał wyczytać wrażenia sprawione Trockim zamkiem. Milczący i z dzikimi rysami twarzy,

nie zjednywał powierzchownością swoją zaufania, lubo pierwszym był do niesienia nieszczęśliwym pomocy. Zimny na pozór, na najłżejszą dolegliwość był drażliwym, a doświadczwszy zmienności losu, z niedoli w niedolę wpadając, i dzielnością własnego ducha, mocą własnych sił, był nakoniec swój utrwaliwszy, baczny był nader na cierpienia innych, ostrożnym w wyrażeniach z podwładnymi, uprzedzający nie raz ich myśli, ich prośby. Czuł się szczęśliwym i wynagrodzonym, jeżeli czynem dobroci, oszczędził słów i prośb potrzebującemu, i opieszalnością nie znaglił go do poniżenia się przed nim, za to, co z łatwością dopełnić mógł a co powinnością było—człowieka. Czczony, kochany nadludzko, chwile wolne poświęcał wychowaniu trzech córek, pozbawionych macierzystej opieki i kie-

rowanych przez ciotkę, kobietę innych usposobień i wyobrażeń, kobietę chciwą, lecz tak chytrą, że najmniejszej nie było poszlaki nikczemnego jej łakomstwa.

Z miłością złotą, z chciwością, łączą się zwykle najsprośniejsze występkę;... dusza łaknąca złota na wszystko złe się odważy, nie wybiera środków i sposobów, chwyta każdy, byleby on tylko zapewniał dopięcie celu;... skrywa ona troskliwie swoje chęci, a tym chęciom, poświęci najdroższe sercu przedmioty, i jeszcze mniema, zgarnawszy pieniądź, że mało zdziałała; jeszcze na kupie przesiąkłego łzami grosza, pragnie więcej, dyszy, łamuje oddech, wstrzymuje bicie serca, okiem zasięga — w nicość!

Taką była Elżbieta, siostra żony Wilczyńskiego, na taką potworę sposobiła Karolinę, najstarszą córkę Sta-

rosty, ucząc jej skrytości przed ojcem, wpajając w umysł mądrość, którą na zręczném kłamstwie zasadzała.

Karolina liczyła lat szesnaście, pojętna i z żywą wyobraźnią, usposobioną już była do wyjścia na świat, a pocziwy ojciec mniemał, że również pocziwe dziecko społeczeństwu przysposobił. Z dumą więc spoglądał na najstarszą córkę, i w myśli szukał związku, szczęście jej zapewnić mogącego.

Krypa przybiła do brzegu, Szafranowicz pierwszy wyskoczył, podciągnął ją na ziemię, założył wiosło na ramię i odszedł nie rzekłszy słowa; Rudolf zabierał się także do odejścia, gdy go Starosta zatrzymał i pieniądze za pracę ofiarował.

— Dziękuję,.... w święto nie godzi się dla zysku pracować... jednakże Ewangelja nie wzbronila czynić przy-

jemności innym. — Rudolf chciał powiedzieć *bliźnim*, ale powstrzymał to słowo, sądząc, iż niem obrazić się może słuch znakomitego pana. Szczęśliwój podróży, — dodał i odszedł.

— Pomiędzy ludźmi takiego stanu tyle szlachetnej ambicji! — rzekł starosta i znowu pogrążył się w zadumaniu.

— Powinien uważać się za szczęśliwego, że siedział na jednej z nami ławie, — dodała niepowściągliwego języka ciolka Elżbieta.

Starosta spojrzał srogo, pochmurzył się, podszedł do bryczki, a gdy już się kobiety usadowiły, skoczył rażno na konia, puścił cugle, i przez całą drogę jednem słowem nie wmieszał się do niewieściej rozmowy.

V.

PRZYSTĘPIA.

Joanna przysposabiała kawę, nakryła siwym obrusem stół dębowy, i zastawiła na nim gliniane, polewane kubki. Misalla i Ayesza czytały biblję i zastanawiały się właśnie nad niektórymi jej ustępami, gdy wszedł ich ojciec. Lubo w owe czasy więcej jak dzisiaj zwracano uwagi na różnicę wyznań, jednakże Sulejman i Joanna, nigdy i niczem nieposzlakowani, nie narażali się, przez swą przyjaźń, na wy-

rzuty swych jednowierców. Zgodność myśli obu tych rodzin, wiązała je najszczerzszymi uczuciami, a usługa wyrządzona Tatarowi przez Rudolfa, była tak dalece w myślach pierwszego wpojona, i tak silną przejmowała go wdzięcznością, że żadne przeciwności nie zdołałyby rozerwać związku sere, spojonych przyjacielską miłością.

— Ojcie — rzekła Misalla, — byliśmy w kościele.

— A nikt was z naszych nie widział?

— Przecież żaden z naszych tam nie bywa.

— Mylicie się, dzisiaj widziałem Jusufa przed kościołem. Oglądał się pokilkakroć a potem nagle rzucił się w tłum cisnący się do świątyni. Czekalem dotąd, nie wierząc własnym oczom, aby Jussof, zwolennik gorliwy Alkoranu, w chrześcijańskiego Boga domu, tak długo przebywał.

— I nie doczekałeś się go, — przerwała Joanna.

— Mylicie się, dobra Czekanowska; prawie między ostatnimi wyszedł; ubior krajowy, jakiego powiększej części używamy, nie ściągał uwagi waszych, ale ja, ja widziałem, jak Jussof zmaczał w wodzie palce.

— A więc go obawiać się, nie mamy przyczyny.

— Gdyby inaczej nawet było, obawa nie powinna by przejmować dusz waszych. Za prawdę każdy człowiek umrzeć jest gotów, jeżeli tylko jest człowiekiem ducha, — a nie masz nigdzie prawdy tak wzniosłej, prostej i czystszej, jak w nauce Chrystusa.

— Do ciebie przeto ojciec należy wyrzec się błędów w jakich żyjemy, — uczyniła uwagę Ayesza.

— Prawda, kochane dziecko, ... ale i ja mam przyczyny, skłaniające mnie

do niezmiennienia planu postępowania mego.

— Jakież one być mogą? — zapytała Joanna, — Znam cię; ... prześladowanie odstręczyć cię nie byłoby w stanie.

— Niewątpliwie, ... chcąc jednakże wykonać zamiary nasze, potrzeba przybierać czasami charaktery przeciwne im zupełnie. W takim właśnie przypadku znajduję się całe życie.

— Całe życie? — zawołała Joanna.

— A my go wcale nie znamy, — dodały obie córki, — kochany ojciec, zawsze nam obiecujesz odkryć zasłonę przeszłości i zawsze ją do niepewnej odkładasz przyszłości.

— O! proszę za twemi córkami, nie odmawiaj ich prośbom.

— Dobrze, ... ale wolno mi będzie zapalić fajkę, i na kłębach dymu czytać księgę życia ubiegłego, historję jednego Tatara.

— Słuchamy.

Joanna podala kawę, Sulejman zapalił fajkę, wyciągnął z kąta sieć starą, rozrzucił ją na podłodze, usiadł na niej z założonemi na krzyż nogami, uśmiechnął się, widząc malujące się zadziwienie na licach obecnych, i mówić zaczął:

„Urodziłem się Talarzem,...to jest wyznawcą Koranu. Mój ojciec, osiadły w tutejszem mieście rolnik, szczerze do obranego siedliska przywiązany, ubolewał mocno nad chrześcijańskimi mieszkańcami téj ziemi. Tak często objawiał o tém swe zdanie, że rzeczywiście, w młodości zarozumiałości, sądziłem się być wyższym nad każdego Litwina, uważłem ich za zaślepionych przesadami, i, nie wiem jak to wyrazić, kochałem i nie cierpiałem ich... trudno tak wielkie dwie sprzeczności zjednoczyć w punkt pośredni,— a jednak,

lubo sobie nawet uczuć podobnych dziś wytłomaczyć nie mogę, istniały one w istocie. Może niewierzycie temu, ale cóż mam czynić, nie mając dowodów, któremi bym mógł was przekonać, a nawet siebie samego. Dosyć więc, iż tak było. — Owey niepewności szale byłbym zapewne przeważył w krótkim czasie, i, jak mi się zdaje, uczyniłbym to na rzecz niesprawiedliwości gdyby wybuchła wojna, nie powołała nas w łusce wiedeńskiej armji. “

„Opuściłem Troki wspólnie z ojcem. Garstka naszych śpieszyła pod Kraków, bo mówiono, że Jan III już tam stanął. Nie daliśmy czekać na siebie, przybyliśmy jeszcze dosyć wcześnie, i ja miałem czas zwiedzić owe wspaniałe siedlisko królów, Wawel, i inne gmachy starożytnego tego miasta. — Pewnego dnia wracałem do obozu, i na drodze, pod krzyżem, ujrzałem kobietę

klęczącą. Ciekawością zdjęty zbliżyłem się ku niej. Wówczas usłyszałem gorące westchnienia, szczere modły, zanoszone przez niewierną do Allaha. Z początku szyderstwo przebiegło myśli moje, ale potem, potem urok głosu i siła słów nieznajomej przykuła mnie do ziemi. — Ona płakała, ścisnęła drzewo krzyżowe białemi rączkami, czoło korne ku ziemi pochyliła. Każdy wyraz wdzierał się samowładnie w piersi moje, byłem zdurzony, oamiony; czułem jakiś żal tłoczący moją duszę, ogień serce trawiący; łzę, każde westchnienie, wyraz, ruch każdy, byłbym chwycił i zaniósł przed Tron Najlepszego; cała moja niechęć znikła; nie znając, czcilem chrześcijan. Jedna kobieta w kilku chwilach zyskała mnie dla nich, a jeszcze oblicza tej kobiety nie widział, postępowania jej nie znał.“

„Trąby rozlegały się po obozie. Obudziły one mnie z uśpienia. Wyrwałem się z objęcia zachwycenia, pobiegłem, potem się mimowolnie zatrzymałem, wróciłem, chciałem usłyszeć harmonijne brzmienie jej głosu; — nie baczny, opuszczałem święte obowiązki, a szedłem za popędem wrażeń, ciśnących całą mocą piersi moje. Sta nałem za nieznajomą, ale nie poprzestałem na jednym, jak to zamierzyłem. wyrazie; słuchałem téj ognistej mowy, wylewającej potoki uczuć na łono wszystkich ojca, i więcej i dłużej pragnąłem słuchać, słuchać i w tem szczęściu... umrzeć.“

„Nagle ta kobieta powstała, nie zdążyłem się usunąć, — staliśmy jedno naprzeciwko drugiego. Ona, nie wiem jakich myśli;...ja...byłem,...ja jestem, dotąd obłąkany!“

„I stalibyśmy niewiem jak długo,

gdyby dźwięk znanej trąbki chorągwi naszej, nie był uderzył w zmysły moje. Było to hasło do wymarszu — a ja... za obozem... nie przy sztandarze, którego żaden Tatar nigdy nie opuścił... O! sromoto! wykrzyknąłem, Sulejman opuścił szeregi, opuścił swego ojca,... i już więcej nic nie mówiłem, rzuciłem się ku swoim, wszystkiego byłbym się wyrzekł, jej oczu czarnych, jej uroczej mowy, honoru osobistego, aby tylko nie splamić imienia narodu mego, aby nikt nie wytknął palcem: brakuje Tatara, Tatar zbieg podły, tchórz nikczemny,... Sulejman rzucił swoich, wyrzekł się świętych przysiąg, zakał przyniósł siwemu ojcu!“

„Ta myśl dodawała mi mocy, lubo bieg ciągły, tamował oddech, wyczerpywał siły. Przedemną była hańba, za mną i obok mnie obraz kobiety,.. którą

raz widziałem, pokochałem... i nigdy, nigdy, czy pojmujecie boleść moją, nigdy ujrzeć nie spodziewałem się.“

„Nakoniec ujrzałem tatarskie pro-
porce; Allah, gdyby stanął przedemną,
mniejby mnie ucieszył! — W chwil kil-
ka siedziałem na dzielnym Zego, strze-
mieniem trącałem o strzemię brata Ta-
lara, dłonią ścisnąłem rzeżko żyłą
rękę pocziwego starca. — On mnie py-
tał, gdzie bywał, ja nie nie odpowie-
działem: myśl smętna, czarna, rozpacz-
liwa objęła serce; ja, dumalem o ko-
biecie.

„Stanęliśmy na lesistych wzgórzach.
U stóp obóz Kary Mustafy, dalej ści-
śniony oblężeniem Wiedeń. — Całą
noc, i już nie jedną, nie spałem; uczu-
wałem zupełne wysilenie, a jednak
myśl boju zagrzewała duszę.“

„Wiecie dobrze, co i jak było pod
Wiedniem; tam nikt się nie odzna-

czył, tam wszyscy się odznaczyli. Z dumą spoglądałem na Niemców, z radością witałem ussarskich towarzyszy. O! już ich kochałem, szanowałem, każdy z nich godzien był podziwienia, a sława ich była sławą także naszą.“

„Nie zwiedzałem cesarskiej stolicy, i nie mogłem. Nazajutrz w przednich pocztach ruszyliśmy za Dunaj; wszyscy byli weseli, mnie znowu smutek ogarnął, i towarzyszył aż do pamiętnych Parkanów.“

„W okropnej tej bitwie, gdy rozbite wojska cofały się w nieładzie, i gdzie każdy o sobie tylko myślał, uprawdzałem ciężko rannego ojca, niezdolnego powodować rumakiem. W tém krzyki i przekleństwa slyszeć się dały w pobliskich krzakach. W oczach mojego ojca zabłysł płomień szlachetnej chęci bronienia bliźniego, chwycił cugle i poskoczył żywo; jam go nie opu-

ścił. Przybyliśmy naczas. Mężczyzna, nie pierwszej młodości, uporczywą staczał walkę z sześciu Turkami; ja się zrównał z jednym, przytknąłem lontu (*) i spadł z konia, mój ojciec obalił drugiego, ale trzeci zrzucił go na ziemię. Wściekłość mnie ogarnęła, jak lew rozsrożony rzuciłem się na pozostałych, bułałem zdruzgotałem czaszki; lecz uczulem ból, mdławę ciepło, zaćmiło się w oczach, zaszumiało w uszach, ... zachwiałem się, lecz ujrzeć byłem jeszcze w stanie... nadbiegających naszych braci... błoga spokoju rozlała się w mej duszy... i niewiem co się potem stało.

W kilka godzin wróciła przytomność. Nie byłem ranny, ale guz tylko ogromny pozostał na głowie. Turek

(*) Wówczas jeszcze lontowej używano broni.

uderzył mnie skruszoném drzewcem dzidy, przez co straciłem przytomność. Wszelako cierpiałem mocno; wiadomość, że bronieni przezemnie byli ocaleni, napawała mnie rozkoszą, mieszającą się na przemian z rozdierającą duszę śmiercią koehanego ojca. “

Stary Tatar zamilkł, otarł lica, westchnął, i mówić dalej zaczął:

„Tak przepędziłem noc. Mówiono, że w namiotach króla odbywają się narady, że bitwa ma być wznowioną. Powstałem z łoża, niezwążyłem wcale na zawrót głowy, jakiego doświadczałem, i zamierzałem właśnie cichaczem wymknąć się z gościnnego namiotu, aby zobaczyć Tatarów-braci, a potem wrócić i podziękować za troskliwą pieczołowitość, kiedy młoda dziewczica, z dwoma luźnymi, weszła, pytając poprzednio o zdrowie moje

stojącego przed namiotem wartownika. Zaledwie spostrzegłem ją,.....ach! nie zapomnę tej chwili,....cała istota moja wstrząsała się... była to owa — z pod krzyża kobieta!“

„Ona stanęła,... milczała, więcej jak milczała; stała się niemą, a jednak oko,...oko, zdawało się, że się zagłębiło w duszę moją. — Wy chcecie nas opuścić, rzekła na koniec, mój ojciec będzie się gniewać. On wam życie winien, ja z siostrą...honor. Wy nas nieodstąpicie, dodała, jesteście jeszcze słabi, my was o to prosimy,... pokornie prosimy. — Głos i oko, zczarowały mnie...i zostałem.“

„W sobotę nowa była rozprawa, ja pomściłem się śmierci ojca, walcząc obok starosty. Hordy sylistryjskiego baszy były rozbite. Jan III bułatem gromił nieprzyjaciół, a most na Dunaju, natłoku uciekających znieść nie mo-

gący, pogrążył tysiące ich w wodnych nurtach. Stanęliśmy nad brzegiem wspaniałej tej rzeki, ucichł huk dział, tylko jeszcze kiwawa posoka czerwieniła wody. Wilczyński ścisnął mnie, całował i synem być mienił. O gdyby to być mogło, pomyślałem w sobie, a potem tęskne oko zwróciłem na północ, do Trockiej ziemi.

„Wojna się skończyła, wróciliśmy do Krakowa. Huf tatarski wyruszył do domu, ja pozostałem, tak mi było dobrze, tak byłem szczęśliwy, że zapomniałem o ojczystej strzesie.“

„Sposobność nadarzyła się, wziąłem się więc szczerze do nauk, i w niespełna roku znaczne uczyniłem postępy. Anna i Klara nie miały w tem udział. Nie raz rozmawialiśmy długo, a za każdą rozmową więcej i więcej kochałem... Nie mając nadziei, straciłem spokójność, noce przepędzałem

bezsenie, ... gorączka trawiła, myśli obarczały duszę....“

„O! nie kochajcie, dzieci moje, jeżeli tylko możecie, bez nadziei. Nie masz nic okropniejszego, nic dzielniej niszczącego życia, nad miłość bez przyszłości. Doświadczałem tego wówczas, nieprzewidując, iż na sroższe jeszcze wystawiony będę cierpienia.“

Sulejman zasłonił twarz obudwoma rękami, powstrzymał oddech, a jednak słyhać było tłumione łkania, wyrwane wspomnieniami dawnymi, ... a jednak można było sądzić, że po upływie wielu lat, miłość w całej swój sile żyła.

„Obok mnie mieszkał pan Karol, ... teraz starosta Wilczyński... widziałem go dzisiaj, i on mnie zobaczył, zbliżył się, uścisnął rękę silnie,

boleśnie uśmiechnął się, westchnął i odszedł nie rzekłszy słowa. „

„Karol kochał swoje siostry, ale i mnie także mocno pokochał i powiedział, że go wyręczył w parkańskiej wojaczce, w której, rana pod Wiedniem odebrana, znajdować się mu nie dozwoliła. Razem przeło przepezdaliśmy godziny długich wieczorów i poranne chwile, razem pracowaliśmy; i rozum mój, dzięki staraniu zacnego przyjaciela, oświecił się wiele, i już mogłem być nie tylko silną szczyć się dłonią.“

„Rok minął. Annę ubrano bogato, powiedziano do świątnicy. Ja, com widział skryte jej łzy, com znał uczucia jej serca, nie byłem panem siebie. Zakolatałem mocno do drzwi Karola. Otworzył. Był blady, zdawało się, że nawet płakał. Poskoczyłem do niego. on przyjął mnie w swoje ramiona, i

długo, długo, ani jedno westchnienie, ani jedno poruszenie, nie wyszło z tego dwoistego posągu. Księżyc brał z krzyżem, tęp uściskiem czułym, jakim tylko szczerą przyjaźń i zgodność wielkich uczuć, obdarzyć nas może. “

— Mojej Anny nie ma, — zawołał nagle Karol, głosem duszę rozdzielającym.

— Co mówisz! — krzyknąłem.

— Nie ma... tyranizm ojca każe się wyprzeć siebie samej; swych uczuć, i być poddaną na zawsze, ... na zawsze, czy pojmujesz wielkość tego wyrazu, Sulejmanie, poddaną człowieka, który nie więcej nad pieniądź nie szanuje.

— Możesz to być? Miecznik...

— On jest! — i miecznik, ojciec Karola, stał przed nami. — Zawczasie, jak widzę, zaczynacie rozbierać czyny starszych. Sulejmanie, ciebie zape-

wne czeka twe gospodarstwo, ... nie zatrzymuję; i tak nadużyłem twojej cierpliwości, prawami gościnności ścieśniając twą wolność.

„Pojąłem, z pierwszych słów nawet, że miecznik starał się mnie pozbyć z domu swego; własna miłość, duma zbyteczna i interes, wyganiały mnie gwałtem z jego serca.... Nie zmieszałem się bynajmniej, lecz nie chcąc zrozumieć słów jego, odrzekłem: Wdzięczność twoja, panie, twoja uprzejmość i dobroć, zatrzymały mnie pod tém dachem, otoczyły niezastężoną pieczołowitością, i tyle zdziałały, że teraz ja z kolei, czuję się być dłużnym wdzięcznością. Jeżeli miecznik Wilczyński raczy mnie policzyć w poczet swych dworzan...

— Dworzan... każdy z moich dworzan jest szlachcicem.

— Czyliż proporzec tatarski pocho-

dzi od potomków Chama, — przerwał mowę Karol.

— Nie pytałem waści o zdanie, ... na wojnę się ma... ulan powinien znajdować się przy swój chorągwi. Żegnaj Sulejmanie, pacholik czeka na two rozkazy...

„Miecznik wyszedł; ja osłupiały, nieruchomy wlepiłem wzrok w Karola... Karol śpiesznie się ubrał, przypasał szablę i pobiegł nagle, a ja zmartwiały pozostałem. Grom uderzył mocno i głęboko. Nie zabił na miejscu, ale miał mordować lat wiele.“

„Nagle odgłos muzyki uderzył moje uszy. Wzdrygnąłem się, ale siła boleści jeszcze trzymała mnie w miejscu. Drzwi otworzyły się; Klara wbiegła pomieszana.“

— Sulejmanie, zaklinam cię na Boga, oddał się... mój szwagier grozi się... o!... mój Boże, oszczędzaj się-

bie; — i dziewczica chwyciła mnie za ręce i tak spojrzała w oczy, jak tylko raz można w życiu spojrzeć... wówczas, kiedy oko mówi: kocham cię...

— Oszczędzaj się, cóż to znaczy, Klaro, co to znaczy?

— Uciekaj, uciekaj.

— Ja pod Parkanami nie uciekałem.

— Sprawiedliwe wyrzuty... ale dla mnie, dla mnie Sulejmanie... oddal się z domu ojca; bądź zdrow — i wybiegła, potem wróciła i dodała: tylko nie z Krakowa.

„Wkrótce nadszedł Karol. Niezwykły smutek osiadł na jego czole. Napróżno badałem przyczyny. Milcząco przechadzał się po pokoju, marszczył gniewnie brwi, a niekiedy zgrzytał nawet zębami. Nakoniec nagle stanął przedemną.“

— Sulejmanie, jesteś moim przyjacielem, prawdziwym przyjacielem; —

mówił prędko Karol, — kochasz Klarę, wiem o tem, czy chcesz być chrześcijaninem?

— Czyliż nim nie jestem?

— Prawda, jesteś nim w twych postępkach, ale potrzeba jeszcze świętych obrzędów, uroczystego, jawnego wyznania wiary, ... Sulejmanie, czy gotów jesteś przyjąć chrzest?

— Dla czego czynisz pytania?

— Odpowiedz na nie, odpowiedz, Sulejmanie, — powtórzył znacząco młodzian i zwrócił oczy na drzwi, za którymi dał się słyszeć lekki szelest.

— Chrzest pragnę dzisiaj jeszcze przyjąć, — odpowiedziałem mimowolnie.

„Na dole bawiono się wesoło... na górze toczyła się rozmowa krótka, urywana, niezrozumiała. Pragnąłem bardzo chrztu, bo mi się wielkość Chrystusa i zasady jego podobały; bo

kochałem go, jako przedmiot dobro
światu stwarzający, ale nie mogłem
znieść myśli, że z przejściem do chry-
stjanizmu, wyprą się mnie bracia
Tatarzy, a chrześcijanie Tatarem zwać
przeszaną!... A jednak to narodowe
imię było mi bardzo drogiem; za ża-
dną wagę złota niechciałbym walczyć
pod inną a nie tatarską chorągwią.
Smieszni są nasi prości ludzie, oni
mówią na Niemca: Arjanin, Luter, tak
jakby Niemców nie było katolików;..
jakby katolika Tatara nazwali?... nie
wiem!”

„Z tem wszystkiem oświadczyłem
chęć zostania katolikiem... Miecznik
odmówił być ojcem... zastąpił jego
miejsce Karol, matką była ubóstwiana
moja Klara.“

„Miecznik, jego zięć, goście i dwór
cały, oddawali się rozkoszom trunku!
ja, Karol i Klara staliśmy przed chrzciel-

nicą, za nami dwóch jeszcze świadków... Kapłan wyrzekł święte słowa, uczucie niewysłowione rozlało się w duszy mojej... i byłem już sługą jawnym Chrystusa!“

Misalla, Ayeszai Czekanowska spoglądały po sobie... kawa wystygła, fajka Sulejmana zagasła, drzwi skrzyły i wszedł Rudolf.

Młodzieniec zapłonął się, słowa jego były bez związku, pomieszanie widoczne. Oczy to Ayeszy tak gwałtowne sprawiają skutki.

— Matko, pójdę do Szafranowicza, — przerwał Rudolf, ale mówił to głosem takim, jakimby powiedział: matko, czy mogę tu pozostać.

— Idź, kochanie; ja nie pójdę... mam gości, z którymi miło przepędzę wieczorek.

Rudolf powolnym krokiem opuścił domostwo matki, Sulejman zakopcił

fajeczkę, Misalla i Ayesza zbliżyły się do siebie, spłotły braterskie dłonie, pochyliły ku sobie głowy, pocałowały się i dalszej starego Tataru słuchały powieści.

„Po tym uroczystym obrządku, Karol uściskał mnie jak brata, chciał coś mówić, ale mu Klara przerwała. Teraz jesteś moim synem, rzekła młoda dziewczyna, winienesz mi bez granic posłuszeństwo.... O! odparłem, nigdy nie zechcę wylamywać się z pod twoich rozkazów, kochana matko! — Karolu, jakto on powiedział, czy może tak mówić Gabrijel Sulejman? — A, pomiędzy matką i synem inna mowa być nie powinna. — A jak mój ojciec usłyszy, może się będzie gniewać? — Dobrze, żeś mi o tem przypomniała; słuchaj Sulejmanie, przemówił do mnie Karol, mój ojciec obrażony jest nadzwyczajnie; nie wiem w jaki

sposób zechce mnie ukarać, ... ciebie wygania z domu swego dla tego, żeś się do mnie o Annie z całą otwartością szlachetnej wyrażał duszy. Biedna kobieta, oddana w ofiarze pysznemu i chciwemu człowiekowi, możesz-li być szczęśliwą? ... Być może, że los podobny czeka także Klarę; ... nie obawiaj się jednak Gabrijelu, mówił chwytając mnie błedniejącego za rękę Karol, — właśnie temuchę wcześniej zapobiedz. Wynająłem ci pomieszkanie przy Florjańskiej ulicy. Jeszcze dzisiaj winienesz je zająć; będziemy się codzień widywali, — z Klarą tylko wtenczas, kiedy ujrzysz ją na ulicy. To jest wszystko co ci mogę powiedzieć, potem obmyślemy środki pewniejsze. — To mówiąc ścisnął rękę, ujął w pól siostrę, siedli z nią do kolaski i odjechali; a mnie pacholik zawiodł na Florjańską ulicę,

otworzył drzwi dolnego pomieszkania, wprowadził doń, rozpalił na kominie ogień, uklonił się i wyszedł.

„W wiedeńskiej rozprawie, gdyśmy obcesowo wpadli na tureckie szyki i gdy porozec każdy nie naprożno ostrzem swoim godził, kula obaliła biednego mojego Zego. Padłem na ziemię, ale porwałem się skoro i zboczyłem na prawo, bo tą drogą pędziła chorągiew Zamojskich, a towarzysze jej byliby bezwątpienia mnie stralowali, tak im było pilno do boju, tak żywo pragnęli żelazcem zgromić Kary Mustafy siły. Wprawdzie i ja połączyłbym się z tatarskim hufem, ale nie miałem konia, i baczyłem jakby ująć którego z rzeniem biegających po pobojuwisku. Nakoniec pojmałem jednego, wskoczyłem nań, i lotem błyskawicy, ruszyłem w miejsce, gdzie widziałem migający buńczuk i sztandar

ulański. Walka się skończyła, i dopiero ja zwróciłem uwagę na zdobytego bieguna. — Jawną rzecz, arabskie strzemiona, to i koń turecki, a rząd pyszny i bogaty, a pod rządem trzos złota, a pistolety złociste, strzemiona srebrne, na uzdźzienicy djamentowa gwiazda, a siodło, siodło zdobne wrubiny i szmaragdy.... Słuch się rozniósł po obozie, i nie długo przybiegł ordynans, abym się stawil przed Stanisławem Jabłonowskim, wielkim koronnym hetmanem. Jam się zmięszał, bo z tak wielkim panem nigdy jeszcze nie rozmawiałem, lubo nie jednemu tureckiemu baszy lub kiajli, pokazałem co ostrze tatarskiej szablidy. Ale w boju etykiety nie ma, a wnamiecie hetmana zachować ją trzeba. Ja, co nigdy nieumiałem dworsko przemawiać, szedłem jak na męki, a serce mi biło omal nie tak, jak kiedy

pierwszy raz Klarę moją uściskałem. Nakoniec stanąłem przed jego dostojnością. Hetman powstał z za stołu, zbliżył się do mnie, poklepał po ramieniu i rzekł: Atoć waść młody i zuch, to dobrze — będę o waści pamiętał. Zdobyłeś dziś konia — konia dzielnego; — dwa najpiękniejsze z mojej stajni i tysiąc czerwonych złotych — i cóż młody Tatarzynie — rzędu nie chcę, konia pragnę, bo rumak dzielny, ale tyle co damę, wierz memu hetmańskiemu słowu, nie wart, tylkom go upodobał, i chciałbym, jeżeli się tylko zgodzisz, panem zostać jego. — Ale, wasza dostojność, ja za konia tego pieniędzy tyle przyjąć nie mogę, odpowiedziałem kłaniając się, bo za mego Zego, co go kula życia pozbawiła, ojciec trzymał tylko czerwonych zapłacił; toby nie było poludzku, gdyby tak żdzierał waszą hetmańską dostoj-

ność.—Pocziwy, dajcie mu zaraz pieniądze, panie marszałku, odparł Hetman. — To już przynajmniej niech i z rzędem wasza dostojność konia przyjąć raczy. — Dajcie mu dwatysiące czerwonych i rynsztunek z rzędem przy nim zostawcie; to pocziwy ulan, wart spokojnego na potem chleba. — Uciał mowę, kiwnął głową i wyszedł z namiotu, a ja poszedłem za marszałkiem, dostałem dwa konie, pieniądze, i przyszedłem do ojca, nie pojmując, czy to wszystko było rzeczywistością lub senném marzeniem.

— Nie mała to ilość złota, gdzie nam je z sobą wozić, i jeszcze w czasie wojny, — powiedział ojciec i wziął mnie za rękę i jak dziecko poprowadził do hetmańskiego namiotu. Towarzysz pancerny, Mikulicz, (który w bitwie pod Parkanami, z drugim swoim kolegą, pojmał w niewolę Ali

Baszę), parac trzymający przed namiotem, kazał dać znać marszałkowi hetmańskiemu, chorążemu łomżyńskiemu Zamojskiemu, że młody ułan przyszedł z ojcem i pragnie się widzieć z hetmanem. Nie długo potem stanęliśmy przed Jabłonowskim. — A co mi powiecie, łagodnie zapytał hetman, groźny wrogom w polu, a łaskawy wszędzie dla braci rodaków. Myśmy się mu ukłonili, a ojciec prosił, aby dar hetmański w zabezpieczeniu hetmańskiem pozostał. — Teraz wojna, mówił mój ojciec, trzeba myśleć o służbie nie o pieniądzach, a wasza dostojność wie dobrze, że człek ubogi winien szanować hojność wielkiego wodza, i darów jego, pierś swoją w boju narażając, na zdobycz nieprzyjaciół nie wystawiać. — Podo- bała się ta mowa zacnemu panu, pieniądze zachować kazał w skarbcu, a nam zgłosić się do siebie po wojnę.

...., Otóż, kiedy zająłem pomieszkanie przy Florjańskiej ulicy, rzuciłem się na łóżko i myślałem pójść do Hetmana, powiedzieć, że jestem katolik, i prosić wstawienia się jego do miecznika, aby mnie Klarę dał za żonę. Już się zerwałem z łóżka, chcąc zamiar swój do skutku doprowadzić, kiedy wszedł Karol, a za nim pacholcy wniesli moje rzeczy. — Karol ich odprawił, rozkazał przywieść dwa moje rumaki, usiadł na stolku, a ja nie czekając rozpoczęcia przezeń rozmowy, zacząłem opowiadać swój zamiar udania się do wielkiego hetmana. — Młody Wilczyński nie zgodził się na to. Powiedział, że ojciec jego, przy najszlachetniejszych uczuciach, nieści w sobie zarazem upor nieugięty, i że wszelkie wstawienia się nietylko mnie pomóż, lecz owszem zaszkodzić mogą.“

„Klara bywała każdego rana w kościele Anny ś. i ja szedłem do kościoła, modliłem się, i niekiedy rzuciłem na kochaną okiem, i niekiedy zdawało mi się, że łzy widziałem z jej oczu płynące. Chciałem się zbliżyć, ale ochmistrzyni towarzyszyła dziewczęciu; ochmistrzyni, płatna do zbytku, której żadnym datkiem ująć nie można, gotowa wystawić biedne dziewczę na wulkaniczny gniew ojca; nie pobłażająca wcale, przy której płakać nawet nie wolno było, bo miecznik chciał córki swoje widzieć wesołemi, a ochmistrzyni nie zaniedbywała donieść, o każdej łzie, czy to bliźnim, czy sobie poświęconej.”

„Karola ojciec posłał w Wielkopolskę, gdzie brat jego młodszy nauki pobierał pod opieką wuja kanonika; nie miałem przeto żadnej sposobności, zbadać przyczynę cierpień dziewicy.

Napróżno starałem się dowiedzieć, które okna były jej komnaty; służący milczący, nie odpowiadali na moje pytania, a niekiedy nawet szydercze słowo, uśmiech lub spojrzenie wzgardliwe mnie spotkało, wówczas odchodziłem z bolejącą duszą, rozdartą nowym ciosem, straszliwym, jątrzącym, oddawałem się rozpacz, biegłem nad brzeg Wisły, lub chwylałem żelazo...ale przy samym kary-godnym czynie pojawiała się nadzieja... pocieszająca mnie i zawodząca ciągle.“

„Klara z każdym dniem była bladszą, więcej cierpiącą. O! moje dzieci, jak ja ją kochałem, opowiedzieć nie umiem, ale kochałem nadludzko. Wyparłbym się jej, siebie skazałbym na dożgonne cierpienia, aby przywrócić jej zdrowie i zapewnić szczęście. A zaprzeć się tej, którą kochamy, odstąpić jej na zawsze, nie myślcie, żeby

łatwo było. To tylko może uczynić miłość niewinna, czysta, i tak droga, jak łza sieroty biednej przed tron Ałalia przez anioła zaniesiona; tak droga, jak krew męczennika przelana za naukę wiary Chrystusowej; jak głos obrońcy biednej wdowy, słabego ciałem, życie swe na utratę narażającego, lecz wielkiego duchem.... nieśmiertelnym, boskim!“

„Ale przy gotowości poniesienia tak wielkiej ofiary, zawsze towarzyszyła mi myśl koniecznego jej uszczęśliwienia. Nie miałem atoli, abym uszczęśliwienie to zasadzał na dostatkach, dających zbyt kowe suknie, kosztowne kolaski, smakotliwe potrawy, — nie — ja człowiek prosty, kochałem ją duszą i sercem, i serce mi biło w piersiach, nie zaś w głowie, brzuchu, lub kieszeni; — serce moje biło nie dla mnie, lecz wyłącznie dla niej; — ale nigdy nie poświęciłbym kropli krwi, łzy, go-

dziny, minuty mego życia, gdyby była zażądała odemnie odrzeknięcia się sobie, dla urojonéj i źle zrozumianej przyszłości. Przekonacie się ztąd, iż wolałem narazić się raczej na jej nienawiść, aniżeli powodując się słabością, własną ręką przyczyniać się do jej niedoli.“

„Nie miłujcie inaczej swoich mężów, ukochane moje córki; inna miłość, choć cień interesu w sobie mieszcząca, już nie jest miłością nieba... piekło ją zrodziło, nasycając samolubstwem, chciwością, obludą, lisią układością, wilczą żarłocznością... jest to dziecie szatana, poświecające dla siebie był, sławę, szczęście, przyszłość, nawet nadzieję zawodzonej istoty..... O! jeżeli spotkacie takie serce, wiedźcie, że to serce kamienia, na które ani słońce, ani deszcze; lato, zima; jesień lub wiosna; pogoda, ślota, wichry

gromy piorunów, nie skutkują; które śmieje się z łez, z niedoli, z ran, bóleści, cierpienie, i które za wszystko i nad wszystko, przekłada siebie i dla siebie!“

„Rozpacz odebrała mi sen... choroba tęsknoty i niespokojności zagnieżdżała się w mojej duszy; nie miałem znajomych, którzyby starali się rozerwać myśli moje. Dzień cały mordowałem się, noc dopiero, z swą ponurą ciemnością, wywoływała mnie na ulice miasta, podwajała bicie serca;... szedłem na ulicę, przy której moja luba mieszkała, i tam, wsparty o filar przeciwległego kościoła, wpatrywałem się w okna, oczekując, zawsze oczekując Klary, i nie mogąc nigdy jej zobaczyć.“

„Te nocne wycieczki, bardziej jeszcze rozwijające ogień wyobraźni i u-

czuć, wycieńczały moje siły. Każda chwila, zdawało mi się, iż ujmuje mocy organom życia i popycha mnie w bezkończącą wieczność.... Wieczność, o! i dziś do niej wzdycham, tam czeka mnie moja Klara, z tą czułą miłością, z tem łagodnem i pogodnem czołem, jakim ziemskie zdobyła krainy.“

„Nakoniec opanowała mnie gorączka, czułem ogień trawiący piersi, rozszerzający swe działanie po wszystkich członkach; mimo to zwlekłem się z łóżka, chwiejącym krokiem udałem się w miejsce zwykłej nocnej mojej siedziby, wsparłem się głową o granitowy filar, i zwróciłem bystre oczy na gmach, dumnie wznoszący swe szczyty w przezrocza powietrzne, w którym gościł człek z dobrem sercem, lecz słabym umysłem;... żegnałem miejsca mi ulubione, ból ścisnął serce, łza nie zwilżyła jednakże zaognioną powiekę!

„Trzecia ranna godzina wybila na Wawelu, wietrzyk chłodny orzeźwił mnie nieco, i zbudził z zadumania; okno milczącego gmachu roztworzyło się, i drobna twarzyczka Klary ukazała się. Jak opisać wrażenie, jakiego w téj chwili doznałem, nie wiem, czuję wszelako, że jedno słowo mogłoby go dostatecznie określić; ale wyrazu tego nie znajdziecie w słownikach języka mowy; raczej szukajcie go w zbiorze słów duszy, tak lotnie pojmujących i objawiających doznane uczucia, że je ani mową pochwycić i na świat oddać, ani piórem w dusze bliźnich przelać nie można.“

„Opuściłem moje stanowisko i zbliżyłem się do okna, ile tylko bezpieczeństwo Klary dozwalało to uczynić. Ona na znak poznania, rzuciła chustkę, ja pokazałem obie ręce, potem dwa palce; pojęła, że chciałem przez

to oznaczyć północ; — podniosłem chustkę, i odszedłem pelen nadziei.“

„Jeżeli cierpienia moralne wywierają niszczące skutki na zdrowie, to także zbyt żywa radość może nas rzucić w wir obłąkania. Nie każdy temu uwierzy, ale, pamiętajcie o tém kochane moje dzieci, że nie każdy także czuje; a nie jeden chlubi się, dojściem do takiego stopnia doskonałości i panowania nad sobą, iż bez wzruszenia wewnętrznego, tylko z okazaniem zewnętrznego, pozornego, spogląda na konające oko małki, na stygnącą rękę brata, na stojącego na rusztowaniu przyjaciela. Mniejszą rolę grają maski na maskaradach, aniżeli w rzeczywistym świecie.“

— Co to jest maskarada? — zapytała Ayesza,

— Opowiem ci w innym czasie.

Dzień ma się ku schyłkowi, a jeszcze wiele, wiele mam do powiedzenia.

„Powróciłem do domu, ale czyli szedłem czyli też przeciwnie mocą ducha przeniesiony doń zostałem, zupełnie nie wiedziałem. Śmiech, łzy, radość bez granic, taniec bez przyzwoitości, tłumity mi oddech. Chustką posiadaną obwiązywałem głowę, wycierałem oczy, całowałem ją, tuliłem do mego serca. Nakoniec wysilenie pozbawiło mnie sił i padłem zemdłony.“

„Ocknąłem się. Była już godzina południowa, udałem się do gospodyni mojej na objad, ale jeść nie mogłem; dziwiono się mojemu roztargnieniu, badano ciekawie o przyczynę, i tym więcej jeszcze starano się zgłębić tajemnicę, w miarę, jak ja zbywałem pytających, albo mało znaczącemi odpowiedziami, albo też zupełnem milczeniem.“

„Oczekiwałem z niecierpliwością nocy. Niewątpiłem o miłości Klary, ale

nie zupełną pokładałem nadzieję w jej odwadze. Kobieta, pomyślałem, wiele mówi, mową na wiele się odważa, ale gdy przyjdzie do wykonania zamiarów, waha się, i byle najmniejsza przeszkoda, rzeczywista lub dopiero przewidywana, zrzeka się u-pragnionych celów, dla bojaźni chwili niespokojności. Umyśliłem napisać list. Kto kocha szczerze nie zaczyna pokilkakroć,— on wyraża tylko swoje myśli, a gdy myśli są czyste, nie potrzebujemy ich ubarwiać i szukać w umyśle naszym wyrazów; płyną one z źródła uczuć, z serca—i są wten-czas obrazem niewątpliwéj otwartości, zaszczyt przynoszącéj każdéj rozumnej istocie... Tylko w chwilach zmienności, gdy dusza nasza udręczona jest ciosem silniejszym nad moc wyrazu, miłość podpada na czas pewny otrętwieniu, owéj kołowato-

ści, z której dopiero wypada wulkan i niszczącą swą lawę rozlacza w organach życia naszego. Zawiedziona miłość sama w sobie odbywa naprzód walkę, ... rzadko kto walkę tę pokryć jest zdolny, ... potem dopiero objawia swą moc, w słowach, w piśmie, w czynach; lecz chciejcie mi wierzyć: w jakimkolwiek położeniu jest miłość, wzajemna, czy zdradzona, jeżeli tylko bezinteresowna, wyraża się bez namysłu, bo jej namysłem są jej uczucia, a uczucia pierwiej istnieją, aniżeli je dostrzedz i zrozumieć można, aniżeli pojąć stan i kierunek nadać im zdołamy.“

„List więc mój był wiernym odcieniem myśli moich — krótko i zwięźle napisany, na spuszczonej okném nitce podany, miał zyskać dla mnie rekojmią zachowanej wierności, lub

przeciwnie, stać się dowodem przeniewierstwa.“

„Noey następnej zyskałem odpowiedź; Klara mnie kochała. Radość moja nie знаła granic. Przemyslałem, jakby się z nią porozumieć, jakby chwil kilka przepędzić z tym ziemskim aniołem; na wszystko byłem gotów: oknem, drzwiami lub kominem, złotem, ukłonem lub bronią, byle tylko z nią.“

„Hetman wielki, wielki także duchem, upodobał mnie, i, ile razy był w Krakowie, zawsze musiałem mu się przedstawiać, zawsze doznałem względów szlacheckiego tego męża. Właśnie był przyjechał do starej rodziny Jagiełłów stolicy, i rano przysłał po mnie. Jakkolwiek noc przepędziłem bezsen- nie, przyodziałem się i poszedłem do hetmana.“

„W przedsionku spotkałem mieczni-

ka, ukloniłem się i chciałem przejść mimo, kiedy zawołał na mnie:

— Sulejmanie, jesteście w Krakowie, a nieodwiedziliście mnie.

— Nieopuszczałem go wcale, — odpowiedziałem.

— I nie byłeś u mnie?

— Miałem to wzbronioném.

— Nie!... Co w uniesieniu powiedziałem, powinno było być zapomnianém.

— Nie pamiętam... ale uczynić przykrość osobie, którą się szanuje, ... i której przy widzeniu przykre wspomnienia stanąć mogłyby w umyśle, uważam za dzieło nie chrześcijańskie.

„Miecznik nie odpowiedział nic, ale pocałunkiem zamknął usta moje, uścisnął rękę, i dodał, że czeka na mnie wieczorem.“

„Bytność u hetmana, tak bardzo mi przyjemna, teraz sławała się ciężarem. Dzień zdawał się przedłużać, jakby wstrzymany Jozuego wołą, traciłem humor, niecierpliwilem się, a zmiana ta nieuszła orlego hetmańskiego wzroku. — Badał mnie więc o przyczynę, a ja, w prostoduszności swojej, opowiedziałem wszystko, nie tając ani słowa, ani myśli, ani żadnego czynu.“

— Biednyś! nie znasz miecznika, stary uparty, w uczucia nie wierzy, do herbu wielką przywiązuje wartość. Ale to ostatnie najmniejsze, jesteś katolikiem, odznaczyłeś się i Rzecz-pospolita nie odnówi ci szlachectwa, nie wiem tylko, czy miecznik zechce mieć zięciem świeżo-kreowanego szlachcica. O miłości mu tylko nie powiadaj, lepiej zwykł słuchać o pieniądzach.

„Pocałowałem w rękę hetmana, a on mnie zapytał:

— Masz-że ty chłopcze do mnie zupełne, synowskie zaufanie?

— Nie inaczej.

— No, to w razie potrzeby żąda-
niom moim nie odmówisz.

— Ach! nigdy. — Z temi wyrazami opuściłem hetmana i nie wstępując do domu, udałem się prosto do miecznika.

„Studzy, którzy poprzednio tak nie-
ludzy byli, kłaniali mi się nisko, nad-
skakując, starali się przypodobać, zje-
dnąć chociaż jedno przychylnę wej-
rzenie. Wszedłem do bogato strojnych
komnat, przeszedłem ich kilka i w je-
dnej zastałem Klarę nad krośnami.
Ochmistrzyni czytająca wieczorne mo-
dlitwy, zmierzyła mnie badawczem
okiem, i poprosiła siedzieć.“

„Wobec kochanej mowa traci na si-
le, jest chrapowatą, nie giętką; .. przed-
miot obranej rozmowy zazwyczaj

rychło się wyczerpie. Zdaje się, że najzimniejsza obojętność założyła siedliska w ich sercach, chociaż te serca związkiem ducha są złączone, i żadna, żadna siła nie zdolna ich rozerwać do póty, dopóki są stałemi.... Jeżeli jedno zapomina o harmonijnej sympatji, wówczas cały porządek miesza się. Łamiące podstawę szczęścia obu, usprawiedliwia zmienność swoją, zazwyczaj słowem *przeznaczenie*; opuszczone, spogląda łaknąco za uchodzącym bratem, w rozpacz przytulku szuka, a rozpacz prowadzi nie do nowej miłości, lecz zimnej grobowej pościeli.“

„Wkrótce przybył miecznik. Rozmawiał długo i obszernie o swoich do-
brach, o gospodarstwie, o sprawach.
Najbardziej go trapiła pienia z hetmanem, i uważałem, że radby bardzo w zgodny ją sposób załatwić; nie żą-

dał jednakże pośrednictwa mego, i ja mu się też wcale nie nastroczałem... Odtąd bywałem codzień u miecznika, czytałem listy Karola, bolałem, że o mnie wzmianki w nich nie było, a nie wiedziałem, że stary Wilczyński uwiadomił go o moim jakoby wyjeździe z Krakowa; podarkami uiałem ochmistrzynię, a zład więcej miałem sposobności do rozmawiania z Klarą, pogodziłem hetmana z miecznikiem, i stałem się prawie domownikiem.“

„Przychyłość jaką mnie okazywało w całym domu, ośmielała mnie i już zamierzyłem prosić miecznika o rękę Klary, kiedy pewnego dnia, zięć jego, mąż Anny, przyjechał z swoim bratem, i bez żadnych wstępnych przysposobień, zażądał Klary dla swego Franusia!“

„Sama Klara zwiastowała mi tę wiadomość, dodając, że ojciec przychylił się, i że musimy się na zawsze rozłączyć.“

— Na zawsze rozłączyć, — powtórzyłem, — to być nie może. Kochanka w ten sposób mówić nie powinna.

— Cóż więc chcesz abym uczyniła? — zapytała, — przecież ojcu sprzeciwić się nie mogę.

— Nie namawiam cię bynajmniej do pogwałcenia praw rodzicielskich, ale nie wzbronno ci uczynić przełożenia, powiedzieć, że kochasz, że ja i ty stanowimy jedną, niepodzielną całość, że ta całość rozdzielona żyć nie może, musi skończyć swe istnienie.

— Ale nie, — przerwała mi, — ojciec śmiałyby się z tego, kazałby zamilknąć i powiedziałby, iż miłość dopiero po ślubie rodzić się winna. Postawiłby na przykład siebie i naszą nieboszczkę matkę, która go ujrzała dopiero w dzień ślubu... a potem mówiła, że go kochała.

— Klaro! — zawołałem, — ty mnie za-

bijasz, ty mówisz tak zimno, tak nieczule, w twém oku nie ma zwykłej tkliwości, blasku życia, twoje oko nie płonie ogniem, jakim zawsze błyszczało, gdy na mnie wejrzenie zwróciłaś!

— Sulejmanie, tyś w gorączce.

— O! ja nie w gorączce, ja cię kocham, kocham i nie wiem jak kocham... Ty milczysz, uśmiech żalu, litości a może ironii na twoich ustach... chcesz być moją, lub nie?

— Gabrijelu, ...ja... twoją... — i łkania skończyć jej nie dozwoliły.

— Ja zwlekać nie lubię; — po tych słowach poszedłem do miecznika, i, pamiętam dzisiaj jeszcze, temi słowami Klare go prosiłem: Ojcze, kocham twą córkę, ona mnie także, jeżeli nas nie połączysz, oboje będziemy nieszczęśliwi.

„Miecznik pokiwał głową, uśmiechnął się, wyrzekł „zobaczę,” i odszedł;

a wieczorem ponowił obietnicę swemu
zięciowi, mnie słowem jedném uczcić
nie raczył.“

„Jeszcze dzień jeden przepędziłem
w Krakowie, ułatwiłem swoje interesa,
napisałem list do Klary, w nocy pod-
szedłem pod jej okno, zwykłym po-
dałem sposobem, i dosiadłszy rumaka,
skierowałem drogę do Wielkiej Pol-
ski.“

„W Lesznie Karola nie zastałem, od-
jechał do Warszawy. Nie szukałem
go więcéj, powróciłem do Krakowa,
i znowu napisałem list do Klary, przy-
szedłem na umówioną godzinę, okno
się nieotworzyło, luba nie ukazała się,
a ja doczekawszy się ranka, powró-
ciłem z swém pismem do domu.“

„Konie były osiodłane, dwóch pacho-
lików uzbrojonych, trzymało dwa
juczne wierzchowce, wszystko przy-
sposobioném było do podróży, a mnie

wypadło jeszcze się przebrać i udać do miecznika, powitać go po przybyciu z podróży, utaić uczucie, zobaczyć koniecznie Klarę, porozumieć się, i dopiero działać. Widzicie więc, że nie mało miałem do czynienia, że czasu tracić nie wypadało, i dla tego, nie ociągając się, śpiesznie wybrałem się do starego Wilczyńskiego.”

— Pan miecznik wyjechał, — odpowiada mi na zapytanie służący.

— Dokąd?

— Odprowadzić swoją nowo-zamężną córkę, dawniejszą pannę Klarę.

„Oslupiałem, w pierwszej chwili straciłem przytomność, alerychło upamiętałem się; przyszło mi na myśl, że to może wybieg miecznika. Kilku dukatami rozwiązałem usta odźwiernego. Objaśnił on mnie, w które strony udał się miecznik, dodał nadto, że Klara tam dopiero do wykonania ślubnych przysiąg zagnaloną będzie.“

„Czemp prędzej powróciłem do pomieszkania, pieniądze powierzyłem gospodyni, sam zaś z moimi wiernymi służącymi, ruszyłem w wskazane miejsce. Bodłem ostrogą rumaka, nagliłem go do pośpiechu, mimo to, że szybkość jego biegu utrudzała mi oddech.“

„Nakoniec ujrzałem wieżycę kościółka, w którym Klara miała zaprzysiądz wiare człowiekowi, pojmującemu ją dla majątku. Powstrzymałem bieg konia, zjechałem na ustronie w gęsty las, i zostawiwszy tam jednego z moich służących, z drugim poszedłem do kościoła, w którym dwóch diaków czyniło przysposobienia do ślubnego obrzędu.“

„Po krótkiej rozmowie dowiedziałem się, że mam dwa dni czasu, że wielu zjechało się panów, a każdy zbrojno, po rycersku, że dwór podobniejszy do obozu, aniżeli do miejsca weselnego.

Dziadkom podziękowałem za wiadomości, zostawiłem na piwo, a sam wróciłem na miejsce, gdzie oczekiwał na mnie Jerzy.“

„Znużony, spocząłem pod drzewem, pragnąc nabrać sił potrzebnych do działania, kiedy wtem przebudził mnie Jerzy.“

—Panie,—mówił on,—przejechali lasem dwaj bracia i dwie siostry, czyli nie czas działać?

—Czas!—krzyknąłem i skoczyłem na konia, i czwalem puściłem się za dołatującym mnie turkotem kolaski i trzaskaniem bicia.

„Dogoniłem!“

Gabriel Sulejman przerwał mowę, zdawało się, że był bardzo wzruszony, że mu wspomnienia przytłumiły mowę. Wstał z sieci, zbliżył się do okna, otworzył je, a wietrzyk wieczorny wkrótce mu przywrócił siły i ożywił pamięć.

„Dogoniłem; zrównałem się z końmi, i grzmiące *slój*, wyrwało się z piersi moich. Kobiety krzyknęły, ich oczy spoczęły na mnie, i zdawały się wówczas mieć wyraz taki, jaki wyraża wzrok kochanki, widzącej niebezpieczeństwo ulubionego. Panowie bracia spojrzeli na mnie także, oczki starszego złośliwie, szydersko się uśmiechały, kryjąc źrenice w kącikach bielm; pobladł, wyciągnął sztywno rękę i pięścią mi pogroził.— Grzeczność mnie opuściła, żywość charakteru przemogła wszelkie inne usposobienia, nahażką powitałem grożącą mi dłoń, a gdy dumny panek prędko ją cofnął, i płaczliwie się skrzywił, rozśmiałem się głośno, i już nie myśląc o pojedynku, obu braci okładałem jak najspieszniej batożkiem. Kolaska była szczupła, nie mogli przeto nieboracy wziąć się do obrony, a ja korzystałem i pla-

cilem panu Narcyzowi za dzień ślubu Anny, panu Franciszkowi za konkurencją do mojej, bo ją za moją zawsze uważałem, Klary.“

„Przy takiem honorarjum, raz jeden musiał być za zbyt niedelikatny, gdyż Franuś, poskoczył nagle w kolascie, stracił równowagę, i upadł na ziemię. Podniosłszy, rzucił się na mnie z wściekłością, godząc w piersi mieczem.“

„Bratku, pomyślałem sobie, ty myślisz, że dla mnie żelazo obce; — poczekaj, — wołałem na niego, i zwinnie kierując koniem, podwajałem surowcowe razy, w czem dzielnie mi pomagał Jerzy; drugi służący trzymał za cugle konie kolaski.“

„Przyznam się, że nie chciałem skaleczyć Pana Franciszka, i sięgałem tylko jego pleców; ale moj Jerzy, rozgniewany ciągłemi wymysłami, przemierzył go przez głowę i obalił na ziemię.“

„Kazałem woźnicy zleść z kozła i ratować swego pana, a sam zwróciłem się do kolaski. W zamieszaniu, pan Narcyz wyskoczył i schronił się w lesie, zostawiwszy obie kobiety. Pojąłem, że wkrótce pomoc nadbiegnie—pozdrowilem obie siostry, wyciągnąłem ręce do mojej Klary, a ona z słowami: *ja twoją*, rzuciła się w moje objęcia; usadowilem ją przed sobą, ukloniłem się kolpakiem Annie, puściłem cugle, i z kopyta czwałem ruszyłem do Krakowa.“

„Rumak parskał, rzucał głową i rozmiatał pianę; most tentniał pod jego kopytami, szary wieczorny cień osiadł na wysokich krakowskich kamienicach, przechodzący spoglądali na mnie ciekawem okiem, niektórzy śmiali się, że dwóch jeźdźców na jednym podróżuje koniu;—nie mogli się domyślać, że pod szeroką tygrysią burką,

kochanka tuli się do żarkiego łona tatarskiego ulana. “

„Przybyliśmy na Florjańską ulicę. W godzinę byłem w kościele. Kapłan, który mi chrztu udzielił, związał ręce dwojga kochających się stulą, wyrzekł błogosławione słowa i Klara została moją. “

„Za drugą godzinę, byłem już w drodze.... Zamierzałem wstąpić do hetmana, bawiącego natenczas w Warszawie, a potem powrócić do tych Trok, w których się urodziłem, i w których, w razie potrzeby, tatarska opieka i pomoc była mi zapewnioną. “

„Bez wypadku przybyliśmy do Czerska, i właśnie w tym mieście popasaliśmy konie, kiedy tuman kurzawy okrył gościniec, a wkrótce potem poczet zbrojnej szlachty stanął w gospodzie. “

„Klara, stojąca przed wrotami, pochwyconą została, a gdy na jej krzyk

wybiegłem z Jerzym, kilkanaście błysnęło szabel. W każdym innym razie walczyć z tak przeważną siłą uważałbym za szaleństwo, ale w chwili, w której wyrwano mi Klarę, nie patrzałem na mnogość nieprzyjaciela, nie ważyłem sił własnych, tylko wręcz z napadającymi rozprawić się chciałem.“

„Wkrótce okrzyknięto mnie do koła i miecze skrzyżowały się. Mój wierny Jerzy padł zboczony krwią, ja czułem ból w głowie, lepiej powiem, wiedziałem, że byłem zraniony, a jednak podniecany uczuciami, rzuciłem się na wszystkie strony, usiłując przebić się przez tłum napastniczy, i obok Klary⁴ razem z Klarą przynajmniej umrzeć.“

„Nagle zwiększył się hałas. Mnie-
małem, iż więcej jeszcze przybyło wrogów, a Bóg zesłał mi pomoc. Nadjeżdżający hetman spostrzegłszy

zabijatykę, rozkazał rozegnać niespokojnych, i ująć, jeżeli można, przywódców.—Dworzania jego, luźni i dworscy, byli dzielni rębacze, starli się przeto mężnie z moimi nieprzyjaciółmi; którzy, oprócz trzech, zapalczywie nacierających na mnie, wszyscy obrócili się przeciwko hetmańskim.—Krew spływająca z głowy, zalała mi oko prawe; lewe, pobryk koński, zasypał piaskiem. Nie widziałem przeto prawie walczących, tylko ocierając lewą ręką oko, patrzałem na ich miecze, zadawałem i przyjmowałem razy; ćmiło mi się w oczach, dobyłem ostatnich sił, skoczyłem ku jednemu, najbardziej upartemu, cięciem zrzuciłem go z konia;— porwał się z ziemi i chwycił mnie za gardło, ja ująłem go za czuprynę, piersi przebodłem żelazem, ale już nie miałem sił oderwać rąk jego od mojej szyi, i wspólnie padliśmy na ziemię.“

„Hetmańscy zwyciężyli. Sam hetman dowiadując się o przyczynę zajścia i obchodząc miejsce walki, kazał mnie podnieść, poznał;.... podemną był trup... miecznika. Ja byłem bezprzytomny. W Czersku nie było lekarza. — Dobry hetman zatrzymał się, kazał mnie opatrzyć, a gdy odzyskałem zmysły, badał mnie o szczegóły wypadku. Opowiedziałem mu wszystko z najszczerzą prawdą, a on wlepił oczy we mnie i zapytał. „To ty masz żonę!“ Alboż to Klara nie powiedziała waszej dostojności? — A! zapomniałem, że Klarę porwano; — a dalsze pytania, czynione przez hetmana przekonały mnie, że bezwątpienia przed końcem walki uwiezioną ona została. Nie mogłem powściągnąć się, zerwałem się z łóżka i wybiegłem do gościnnej izby, złąd do stajni. Hetman właśnie wydawał rozkazy dwom dworzanom, aby

Klarę wyszukali i do mnie przywieźli. Rzuciłem się mu do nóg i prosiłem o pozwolenie jechania z niemi. Podnieśli mnie z ziemi, wzruszenia gwałtowne otworzyły rany, i w malignę wprawiły.“

„Po trzech tygodniowej chorobie, mogłem dopiero opuścić łóżko i przecha-
dzać się zwolna po karczemnej izbie. Mój łaskawy opiekun odjechał, lecz zawsze czuwał nademną, w ostatnim liście uwiadomił, że wkrótce w objęcia moje zwróci Klarę.“

„Jeszcze dwa tygodnie przesiedzia-
łem w Czersku, rany moje pogoily się, wesołość umysłu z nadzieją ujrzenia Klary przywróconą została. Używa-
łem przechadzek w okolicach tego miasta i oczekiwałem na kochaną żo-
nę z utęsknieniem.“

„Przyjechała. Ubior jej żałobny prze-
raził mnie; ja nie wiedziałem o śmierci

miecznika, a tem mniej żem był jej przyczyną. — Pytałem ją o to, a ona spoglądała na mnie z niedowierzaniem, zimno, tylko jakby z konieczności, — zraniła mi serce, lecz pokryłem cierpienia, otoczyłem ją najczulszą troskliwością, byłem uprzedzającym każde jej żądanie, mogę nawet powiedzieć, że myślom nie objawionym, zadość się stawało.“

„Trzeciego dnia, w czasie wieczery, po której zamierzaliśmy Czersk opuścić, Klara zdawała się chcieć coś mówić, słowa jednak konały na jej ustach, wahała się, — przeniknąłem jej duszę, zbliżyłem się do niej, uściśnąłem rękę, i zapytałem, czyli już mnie nie ufa, czylim utracił serce oddane mi przez miłość, a nie dla żadnych materialnych widoków.“

„Zapłonila się; wargi jej zadrżały, rzuciła się na moją szyję, okryła lica

moje pocałunkami, a kiedy usiadła napowrót, oczy miała łzami zroszone. — Ja cię zwodzę, — przerwała na koniec, — wypełniam rozkazy ojca, który żyje, a mnie w żałobne odzienie kazał szaty, nigdy ich z siebie nie zrzucić i codzień ci przypominać, żeś zabójcą miecznika. Ta rola dana mi pod utratą blogosławieństwa, na męczarnią twoją.... Ja nie mogłam zatruwać dni twoich, bo cię kocham, kocham Sulejmanie,.... bo hetman mnie zapewnił, żeś ty się tylko bronił, że mój ojciec chciał ci wydrzeć życie, za to, żeś jego pod Parkanami ocalił; za to, żeś pokochał jego córkę — twoją Klarę. — O! ja cię kocham Gabrjelu, kocham całą istność moją, całym jestestwem, duszą kocham, i raczej... ach! raczej przekleń....

— Wstrzymaj się. Nowina, jaką mi zwiastowałaś przywraca mi byt. Oj-

ciec w uniesieniu tylko może podobny wydać wyrok, lecz gdy rozpozna i przekona, żeśmy nie winni, cofnie okrutny cios, wymierzony na dzieci, które go nie dla pieniędzy kochają.

—Gabrjelu! kara nas jeszcze dotknęła, ...miecznik pozbawił nas majątku.

— O! niech będzie Bóg pochwalony, jakżem szczęśliwy! — tu uścisnąłem Klarę, i pełen radości wsadziłem ją na bryczkę, ją, która zawsze tylko w pysznych kolaskach siedziała, co strojne szaty, co bogate komnaty, nad skakującą dworszczyznę i tłumy wielbicieli miała. Ona wyrzekła się świata, ponęt jego, znaczenia, wielkości, dla miłości Gabrjela Sulejmana, trockiego tatarskiego ułana i rolnika.

„Ta miłość, przez którą dla mnie się oddała, pobłażającą była mojej słabości; ja braciom Tatarom nie powie-

działem, żem chrześcijanin; lecz, aby wynagrodzić to Piotrowe zaparcie się mistrza, rozsiewałem pomiędzy nimi nasiona chrystjanizmu.—Wielu z nich są dziś zwolennikami Nazarejskiego Jezusa, i błogosławią mi, a ja się modłę za duszę cnotliwój Klary, matki waszój, która mię lat ośm uszczęśliwiała!“

VI.

POLOWANIE.

Ustatni dzień mroźnego zaświtał listopada, a po wszystkich drogach wiodących do wsi Giwokory, mnóstwo pośpieszało strzelców. Pomiedzy jedną gromadką, przybraną w wieśniacze sukmanki, kroczyło dwóch młodych ludzi. Widać, nie strzelcy z rzemiosła, bo ich zbroja mniej zapewnia użytku, a więcej jest bogata jak innych, od których usuwali się; — trzymając się pod rękę i przez przymrużone powieki przy-

glądając niby osłabionemi oczyma na swoich towarzyszy, oceniali ich podług wartości ubioru, a nie wewnętrznych przymiotów.

Pewnieście poznali, że to dwaj nasi mędrkowicie — Józio i Edzio! idący na polowanie, aby się lepiej kłamać wyuczyli, a czynami odwagi, zręczności i przytomności, popisując się przed łatwowiernemi kobietkami, z łatwości ich potem korzystali.

Polowanie to było wymyślonem przez Edzia. Józef bowiem dla wprowadzenia go do domu Tatara, w którym sam nie bywał, powiadał, że koniecznie potrzeba jakiego bohaterskiego czynu, gdyż wtem się tylko stary kocha. Rzeczywiście nie wiedział już co wymyślić. Kilka miesięcy udawało mu się łatwo oszukiwać Edwarda, ale nakoniec przebrała się miarka cierpliwości, i Edward domagał się koniecznie, aby się z nim udał do domu Tatara. Trudno by-

to wybrnąć, z zaciągniętego długu wypłacić się należało. Józef chwycił się przeto ostatecznego środka; wiedział, że Edward językiem tylko odważny, że rozżartemu zwierzęciu nie zajrzy w oczy, i nożem walki z nim nie skończy. Taki więc warunek podał do wykonania, i zapewnił, że wszelkie wybiegi będą próżnemi, gdyż z strony starego będzie dozorca, kto, niewiadomo; że jeżeli Edward nie da dowodów mężstwa, którem się tak bardzo przechwala, drzwi tatarskiego domku nie otworzą się na przyjęcie jego.

Nie był to dla pana Edwarda przyjemny bardzo kęs; zwlekał więc jak mógł najdłużej polowanie, dając po temu rozmaite przyczyny, a nawet, możeby zaniechał zupełnie zamiarów względem dziewięc trockich, gdyby Józef nie podniecał jego wyobraźni ogniem namiętności, i nie wystawiał

hańby, jakąby się okrył w oczach Sulejmana.

Ale przy takim przedstawianiu rzeczy, nie zaniedbywał także opisywać okropnych skutków, wyniknąć mogących z przedsięwzięć się mającego polowania. Wprowadzał Edwarda w gro-
no myśliwców, i dawał mu sposobność przysłuchiwania się opowiadany-
m wydarzeniom. Tu rozżarty dzik wyrwał wnętrzości zuchwałemu szermierzowi; tu znowu zraniony niedź-wiedź, ciężką swą łapą, zdjął czaszkę, zbliżającemu się dla dobicia go o-
chootnikowi; tu nakoniec rogi bojaźli-
wego, lecz rozpaczą ośmielonego je-
lenia, rozdarły pierś nieprzytomnego
strzelca. — Wszystko to czynił w wy-
rachowaniu, że Edward chwile podo-
bne oddalać będzie ile możności, i że,
ważąc niebezpieczeństwo z namiętno-
ściami, ostatnim milczenie nakaze.

Bylby osiągnął cel myśli swoich, gdyby na jednym zgromadzeniu, podchocony Edward nie zaprosił myśliwców i nie naznaczył dnia polowania, a lubo zaraz nazajutrz czyn ten za zawczesny uważał, przecież dla niepozbawienia się sławy pozyskanej słowami odwagi, odwołać go nie mógł.

W rozłożonej wśród gęstego, ponurego lasu, wiosce Giwokory, już się było zgromadziło kilkudziesięciu hożych młodzieńców, a Edwarda i Józefa jeszcze widać nie było. Nieoszczędzający nikogo władcy boru, żartami i śmiechem wyszydzała dwóch przyjaciół, opóźniających swe przybycie, a tem samem i polowanie, a kiedy ci nadeszli, mnogie wyrzuty obarczyły ich i wystawiły na tem większe pośmiewisko, że zdawali się być raczej przysposobieni na walkę zającami, aniżeli dzikim zwierzem.

Duma Edwarda obrazila się. Postanowił ofiarą nawet życia zmyć ohydne poszepty, ubliżające jego śmiałości, i dla tego, nie zważając na dolatujące go zewsząd przycinki, dał hasło do rozpoczęcia obławy.

Słońce zajaśniało bladym jesien-
nym promieniem, łamiącym się po
śnieżystych zaspach; oddziały strzel-
ców rozchodziły się na przeznaczo-
ne punkta, kniotkowie ustawieni
w łańcuch oczekiwali rozkazów, psy
szarpały się na smyczach, pragnąc
krwawego bankietu.

Nagle długie *hurra*, rozległo się
w powietrzu, i ponawiało się nieprzer-
wanie. Spłoszona zwierzyna ruszyła
się z legowisk i dążyła w miejsce,
gdzie nań oczekiwali strzelcy. Nie za-
pominajmy, że broń ręczna skalkowa
dopiero w używanie wchodzić poczę-
ła, i że w Litwie prawie jeszcze wszę-

dzie lontowej używano. Biedniejsi i uprzedzeni, trzymali się starego zwyczaju, bogatsi chwycili się ulepszonej. Pomiedzy przelo strzelcami pojawiali się tacy, którzy, pogardzając pierwszą, jako niedość zręczną w użyciu, a na kupno drugiej nieposiadając dostatecznych funduszków, przybyli z dziurkami, zbrojni obok tego w krótkie obosieczne noże. Zdaje mi się, że to byli prawdziwi ludzie czynu, bo łatwiej zdaleka godzić, i w razie potrzeby zmanewrować, aniżeli z oszczepem w dłoni stanąć w obec nieuchronnej śmierci, w obec rozjuszonego bólem, ranami i zemstą zwierzęcia.

Obok Edwarda stał Józef; wpatrywał się on w pierwszego, i nie śledził bynajmniej poruszeń mieszkańców kniei, staczających walkę z odważnymi buldokami. Dostrzegł przebiegające dreszcze Edwarda, poble-

dniecie i częste szukanie odwagi w cynowej flaszcze, zawieszonej przez plecy na bogatej srebrnej taśmie. Uśmiechał się na widok tak pocieszających dlań oznak, i usiłował zgromadzić w tym punkcie dosyć świadków, którzyby później zapasy Edwarda szydząco wystawiali.

Tym jedynie oddany myślom, z zwróconą na stanowisko przyjaciela swego twarzą, Józef nie zważał bynajmniej, że na kilkadziesiąt kroków przed nim, łamały się drobne latorośle, i że ciężki żubr, z ognistym okiem, pochyloną ku ziemi głową, rozdrażniony bólem, sprawianym przez uwieszonego u ucha buldoka, zmierzał prosto do niego. Edward, który na wszystkie strony baczną zapuszczał wzrok, głośnym wykrzyknięciem, dał znać Józefowi o grożącym mu niebezpieczeństwie, a ten ostatni, mniemając, że to był głos prze-

strachu, gburowato się rozśmiał i dopiero wtenczas pochwycił się do broni, kiedy zwierzo kilka kroków był oddalony. Kilku mężnych śpieszyło w to miejsce z oszczepami, słabszego ducha ustąpili z zajmowanych stanowisk. Niewątpliwém prawie było, że Józef, który nie zdążył wystrzelić, i tylko kordelasem zamierzał się rozprawiać, niezawodnie padnie ofiarą swėj nieuwagi, kiedy wystrzał, i raz, jakim ugodzony został wspaniały zwierz, zwrócił go na dym prochu, i Edward, ocalający przyjaciela, ujrzał przed sobą ostatnią chwilę.

„Jak dziecko, lub słaba kobieta, opuścił ręce; nie stracił wszelako wcale przytomności. Przed nim był głęboki dół, przez wyrwanie drzewa z korzeniem zdziałany, rzucił się więc doń, a ranny żubr przeskoczył i wpadł na śmiałego Sapieszkę, który, druzgocząc żelazo oszczepa o twardą jego czaszkę,

zręcznie usunął się na bok i szeroki nóż pod lewą łopatkę zanurzył.

Żubr zwrócił się raz jeszcze, i konwulsyjnie wstrząsł się. Ostrze dosięgło serca, życie opuściło ciało jego.

Zaledwie Edward wylazł z dołu, a Sapieszko otarł skrwawiony nóż, i odebrał od sąsiednich towarzyszy powinszowanie, rykniedźwiedzi obił się o uszy. Józef, chcąc pozyskać gałązkę choćby takiego wawrzynu, jaki otrzymał Edward, odwiódł kurek i oczekiwał spokojnie nieprzyjaciela. Ale w tym razie niebezpieczeństwo się zwiększyło: z prawej strony wysunął odynec, z lewej zaś ogromny niedźwiedź, jakich już dzisiaj Litwa nie posiada. Strzelił, nie wiem, czy trafił, ale wiem, że kiel dzika rozpruł mu brzuch i pociągnął daleko za sobą wnętrzności.

Tak bardzo smutny wypadek byłby

w obecnych czasach końcem okrutnej zabawy, ale wówczas nie zwrócono na to żadnej uwagi, rożek zagłuszył ostatnie jęki nieszczęśliwego, a Edward, stwórca tego polowania, mimowoli i dla przekroczenia tylko progów tatarskiego domu narażający swe życie, zmartwiał, spoglądał na skrwawione zwłoki człowieka, którego za przyjaciela aż do śmierci uważał.

Edward byłby chętnie opuścił plac walki, tem więcej, że ogień z ręcznej broni żywy się rozpoczął, i że strach oziębił do takiego stopnia uczucia miłosne nie tylko ku młodej Tatarce, lecz i całemu światu kobiet, iż bohater nasz upatrywał sposobnej chwili, w której mógłby niewidzialnie z kół walczących się wymknąć, i na miękkiej pościółce, ułożonej przez kochaną mamę, wytchnąć po kilkogodzinnych trudach.

Stado jeleni, sformowane w linją podwójną, ukazało się przed skupionym w tém miejscu hufcem strzelców, którzy ufni w przemożne swe siły, postanowili odeprzeć atak rogaczów.

Jelenie wstrzymali się, — zdawali się namyślać, a myśliwcy korzystając z wahania się zwierząt, razili gromadę ich celnymi pociskami.

W jednej chwili kozły zbili się w gęstą kolumnę, i, z pochylonemi kuziem i głowami, rzucili się na swych nieprzyjaciół. — Niestety! próżne wysilenie — usiłowania ich zniweczono — kilku zaledwie zdołało się przebić przez zastęp ochotników, reszta zabita lub rozpierzchnięta po lesie, ściganą była przez ogary i innego rodzaju psy myśliwskie.

Trąbki odezwały się na wszystkich punktach i napełniły las echem złowieszczym dla jego mieszkańców,

przerażające ryki zwierząt rozlegały się po puszczy, szczekanie psów mieszało się z rzeniem koni dojeżdżaczy i potrzaskiem ich biczów. — Gwar, krzyk, jęk, ryk, strzały, — tak dalece odebrały przytomność Edwardowi, że wlepił oczy w spruchniałą leżącą przed nim końską czaszkę, i pozostał w miejscu, pomimo, że linja strzelców cofnęła się, i rażąc ogniem nadbiegającą zwierzynę, posyłała kule w miejsce, w którym pozostał młody Zabohoski.

Nakoniec, przy zapadłym zmroku, strzelcy zgromadzać się poczęli około rozłożonych na wzgórku ognisk; ba-klak przechodził z rąk do rąk, a barylka sprowadzona z wioski wkrótce wypróżnioną została.

Noc już była zupełna, kiedy spostrzeżono nieobecność Edwarda. Niektórzy radzili przejrzeć las, inni znowu, z szyderczem uśmiechem na ustach,

twierdzili, że go szukać trzeba w domu, gdyż od chwili walki z gromadą jeleni, nie widząc go w swem towarzystwie, mniemali, że zrażony śmiercią przyjaciela, przedwcześnie opuścił zajmowane stanowisko, aby trunkiem zatrzeć wrażenia, jakie śmierć Józefa na nim uczyniła.

Długo nie chciano zgodzić się na przejrzenie lasu; lecz gdy Sapieszko sam zamierzył to dopełnić, kilku postanowiło mu towarzyszyć, i niezważając na przełożenia pozostających, zapuścili się w knieje.

Wieśniacy, z pękami zapalonej lucywy, poprzedzali ich, i zaglądali w każde miejsce, gdzie można było szukać schronienia w niebezpieczeństwie. — Edwarda nie było.

Uderzono w rogi — nikt się nie odezwał; powtórzono — ozwał się ryk niedźwiedzia! Strzelcy przysposobili

się do odporu i szli dalej, bynajmniej nie zważając, że się na wielkie narażali niebezpieczeństwo.

— Jest, — zawołał wieśniak, i stanął, wołając na innych, aby pośpieszali.

Wkrótce zgromadzili się wszyscy. Edward leżał pod martwym niedźwiedziem.

— Obaj polegli, — zawołał Sapieszko — myśmy temu winni; ... źle... zrzucmy kudłacza.

Kilku wzięło się do rozdzielania dwóch ciał, i wtenczas spostrzeżono, że potyczka nie dawno musiała mieć miejsce, gdyż krew sączyła się z ramię Edwarda, w które niedźwiedź zanurzył swe szpony. Obrona była dzielna, rozpacz mogła tylko skłonić do podobnego passowania się. — Niedźwiedź miał przestrzeloną dolną szczękę, i kilkanaście zadanych ran ostrym narzędziem. Cios zabójczy na-

stąpić musiał wówczas, kiedy się wspiał na tylnych łapach, gdyż nóż aż do połowy rękojeści zatopiony był w piersiach, i zapewne w zupełności przeszył serce. — Uderzenie było mistrzowskie, widać jednakże, że Edward nie miał czasu do ustąpienia zwierzęciu, i że ten ostatni, w chwilach skonu, dosięgnął pazurami swemi przeciwnika.

Podniesiono Edwarda, obejrzano. Żadnej więcej, oprócz na ramionach, nie otrzymał rany. Sapieszko położył rękę na sercu. Ciepło przyjacielskiej tej dłoni, ożywiło zamarłą w łonie krew, i ranny westchnął.

W Giwokorach, w chacie na ustroiniu stojącej, złożono Edwarda, polecając go pieczy starej kobiety, która natychmiast potrzebne lekarstwa przysposabiać zaczęła.

Tak skończyło się polowanie. —

Przysłowie mówi, „kto pod kim dolki kopie, sam w nie wpada,— Józef poległ,— Edwardowi przyznano jednomyślnie odwagę; — a odwaga ta wzięła źródło z jego bojaźni, co go przykuła, że tak powiem, do miejsca, przed którem leżała końska czaszka,— i koniecznej obrony życia, przed widoczną śmiercią.

.....
 — Cicho, — szeptała stara z Giwokorniewiasta, — śpijcie, i nie przeszkadzajcie mnie opatrywać ранnego.... Gdzie pójdziecie? — mówiła dalej, — po co? żeby się z gromadą wilków spotkać, jeszcze czego,... małoście wczorajszej zarobili nocy?

— Nie wtrącaj się, matko, — przerwał dzikich rysów twarzy mężczyzna, włos kruczy którego przypruszyła lekka siwizna, — gadajcie co chcecie, my jednak nie opuścimy naszego biedne-

go Czywasa; — jakimkolwiek sposobem musimy go uwolnić.

— A jeżeli nie zbierzecie wymaganej summy?

Ranny zajęczał.

— Co tam będziesz się tłumaczył starej babie, — przemówił jeden z kilku innych leżących na słomie, — jej rzeczą opatrywać chorych, zadawać uroki, ... naszą bić niecną szlachtę. “

— Nie tak bardzo przechwalaj się, — odpowiedziała cichym głosem stara, — kiedyżście to pobili szlachtę, może u Wróblewskich?

— Milcz! — krzyknął starszy, i do w połowy podniósł się z posłania, — przypominasz Wróblewskich; ... wi-
dać, że śmierć jedynego syna nie czyni ci przykrości.

— O wy szkaradni opoje, rozbójnicy.

— Cicho... ktoś idzie, ... pewno Buczys.

Chata stariej stała w zaroślach. Każdy wieśniak z Giwokor składał jej daninę, a za to pewnym był pomocy w chorobie. Młodzież udawała się do niej w potrzebach serca, z zupełną ufnością i nadzieją; — starszy szukali środków dla przedłużenia nędznego swego życia; — a okoliczni mieszkańcy dążyli do niej, dla dowiedzenia się o swą przyszłość.

Przyznacie zatem, że stara Meda, była dla wszystkich bardzo potrzebną, i że chętnie dopełniano wszelkich jej żądań. Zwano ją wprawdzie wieszczbiarką, lekarką, czarownicą, matką zbójców, ale nikt nie myślał w czemkolwiek jej szkodzić, i owszem każdy, dla zyskania jej łask i opieki, gotów był narazić się na największe niebezpieczeństwo.

Od czasu tajemniczego zniknięcia syna, Meda zakazała, aby nikt nie przychodził do niej w nocy, chociażby pomoc jej była konieczną, a potrzeba najnagłębszą.

Odtąd każdy omijał jej chatę w nocy—w dzień pukał do drzwi z zupełną ufnością.

W dzień chata była pusta, na przedpiecku nie błysnął ogień. — W nocy, stara pod pozorem przyrządzania lekarstw, przysposabiała wieczerzę dla zgromadzających się próżniaków, posilała się razem z nimi, dzieliła łupami zdobytymi rozbojem lub rabunkiem, i rozporządzała ich działaniami dowolnie i bezwarunkowo.

Bandyci nie przedsięwzięli żadnej wyprawy bez jej wiedzy i dorady; — poczciwi ludzie mówili, że ona niejadła; że jest duchem: dla złych, złym; dla dobrych, łaskawym.

Tajemniczość otoczyła siedzibę Medy, — grunta nie były uprawne, — pańszczyzna nie odrabiana; — a jednak żyła, a jednak dziedzic i słowem jednym nie objawił swej niechęci.

Pies zawył przeraźliwie na dworzu, tak jakby był silnie uderzony, stara boleśnie wykrzywiła wargi, zgrzytnęła żółklemi zębami, i wlepila wzrok w drzwi, przez szczeliny których dął mroźny wiatr, świszcząc ponurą i przejmującą duszę piosnkę.

Drzwi się uchylily. Mężczyzna wysoki, barczysty, z przenikliwym wzrokiem, z gęstemi, czarnemi brwiami, wszedł do izby. — Stara wieśniacza sukmana, pas rzemienny czarny, z mosiężną klamrą na przodzie, łapcie obwinięte szmatami rogoży, ciągnącej się za idącym i zacierającej ślady stóp jego; wielka, czarna czapka sukienna, wewnątrz baraniem futrem

wyłożona, — oto ubior nowo-przybyłego. — Kij, gruby, sękaty, dębowy; nóż szeroki, obnażony, załknięty za pasem, — to uzbrojenie Buczysa.

Na twarzy jego, widocznie namiętniej, malowała się duma poniżona, gwałtowność, chęć zemsty. — Podejrzliwa baczność, pytające wejrzenie, raz groźne i okrutne, znowu ciekawe i chytre, cechowały się w jego oczach. Twarz stosunkowo do ogromu ciała, mała, niezarosła, poorana przedwczesnymi zmarszczkami, okrągła, jak już powiedzieliśmy, okazywała jawnie, wszelkie odcienia uczuć człowieka, którego mała i delikatna ręka, nie zdawała się należeć do sochy.

Wszedł razem z skomlącym psem, nie rzekł słowa, zbliżył się do łóża Edwarda, popatrzył, znacząco spojrzął na Medę, i założył na piersiach ręce, czekając odpowiedzi, na dane oczyma zapytanie.

—Będzie zdrów,— odrzekła stara.

—Będzie!— powtórzył Buczys, i odszedł od łoża, i zajął każde z towarzyszy w oczy; potem pokiwał głową, kaszlnął parę razy, przywołał psa, a gdy ten położył się narozrzuconej w kącie słomie, bandyta legł na to skromne posłanie, wspierając głowę na wiernym i przywiązanym *Beziecie*.

Od czasu przybycia Buczysa do chaty, zamilkli wszyscy inni jej mieszkańcy; każdy z pod oka spoglądał na niego, chcąc wyczytać, jakie przynosi wieści o kochanym Czywasie.

Rzecz godna uwagi: czasem odrzutki społeczeństwa ogólnego, wiążą się w koło towarzyskie, dając dowody najszczerzej wzajemnej względem siebie przyjaźni i miłości. Widać, nie są tak złymi; i potrzeba tylko odważnej, wytrwałej, ludzkolubnej dłoni, któraby oszczędzała a nie wystawiała

uczucie miłości ich własnej na pogardę i poniżenie, któraby kładąc palce na wstydem okryte ich czoła, zmazała plamę, aby z tych zepsutych dzieci świata, mieć pocziwych ludzi.

*

*

*

Ranny otworzył oczy.

Meda powstała, i zbliżyła kubek gliniany do spieczonych ust jego.

Chory przyjął napój, a potem powlókł smutnym wzrokiem po szczerzonych ścianach chaty, oświeconej pobłyskiem łuczywa, zatkniętego pomiędzy bale ściany.

Był przytomny.

— Oglądasz moją zagrodę, paniczku, — rzekła stara, — nie tak wygodnie jak w rodzicielskim czystym dworcu, ... ale na dzisiejszy wypadek, dostatecznie. Prędzej zobaczysz słońce, aniżeli gdyby cię cała czereda wileńskich doktorów leczyła. Stara Me-

da, to anioł tej ziemi. Bo też ziemia Trocka ładna; prawda paniczu? nie masz nigdzie takich borów, jak u nas, ... nie masz nigdzie tak dzielnych strzelców, jak u nas; nie masz nigdzie mądrej Medy, tylko u nas!!

Edward patrzył uważnie na starą, mówiącą prędko, z zapalem i dumą, rozwodzącą się nad samą sobą i myśląc: „to warjotka.”

Ale Meda, jeżeli powiedziała, że jest mądrą, to nie dla siebie samej szukała w tém chluby; ona chciała, aby ziemia Trocka przenosiła wszystkie inne kraje, i świeciła światłem słońca, gaszącem światło gwiazd.

—Nie obawiaj się, paniczu,—mówiła dalej Meda,—ja cię nie oddam w ręce doktorów.... w nocy nikt tu nie przyjdzie;... w dzień przychodzą do mnie rady.—Jesteś ładny, chłopcze, dalibóg ładny, mój syn...

Stara zamilkła. Obraz syna mimowolnie przywołała przed swe oczy. Usiadła na pieńku, przygryzła dolną wargę, i wpatrywała się uważnie w śpiących na słomie, a szczególnie w Buczysa.

Sen skleił jej powieki, łuczywo przygasło, ciemność zaległa ustronną chatę...i... wszystko się uspokoiło.



VII.

MEDA.

Switanie.

Meda klęczy; — ręce założyła na głowę, na twarzy jej wyraz niemój rozpacz, usta zaciśnięte, oczy osłupiałe, wlepione w pusty kąt izby; — w tym kącie sypiał syn jej Walenty.

— Na przeciwległej stronie, na rozwiązanych snopach słomy, spoczywało pięciu mężczyzn. Zdaje się, że wszyscy śpią, mają bowiem przymknięte powieki i chrapią;... a jednak, jeden

z nich otwiera niekiedy oczy, i znowu je zmruża, chrapie, myśli, bok mu boli, nie przewraca się atoli na drugi,— myśli i zaciska pięście, serce bije mu gwałtownie... chcecie wiedzieć kto to?—to Buczys!...chcecie wiedzieć co myśli?— pragnie zaspokoić żądzę zemsty, i umrzeć!

Co go skłania do zemsty, później się dowiemy.

Pod oknem, na tarczanie, sianem świeżem zaślanem i prześcieladłem przykrytem, leży Edward. —Usnął, lecz rozpowiada we śnie o Tatarkach, o potowaniu, o krwi, kulach, nożach, o rogach żubra, o pazurach niedźwiedzia. — Krzyknął i zbudził się. -- Ma-
ra Józefa wyrwała go z objęcia snu.-- Westchnął ciężko i znowu potoczył okiem po izbie.

Starę, po głośnem wykrzyku Edwarda, opuściło zachwycenie, w jakim

się znajdowała, żwawo poskoczyła do rannego, podała mu napój, przykryła twarz białą, czystą chustką, a gdy znowu zasnął, zbliżyła się do Buczysa, położyła rękę na jego ramieniu i rzekła:

— Wstań... czas... dzień!

Buczys podniósł się z posłania, zbudził swoich towarzyszy, nie rzekł słowa i wyszedł z chaty, a za nim śpieszyło czterech towarzyszy, podobnież jak on odzianych i uzbrojonych.

Wczoraj było polowanie na zwierzyne... dzisiaj, na ludzi.

Wkrótce znikli w gęstwinie lasu.

*

*

*

— Żono!

— Meżu!

Te dwa wyrazy wyszły z ust państwa Zaboloskich, gdy Sapieszko w noc późną przyniósł im smutną nowinę.

Po wyrzeczeniu tych słów, usta pozostały otwartemi, rzekłbyś, że dwa posągi stoją naprzeciwko siebie. Ludzie co nie umieją podzielać cudzej niedoli, i nieść pomocy lub pociechy bliźnim, sami nazbyt mało mają hartu duszy, aby znieść mogli ciosy niespodzianego nieszczęścia; wówczas pragną od każdego wsparcia i pobłażania; nie pomni, że gdy w mroźną noc przyszedł nędzarz, odmówili mu noclegu; że gdy wdowa z sierotami, pogorzała, prosiła kawałek czarnego z plewami chleba, odwrócili się i niezrozumieli jej mowy, chociaż ona mówiła nie obcym im językiem.

Sapieszko stał także i patrzył na boleść małżonków; lzy kręciły mu się w oczach, a łez się wstydził stary szlachcic, odwrócił się przelo, przetarł rękawem oczy, i, na pociechę zasmuconym, rzekł:

— Nie obawiajcie się przecie, nie jest śmiertelnie rannym, z resztą powierzyliśmy go opiece uczonej Medy!

— Jakiej Medy? — zapytała Zabohoska.

— Czarownica, wieszczbiarka, zły duch, dobry duch, sławna lekarka, — odparł Sapieszko, chcąc wielością tytułów, wrazić przekonanie w Zabohoskich, że syn ich w lepsze ręce oddanym być nie mógł.

— Czarownica! — zawołała strwożona matka, — i ty śmiesz sąsiedzie mówić, że mój Edward pewnym jest życia. O! mój Boże! mężu! mężu! czyś zrozumiał! czyś ogłuchł? Edward w domu czarownicy, — jedźmy, jedźmy, wyrwać go z siideł szatana; — to mówiąc wybiegła z pokoju, a Sapieszko z większem jeszcze zadziwieniem, w myśli rozbierał jej słowa, nie pojmując, dla czego obawiać się czarownicy,

wtenczas, kiedy ona chętnie z pomocą śpieszy, i kiedy jeszcze czarownica ta, nikomu w okolicy nie zrządziła krzywdy.

Wkrótce powróciła Zabohoska, a widząc swego męża jeszcze w poprzednim stanie, uszczypnęła go za czerwony nos tak mocno, że ból wrócił starca do przytomności.

—Jedźmy!—jedźmy!—wołała stara.

—Ja nie pojadę.

—Ty nie pojedziesz?

—Nie pojadę.

—To ja pojadę.

—A wilki!

Obraz niebezpieczeństwa, wygładził z serca macierzyńskie uczucia. Zabohoska, przedstawiając sobie śmierć zawczesną, (której bliską była), z zbytecznego poświęcenia się wyniknąć mogącą, osądziła teraz, że opieka czarownicy nie jest tak złą, jak się

jęj poprzednio zdawało. Odłożyła więc swój wyjazd na dzień następny, i zabierała się do spoczynku, a tymczasem poczciwy Sapieszko, oklep, na dobrym swym kucyku, spełniwszy kilka w dniu jednym zaletnych czynów, wracał do swej rodziny, — jechał przez las, gwiżdżał i klepał po szyi konika, który podwajał swe kroki.

Ani jeździec, ani koń nie bali się wilków.

Bo dążyli do swoich.

Nazajutrz, z rana, pani Zabohoska pojechała do Trok, po księdza gwardjana bernardynów; w towarzystwie bowiem duchownego sądziła się być bezpieczniejszą w obec kobiety, mającej związku z piekłem. Zabohoski postanowił ich czekać z śniadaniem. Rzeczywiście, chciał poszukać śmiałości w kieliszku, bo w sobie jęj nie znajdował, od czasu wiedeńskiej sprawy,

kiedy mu Turczyn, drzewcem piki, porządnie grzbiet obił.

I nie źle się uwijał, bo gdy ksiądz gwardjan uchylił drzwi, i świętymi słowami gospodarza powitał, zacny szlachcic już zapomniiał o świecie, i w indeale marzył o rajskich rozkoszach.

Matka, w troskliwości swojej nieznająca granic. Gniewa się na męża, ale gniew jej nie pomoże Edwardowi, postanowiła przeto jechać sama z gwardjanem.

Niedaleko, do Giwokor mila tylko, od wioski do chaty stariej z pół wiorsty. Konie dobre, woźnica nie gorszy, sanna wyśmienita, pakunek nie ciężki. — Chuda kobieta, tłusty ksiądz, i hoży parobczak, zaliż przytrudno dla trzech żmudzkich biegunów. Żmudzki konik, mały, krótki, ale zwinny, szybki i wytrwały; na tych konikach

nie raz bili Litwini Krzyżowców na meklemburgskich szkapach, dla czegożby mieli dzisiaj własnością krajową pogardzać.

Patrzcie! już i Giwokory. Karczma, przed nią wybiegł brudny żyd, zapraszając gości na popas: siane, słome, jajka, masło, szego trzeba, mlika, mam wszystkiego, wodka, piw bardzo dobrego, — dobrodzieju, szego trzeba, mam wszystkiego.

— Gdzie chała stariej kobiety, która jest czarownicą? — zapytała Zabołoska.

— Carownicy, — powtórzył przeciągle żyd, — tu nie ma carownicy.

— Nazywa się Dema.

— Dema! — nie — może Mede?

— Dema czy Meda, gdzie jej chała?

— To nie carownica, to dobrego bardzo kobita.

— Pytam cię gdzie jej chała, czy mnie rozumiesz?

— Rozumiesz, ... ale ona nie carownica, za co ona carownica.

— Odpowiedz-że, — zawołał woźnica, biczem podcinając wysmukłe łytki żydka, który podskoczywszy komicznie, zawołał:

— Za górą, pod lasem.

Konie ruszyły czwałem, i w kilka minut grzebały kopytami przed ubogą strzechą wieśniaczki.

— Exercissymo, — rzekł wchodzący do izby gwardjan, zaczynając swoje pacierze.

— Dobrodziej kochany, — krzyknęła stara Meda, i poskoczyła ku niemu, chcąc w rękę pocałować, ale ksiądz się cofnął i dobył kropidła.

— Ale on nie umarł, — zawołała Meda, mniemając, że kapłan chce nad zwłokami zmarłego modły odprawiać.

— Umarł! — przeraźliwie krzyknęła Zabohoska, i rzuciła się na śpiącego

Edwarda, który zbudzony nagle, zerwał się i usiadł na posłaniu.

— Czary! czary! — wołała uciekająca z chaty Zabohoska, — szatan tu mieszka, uciekajmy.

Lubo Zabohoska opuściła chatę i wsiadłszy w sanki, wołała ciągle na księdza, aby czemp prędzej wychodził, przecież kapłan, doświadczeńszy od niej, zbliżył się do chorego, i widząc, że nie jest niebezpiecznie rannym, wypytywał się o zdarzenie, i odsuwawszy zasuwkę od okna nie oszkłonego, wołał na matkę, aby do syna jak najspieszniej przyszła.

Długo opierała się ona namowom księdza, ale nakoniec odważyła się wejść do chaty, i przekonawszy się o życiu syna, uklękła i modlić się zaczęła.

Meda przypomniała znowu swego syna, ...uklekła także i modliła się.

Sługa boży patrzył na tę kobietę, w oczach której zakwitło obłąkanie, litośnie i myślał:

— Ona czarownica taka jak ja! biedna kobieta, za to, że więcej umie od innych, sądzą ją być związaną z szatanem. — Jaka złośliwość! dla czego nie mniemać, że Bóg udzielił jej przez dobrego anioła wiadomości, któremi okolicy się przysługuje. Wszakże Bóg daje rozum człowiekowi, tak jak wolę i pamięć, ... dla czegoż ludzie rozum, zawsze czartowi przypisują — słabi.

Zbliżył się do klęczącej Medy, i rzekł: Błogosławieni cierpiący.

-- Ale poniżeni pyszni. — odrzekła stara i łzami zalane oczy fartuchem obcierała.

Ksiądz usiadł na pieńku, Zabohoska przy synu, a stara, uroczystym, powolnym głosem, opowiadała o wiel-

kości ran, i o lekarstwach, jakich używa na ich zagojenie.

— Nie próżno żyła, — myślał kapłan.

— Czarownica, — myślała Zabohoska.

Meda skończywszy prelekcję właściwej sobie medycyny, dodała, że pan Edward musi pozostać dni kilka w jej chacie, gdyż przewiezienie go w stanie, w jakim się znajduje, może zwiększyć niebezpieczeństwo. Zaręczała za jego wyzdrowienie, w słowach tak czułych i pewnych, że ksiądz spozierał na nią z pewnym zadziwieniem i źle ukrytą ciekawością.

Namowom starszej i przełożeniom kapłana uległa Zabohoska. Odjechała, zostawiając syna pieczołowitemu staraniu Medy, którą przecież jeszcze za czarownicę uważać nie przestawała, chociaż gwardjan, ciągle przeciwnie twierdził, i nazywał ją tylko *nieszczęśliwą kobietą*.

Irzeczywiście odgadł położenie Medy, już tém samém nieszczęśliwój, że zdolnej moralnie cierpieć.

Dzień cały zszedł na przyjmowaniu gości.

Rano przyszła młoda dziewczyna, pytała o przyszłość swoją.

— Opowiedz mi przeszłość i teraźniejszość, — przerwała Meda,

Dziewczyna zamyśliła się, potem przerywanym głosem mówiła:

„Mój ojciec był zamożnym rolnikiem, twierdził nawet, że szlachcicem z przodków swoich; — był pracowity i uczciwy, i nam wszystkim dobrze było, ... a było nas dosyć: ojciec, matka, babka, trzy siostry, czterech braci... Najstarszą, ładną dziewczynę, kiedy już miała lat szesnaście, upodobał sobie nasz dziedzic; ale myśmy o tem nie wiedzieli, i ona nie wiedziała. Kazano jej przyjąć służbę w dworze, ...

przyjęła. — W niedzielę przyszła odwiedzić ojcowską strzechę, miała kolorową na sobie sukienkę, tak jak panna jaka, i mówiła, że nic nie robi, tylko kurz w pokojach ściera. — My, dziewczęta, zazdrościłyśmy jej, i bardzośmy pragnęły być w dworze, ale ojciec wziął ją na stronę i długo rozmawiał. Siostra nasza raz była pokraśniała, to znowu zbladła całowała ręce rodzica.... Odeszła.“

„Co niedzielę bywała u nas. Jednej nawet przyniosła nam w podarunku po jedwabnej chustce; jakież to ładne były chustki, czerwone całe, aż w oczy biły; myśmy się cieszyły; ojciec dziko w nią wpatrywał się, odwołał na stronę, długo znowu rozmawiał, a ja nadstawiałam ucha, i gdy doleciało mnie ojcowskie zapytanie, *ty pewno skradłaś*, tak mi się przykro zrobiło, że więcej chustki do rąk wziąć nie chciała.“

„Ale Kasia nie kradła, ona była pocziwa, lecz nie pocziwymi otoczona.”

„Później... lecz nie pamiętam po upływie jakiego czasu, gdyż, widzisz, jestem bardzo młodą, a lat temu kilka dzieckiem byłam, Kasia nie była kilka niedziel, ojciec poszedł do dworu, powiedziano mu, że jej widzieć nie może, bo ma pilną robotę, i tak było dosyć długo. — Nakoniec pewnego dnia wrócił z pola blady, zasmucony, wziął matkę z sobą i wyszedł na podwórzec; — ja, ciekawością zdjęta, pobiegłam za nimi i skryłam się za węgieł. Co mówili, nie dosłyszałam, ale widziałam lzy, a lzy tak bardzo mnie przejmują, moja matko, że sama także zapłakałam. Jeden wyraz tylko doleciał uszu moich, *podły*; — wtenczas nie rozumiałam jeszcze znaczenia jego, dziś pojmuję czego rodzice płakali, i dla czego tak obmierzłego użyli słowa.”

„Ojciec przestał nocowywać w domu. Wieczorem brał zawsze z sobą najstarszego syna.”

„Niezważałyśmy na to, bośmy były, jak już mówiłam, małe; — ale matka płakała w dzień, płakać musiała i w nocy, bo nie raz, obudziwszy się, tłumione łkania, bolesne, cierpkie, przerażały mnie, i wyciskały z dziecięcych mych oczu gorące łzy niewiadomości.”

„OKasi nie było nawet słyhu. Jednej nocy, w jesieni, ojciec wrócił sam jeden. Nie długo za nim wpadło kilku pańskich hajduków, porwali go, związali, wywlekli z chaty i na dziedzińcu niemilosiecznie bić poczęli. — Dzieci, zawołał pokrwawiony starzec, zemściejcie się. — Niedokończył tych słów a wszyscy moi bracia rzucili się na oprawców. Bitwa była straszna. — Służalców było dwa razy tyle, co na-

szych; oni byli zbrojno; — a bracia moi z kijami tylko uwijali się, i jak mogli tak dworskich bili ludzi. — Już, już mieli rozpedzić napastników, kiedy przybył ekonom z kilkunastu ludźmi. — Dwóch młodszych pojmano, średni uciekając przed goniącymi utonął w sławie, o najstarszym niemał dotąd żadnej wiadomości.”

— A cóż się z twoim ojcem stało? — zapytała stara.

„Zaraz, opowiem, nic nie zataję, bo chcę wiedzieć przyszłość, a możebyś nie mogła jej przewidzieć, gdybyś nie miała przeszłości szczerze opowiedzianej.”

— Niewątpliwie.

„Otóż ojca i braci powieziono do dworu, i tam, jak mi potem umyślnie, dla większego cierpienia, pokazywano, zakuto w kłodę, tak, że biedni męczennicy, leżąc na gnoju, nogi mieli

podniesione w górę i ciśnione ciężarem drzewa. Ekonom, kazał mnie ich pytać: *czy wygodnie*, ale ja mu na to odpowiedziałam, że dobrzeby było, aby twoja szyja wygodę taką miała."

„O! moja matko, nieuwierzysz, jakim wzrokiem rzucił na mnie mój ojciec. Zdawało się, że w oczach jego malowała się bojaźń, abym nie była ukarana, — i wdzięczność, za odważne wyrazy, które mi boleść i oburzenie z piersi wydarły."

„Obito mnie. Placząc wracałam do chaty, w chacie zastałam kilka sąsiadek. — Matka leżała na ławie przykryta prześcieradłem, w głowach paliła się lampka. Lubo od dymu jalowego prawie ciemno było w izbie, i ja, wchodząc, gorącem powietrza na chwilę odurzona zostałam, przecież zrozumiałam wszystko. — Niepłakałam — ale coś tak było przykrego,

jątrzącego, ściskającego piersi, żem tylko raz wykrzyknęła, a potem już milczałam, bo mówić nie mogłam. — Miałam wtenczas lat dziesięć.”

„Nazajutrz pogrzebano matkę — siostrę starszą wzięto do dworu. Białutka, miała takie serce jak moje, nie jadła chleba, lecz oddawała go biednemu ojcu i braciom. Ekonom dostrzegł, powiedział, że to zbrodnia, skrzywdził, nie, nie skrzywdził, skatował ją w oczach ojca. Stary nie mógł przenieść tak okrutnego widoku. Umarł krwią zalany.”

„W dworze był pisarz, Buczysem go zwano,”

(Stara zacięła zęby.)

„mówiono, że go ojciec wypędził, wyparł się, — za ożenienie się z wieśniaczką. — Nie wiem czy to prawdą było, ale wiem, że był ładny, z białymi zębami, młody człowiek. On u-

„pomógł się za nas, posprzeczał się z ekonomem, i jédnej nocy uwolnił z więzów moich braci!”

„Zemsta, wywołana takimi czynami, nie zna granic. Tejże saméj jeszcze nocy spalił się dwór z wszelkimi zabudowaniami. Ekonom wśród zamieszania ujrzał uciekającą Białkę. Pochwycił ją i rzucił w płomień. Buczys to widział, wyniósł z płomieni małą dziewczynkę — ale już nieżywą.”

„W kilka dni... powieszono... dwóch moich braci. — Buczys znikł, — ja także porzuciłam pustą chałupkę, chociaż mi nakazywano pozostać — Przytułek znalazłam u węglarza; — w lesie już dziewięć przepędziłam wiosen; teraz mi tęskno.”

— Kochasz?

— Prawdą.

— Będiesz szczęśliwą — ale o zemście nie myśl nigdy.

— A jak się wyrzeknę zemsty, czy Jaś będzie moim? Jaś piękny, ma białe zęby, niebieskie oczy, czarne włosy.

— On cię bardzo kocha, prawda dziecię.

— O! bardzo, bardzo kocha.

— I do innych się nie zaleca.

— O! wcale nie.

— Jaś, z białemi zęboma, niebieskiemi oczyma i czarnemi włosami będzie twoim mężem, ... ale ty bądź dobrą gospodynią, rządzą, pracowitą... i... jego tylko kochaj miłością kochanki-żony.

Dziewczyna pocałowała Medę w rękę i opuściła jej chatę, myśląc:

— No proszę, nawet wie jakie ma imię, opisała mi włosy, oczy i zęby — czarownica, ale — dobra.

Stara mogła z zupełną pewnością przepowiedzieć zamąż pójście dziewczynie, bo jej narzeczony przed dwoma dniami odwiedzał także chatę Medy i opowiadał swoją przeszłość, teraźniejszość i pragnioną przyszłość.

Kilka innych osób przychodziło po dorady, a każda wychodząc myślała: wieszczbiarka, czarownica.

*

Dwa tygodnie upłynęło. Edward wrócił do domu rodziców.

Meda udzielała rad przychodzącym po nie.

W kącie izby, na słomie, spoczywało sześciu mężczyzn. — Bandyci nie mogąc zebrać pieniędzy potrzebnych na wykupienie Czywasa, wylamali część muru i uprowadzili go z więzienia.

— Bogu dzięki, — mówił Pryba, — że to szlachciątko czarci wzięli, człowiek, od czasu jak on przytomność odzyskał,

noce pod strychem przepędzać musiał.... Dzisiaj... to ja pan... piec ciepły, krupnik, słonina... jestże kto od nas szczęśliwszym w Litwie?

— Dalibóg, — uczynił uwagę Czywas, — lepszy chleb z miękiną, strych zimny, a swobodna dusza; niż pieczeń barania, miód, kąć ciepły, złączone z posłuszeństwem i kańczugiem szlachcica.

— Dla czegoż tak źle o szlachcie mówisz? — przerwał Buczys.

— No! ty jeden, to co innego.

— Nie ja jeden.

— Może kilku.

— Tak, to dobrze, — odparł leżący na wznak Buczys, któremu nikt nie chciał się sprzeciwić, przewrócił się na bok, i zasnął.

VIII.

TRÓJKA.

Wiemy, że Edward koniecznie chciał bywać w tatarskim domu, ... że stary Sulejman był chrześcijaninem; ... że Rudolf Czekanowski kochał Ayeszę; — ale nie wiemy, dla czego pochwyciono i uprowadzono Zabohowskiego. Zaraz, poczekajcie nieco, może się usprawiedliwie z téj zwłoki, z oddalenia się od przedmiotu głównego, i z wprowadzenia w skład mojej gawędki wielu osób, których jeczcie zupeł-

nie nie poznaliście. Ludzie, tak są popolicie trudni do odgadnienia, że łatwiej wszystkie logogryfy, zagadki i szarady rozwiązać, aniżeli charakter jednego człowieka zbadać i wyrzec stanowczo, *takim jest, nie myślę się...*

Gdyby to jeszcze nie zmieniały się charaktery, to, nie przeczę, możnaby większe w tym przedmiocie uczynić postępy, ale, nie zaprzeczycie mnie, że albo pieniądz, albo miłość własna, lub cokolwiek innego podobnego, tak wielkie czynią zmiany w świecie, iż nie raz obdarzony patrzy na swego dobroczyńcę i mówi: Zdaje mi się, twarz znajoma, kto to?... Przyjaciół, któremu wszystko poświęcaliśmy, wspomina, że widział parę razy, ale nie zna dobrze, i. t. d.

Ale, historia przyrodzona, nie różniała charakterów; policzyła wszyst-

kich do rzędu ludzi, bo są powierzchownie podobni do nich.

Prawo, przewidując złe czyny, nie-ludzkie, rozciągnęło kary do wszystkich; inaczej być nie mogło; zły może zostać dobrym, poczciwy zbrodniarzem.

Religia otworzyła swe ramiona ojcowskie na przyjęcie każdego, bo chciała każdego widzieć cnotliwym, i przez to zapewnić szczęście wszechświata. Dla samej swej wielkości, nie może wstrzymać na progu swej świątyni, prawdy; istot, przekraczających je dla własnych widoków... boby mówiono: przecież mogę się poprawić, czyliż wiecznie mam złym pozostać, będzie czas;... a w duszy myślanoby: poczekaj łaskawo religjo! tylko pieniędzy nazbieram!!! wyśmienię cię, na cóż mi wtenczas potrzebną będziesz! Ołóż źli ludzie depczą pra-

wa przyrody, prawa towarzyskich ustaw, prawa duchowe; a okrywając się płaszczykiem obludy, powiadają w końcu:

— Czyliżem w czém skazitelny; przecież mnie nie nie potępia!!

Na to odpowiada głos wewnętrzny: *sumienie*; a ludzie powtarzają za chlubiącym się „*on nieskazitelny.*”

Prawda, że piękny obrazek, że prawdziwy.

Potrzeba tylko wiele o sobie mówić w jakimkolwiek przedmiocie, a możemy być pewni skutku; kto chce mieć sławę uczonego — będzie uczonym; — litościwego, będzie miłosierdzie świadczącym; mężnego, ludzkiego i. t. d!... potrzebaj jednakże trochę ostrożności; inaczej możemy się wydać, a raz zrujnowanej budowli, już nie podniesiemy.

I dla tego małowówni, mało mają i mało są cenieni.

— Trzeba wiedzieć, żem się gracko spisał, mówił młody mężczyzna, w kole kilku innych przy szklanicy siedzący, — było trzech, wszyscy padli.

— Dalibóg, — mówił w kącie rudowłosy do starego szlachcica, — prawdę mówi, to zuch: wszyscy mu to przyznają.

— To też wart między nami mieć pierwszeństwo, — dodał zbliżający się krępy, niziutki jegomość.

— Gotów jestem zawsze stronę jego trzymać.

— Ija.

— Ija.

Chwalcą samego siebie był Edward.

Wiosna, dzień majowy, niedzielny, nabożeństwo odprawia się w kościele, po kątach modlą się szczerze Tatarzy, katolicy w szynkowniach! (nie wszyscy.)

Już było słońce miało się ku zachodowi, kiedy Edward dosiadł swego bieguna.— Pomimo, że dzień ten strawił na hałaśliwej weselości, przecież na twarzy jego piętnował się smutek złączony z gniewem. Tyle usiłowań różnorodnych, nie przyniosło upragnionych skutków. Edward napróżno starał się wcisnąć do Tatara, obojętnego na wszelkie jego zabiegi i chęci podobania się.— Sulejman lubi tytoń, posłał mu prawdziwie tureckiego,— nie przyjął.— Ulan kocha się w broni — broń była ofiarowana; i tę mu zwrócono;— koń dzielny miał zastąpić przypadkiem niby skaleczonego w polu zrebaka tatarskiego, i rumaka odesłano,— a przytem wszystkiem, ani pisma, ani podziękowania, ani nic zgola nie objawiano!!

Po tym to ostatnim podarku, Sulejman, przewidując jakieś zamiary Zabohowskiego, którego nie widząc,

znał z karczemnych czynów, baczeniejszą w każdym razie zwracał uwagę. Nie będąc jednakże podejrzliwym, nie myślał wcale, aby okazywana dążność zbliżenia się, miała na celu jego córki, uważał bowiem pozorną różność wyznań, za zupełną i najbezpieczniejszą tarcz przeciwko wszelkim pokuszeniom zepsutego młodzieńca. W głowie poczciwego ułana, nie zaległa się nigdy myśl, żeby pyszniący się szlachectwem człowiek, czyny swe podłością cechował; on zezwalał tylko, w najgorszym przypadku, na szumne pohulanki, ale nigdy nie przypuszczał, iżby byli ludzie, którzyby targać się poważyli na słabsze od siebie istoty.

Kiedy tak rzecz rozbierał i cieszył się, że ukrycie wyznania wiary przed światem, może być rękojmią szczęścia jego dzieci, Zabohoski konno przem-

knął się koło otwartego okna, i puszczając cugle, galopem popędził ulicą.

Misalla stała przy oknie. Ayesza była u wdowy Czekanowskiej.

— Dzielny jeździec, mój ojcze, — przerwała dumanie Sulejmana dziewczyna.

— Jeździec dobry... lecz człowiek nie bardzo.

— O tem nie mówię... kiedy ujrzę dziarskiego ujeżdżacza, zawsze myślę o moim ojcu... pewnoś był nie innym pod Wiedniem?

— Więc ci się jeździec podobał?

— Nie. Jego postawa... Czyliżbym mogła go upodobać, nieznając wcale.

— Słusznie mówisz, potrzeba upodobać wprzód charakter, a potem osobę.

— Ja też tak uczynię, jeżeli pozwolisz ojcze.

— Chętnie, ... ten jednak, co dopie-

ro przejechał, nie jest dobrym... zawczasu cię przestrzegam.

— Musisz go ojciec znać?

— Całe Troki brzmią jego awanturkami. Onegdaj, w szabas, wpadł do karczmy i pobił żyda, bez przyczyny, powylewał im jedzenie... biedne żydziska.

— O! jak nie dobre ma serce.

— Dwóch małych chłopców, poddanych, którzy liście tytoniowe sprzątały, bił po kilkakroć, dla tego tylko, że lubi, jak powiada, patrzeć na proszących się i płaczących.

— Szkaradny.

— Pije, trwoni majątek.

— Już dosyć o nim, ojciec; pójdźmy do Czekanowskiej.

— Dobrze. — To mówiąc stary wziął laskę i opuścił przyjemny swój domek.

Idąc z córką przez rynek, widział, jak Edward, jadąc konno, przewrócił

stragan przekupki i potracił jej dziecię, a odwróciwszy się zawołał: jeżeli jeszcze raz na drodze kramy rozłożysz, zbiję cię na leśne jabłko! — i pojechał.

— Jak okrutny, — rzekła cicho Missalla.

Potem oboje milcząc szli dalej, zwrócili się w wąską ulicę, skrzyknęli wrotami, i weszli do domu Czekanowskiéj.

Wdowa ich czekała. Była to rocznica urodzin Rudolfa, kilka osób zgromadziło się i wesolą prowadziło gawędkę. Joanna krzątała się i przysposabiała wieczerzę, syn jéj rozmawiał z Ayeszą, a inni rozpowiadali o duchach, o dawnych czynach naszych rycerzy, o krzyżowcach; zgoła, ogniwa wiązały się i utrzymywały rozmowę ciągłą, żywą, ciekawą; której skutkiem, łza lub uśmiech; wyraz

twarży malujący dumę, lub w końcu przerażenie.

Przysłuchajmy się słowom Rudolfa.

— Dobra Ayeszo, ty mówisz, że mnie także kochasz, wierzyć ci muszę... jednak, przyznam się, pewnej nie mogę się pozbyć wątpliwości. Miłość okazuje zajęcie, troskliwą czułość, oko błyska ogniem czystym, promienieje blaskiem słońca; — twoje oko tak żywe, tak szklniące, gdy spoglądasz na twory przyrodzenia; jest mdlawem, martwem prawie, gdy na mnie wzrok swój skierujesz.

— Ja pięknie mówić nie potrafię, — odrzekła dziewczica, — upewniam cię o mojej miłości, ale mnie przeraża twoja mowa, tak barwna, tak harmonijna, płynna i słodka;... tak u nas nie mówią... ja... dla tego... rumienię się, boję się ciebie.

— Mnie się boisz, dziewico!?

mnie, najpierwszego twego przyjaciela, ... mową moją prostą, z uczuć płynącą, nie kierujeż serce? O! gdybyś wiedziała, jakie skarby w moich książkach, i jak mało z nich użytkowałem dopóki nie pokochałem ciebie. Uczyłem się wprawdzie, ale głos matki zawsze mi śpiewał piosnkę o nieużyteczności tych trudów. Mnie to bolało,—potem, nie zważałem; pracowałem usilnie, dla tego tylko, aby być godnym ciebie, aby zyskać wzajemną twą miłość.

— Przecież cię dla nauk nie kocham.

— Ale ja chcę ciebie widzieć pierwszą, chcę się potem pysznić tobą, boś godna tego.

— Oślepia cię namiętność.... ale przestańmy, ojciec się zbliża.

Sulejmana powitał Rudolf z uprzejmem uszanowaniem.

Stary lewą ręką pogłodził wąsy, prawą ścisnął dłoń Czekanowskiego, wyraziście spojrzał, uśmiech lekki, łagodny, zaigrał na jego wargach, potem zapytał:

— Co słyszeć?

— Nic.

— Nic!... a to ja więcej wiem. Wojna; wojna chłopcze... bieda, szwed na karku.

— Czy być może?

— Tak, tak, mój synu.

— I cóż poczniemy?

— Bić się, — odparł oziębło Tatar, któremu walka zabawką być się zdawała.

Po tej zimnej odpowiedzi, moc ducha i prawdziwą odwagę wykazującej, Rudolf opamiętał się, i, zawstydzony, uczuł, że zbyt trwożliwe czynił zapytanie. Starał się przeto zatrzeć wesołością wrażenie, jakie na nim wiadomość starca uczyniła.

Dokazał tego. Rozwinał wszystkie siły dzielności swego umysłu, i tak potrafił zająć swoich gości, że wygluzował z ich wyobraźni na chwilę wszelkie smutne wspomnienia przeszłości, i natchnął serca ich żywą, nie troskającą się o przyszłość, radością.

Nigdy jeszcze, obie dziewice nie widziały były owego zapалу, rzeźkości poruszeń, jędrnej i potoczystej mowy, jaką się dnia tego odznaczał Rudolf. Jedna myślała:

— O! Boże, on tak dobry, nie opuści jej nigdy.

Druga mówiła do siebie:

— Dzięki ci przedwieczny, głos jego anielski, przejmuje me serce najtkliwszą dla Ciebie wdzięcznością, — jakże wielka twa wszechmocność, że miłość moją, serce jego podziela.

Pierwszą była Missalla, drugą Ayesza.



Upłynęło dwa miesiące od czasu, o jakim opowiadaliśmy, a lubo upały czerwcowe, duszącem czyniły powietrze domu Sulejmana, przecież okna nigdy się nie roztworzyły, a dziewice w niedzielę nawet nie opuszczały domowych progów.

Tak na pozór zadziwiające postępowanie, łatwo zdolamy wytłomaczyć, jeśli przechodząc rynkiem, zajrzemy do obszernej karczmy, w której Edward wynajął sobie pomieszkanie, i codziennie rano przyjeżdżając do Trok, przesiadywał po całych dniach w oknie, z zwróconymi ciągle oczyma na dom Tatara.

Otwarte ciągle okno i siedząca w temże postać, ściągnęła uwagę Sulejmana. Po przekonaniu się bliższem, powołał do ogródka swoje córki, opowiedział im o wszystkim, i, otwarcie

oświadczać swe myśli, prosił, aby nie oddalały się z domu, owszem czas pewien nieprzerwanie w nim pozostały.

Nie łatwiejszego, jak dobre dzieci skłonić prośbami do widoków naszych. Dziewice chętnie przystały, a Sulejman, widząc dobrowolne ich zamknięcie się, udał się do wdowy Czekanowskiej, prosząc ją, aby częściej chciała go odwiedzać, gdyż córki jego z domu wychodzić nie mogą.

— A to dla czego? zapytała wdowa.

— Syn pewnego szlacheica, o którym, zdaje mi się, żeś kiedyś wspominał, nastroczał się z znajomością swoją usilnie. Staralem się dowiedzieć o jego postępowaniu, a gdy nie korzystnego usłyszeć nie mogłem, w ubiegania się tępem uważałem niekoniecznie dobre zamiary.

— Zapewne, — wtrąciła wdowa.

— Kiedy więc, wszelkie usiłowania jego bezskuteczne były, wynajął w gospodzie Judki Kaftala dwie małe izbedki, przyjeżdża codziennie do Trok, otwiera okna i bez przerwy po kilka godzin w nich przepędza. To jest przyczyną mego podejrzenia, iż chce bezwątpienia dziewczochy moje ułudzić, a potem rozkochane porzucić... bo dzieciuch ten nic dobrego nie wróży.

— Dobrze, Gabrjelu, będę u ciebie bywała.

.

Lipiec miał się ku schyłkowi, Edwarda od tygodnia nie było widać w karczemnych oknach. Sulejman posłał na zwiady Beni-Ana; — nie dowierzał, i sądził, że nowym podstępem Edward chce oszukać ostrożność ojcowską; ale Beni-Ana powrócił i oświadczył, iż młody panicz pomie-

szkanie wynajęte zupełnie opuścił, i że Judka Kaftal nie mógł się dosyć wydziwić gniewowi, z jakim wyjeżdżał z jego gospody.

Zabohoscy ciąglą nieobecność Edwarda kazali śledzić, on atoli, dokładnie znając miejscowość, potrafił zabiegi śledzących wniwecz obrócić, a tym sposobem usiłowania rodziców bezskutecznemi uczynić.

Nakoniec, jejmość Zabohoska, niepokojona złym humorem i milezieniem ukochanego syna, postanowiła udać się do Medy i od niej zasięgnąć wiadomości.

Kiedy przybyła do stariej z Giwo-
kor, i uchyliła wiszące na jednej zawiasie drzwi, spostrzegła czarownicę klęczącą przed ukrzyżowanym zbawicielem, żegnającą się i odmawiającą modlitwę za zmarłych.

Zabohoska wstrzymała się i nie mo-

gąc przypuścić, aby na jawie coś podobnego widzieć mogła, rzekła więc z cicha do furmana Franka:

— Uszczypnij mnie.

Franek, stojący z tyłu swój pani, nie żałował paznogci i dosyć głęboko zapuścił je w wychudłą łytkę jejmości. Zabohoska krzyknęła przeraźliwie i przysiadła pięty, Meda nieobejrziała się, a Franek spoglądał głupio na jejmość, i myślał, że chęć jej być uszczipaną, pochodzi z uroku.

Wszystko to tak szybko uskuteczniło się, że gdy po chwili Meda powstała dla powitania gości, oznaki bólu na twarzy Zabohowskiej, a głupoty na licach Franka, zupełnie już się były zatarły.

— A, jejmość dobrodziejka! — zawołała stara, zdziwiona tak niespodziewanemi odwiedzinami.

— Tak, ja, moja kochana Medo,

mam ważny, pilny interes,— izacięła mowę; od czasu bowiem jak widziała w ręku starój krucyfiks, nie uważała ją za czarownicę, i niewiedziała w jaki sposób rozpocząć rozmowę.

Franek pozostał za drzwiami, Meda zapytała Zabołoską:

— Cóż to? czy się rany odnowiły paniczowi.

— E! nie, moja Medo... chłopak balamuci się, chciałabym wiedzieć, czyli czasem nie przesiaduje u dziedzica waszój wsi?

— O! nie, imościeczko, panicz w Trokach, on kocha się w Tatarce.

— Co? Chryste Jezu, w Tatarce! — krzyknęła Zabołoska, — mój syn, szlachcie od dziesięciu pokoleń, miałby się kochać w Tatarce, zhańbić tak sromotnie cienie przodków swoich! o Marjo Ostrobramsko! raczej umrzeć niż doczekać takiego poniżenia.

— Przecież, imościeczko, panicz z nią się nie ożeni, bo nie wolno katolikowi wiązać się z poganką.

— Jeżeli katolikowi nie wolno zawie-
rać związków ślubnych z buzułmanką,
to szlachcicowi litewskiemu nie godzi
się nawet patrzeć na nią... Mój syn...
szlachcie, a a!

Meda uśmiechnęła się, ściągnęła
usta, i wzgardliwie spoglądała na
śmieszna postać rozżalonej szla-
hcianki.

— Zatem powiadacie, dobra Medo, —
mówiła dalej Zabohoska, — że on się
kocha w Tatarce.

— Nie inaczej.

— I ządże to wiecie?

— Niech się dobrodziejka przekona,
w gospodzie Judki Kaftala ma najęte
panicz mieszkanie.

— U Judki Kaftala?

— Tak.

— Z czerwoną brodą?

— Tak.

— Ten co ma ośmioro dzieci, ślepą matkę, lysego ojca, kulawą żonę, i garbatą siostrę.

— U tego.

— Żeby jeszcze gdzie, ale pomiędzy niewiernymi i w niewiernej....
a a a !!!

Skończywszy długie swoje *a*, wybiegła, wsiadła w brykę, i kazała prosto jechać do Trok.

Edward siedział w oknie, palił fajkę i popijał piwo, a Kaftal stał przed oknem milczący, z odkrytą głową, to jest bez mycki; przed tak wielkim bowiem panem, to się nawet jarmulka zdejmuje.

— No, i cóż? — zapytał wreszcie Edward, puszczając kłęb dymu, — posyłałeś?

— Hane chodziła, prosze wielmo-

żnego jegomości, wipchnęli ją za drzwi.

— No, ... dalej.

— Poszła Fraja... ten Rudolf Cikanoski bul, tak nazwał ją spiega, — i popędził harapa.

— No, cóż mi o tem gadasz; rzecz, rzecz, ja płacę za interes zrobiony, nie zaś za wypchnięcie dwóch żydów.

— Ja sam bulem.

— Żywiej; żywiej.

W tem zatoczyła się bryczka przed okna. Edward poznał matkę, która wolala na Franka:

— Biczem tego żyda, tego niegodziwca, rudziela; biczem.

I Franek przeciągnął izraelitę nahajką; żyd skrzywił się jak oburcz, a potem, zrobiwszy zajęczy sus, skrył się w stodole.

Co pomiędzy matką i synem zaszło,

nie wiemy; to jednakże jest pewnem, że jeszcze przed zapadnięciem zmroku mama z jedynakiem powróciła do domu. Edward dwa dni przesiedział w ojcowskiej zagrodzie; trzeciego, z rana, zawiesił strzelbę na ramieniu i ruszył do lasu.

Widać, że cel jakiś tajemny kieruje krokami jego, ogląda się na wszystkie strony, i baczy, czyli ciekawe oko nie śledzi drogi, i nie stara się odkryć zamiarów jego.

Las... Lato; ptaśzka kwila, krople rosy strząsa łagodny wietrzyk, przez gęste liście drzew przedziera się promień wschodzącego słońca i złoci główkę czerwonej poziomki, budzi pracowite mrówki, rozchodzące się na wszystkie strony do przeznaczonej pracy. W oddaleniu słychać bek cieląt tęskniących do matek, które znowu rykiem przyzywają do siebie młode swe potomstwo.

O! Las jest bardzo miły w lecie ...
 jak tam spokojnie, jak swobodnie ...
 pierś oddycha nie zatrutem fałszem
 miast powietrzem; powietrzem wonie-
 jącym odradzającą się każdego ranka
 naturą, nie owemi duszącemi salono-
 wemi pachnidłami, które drażnią ner-
 wy, ale wcale ich nie wzmacniają. Ta
 pierś napelnia się niemą jakąś rze-
 wnością, lubością tak miłą, tak dro-
 gą, że ludzie czystych myśli, wpadają
 w zachwycenie, marzą, i tam najczę-
 ściej stwarzają ideały, niemogące się
 wylądź w ciemności nocy i sile wy-
 obraźni ludzkiej.

Nie zawsze jednak ideały miłości;
 nie; — przecież i inne uczucia i zamiary
 mogą być naprzód idealnemi, potem
 silną wolą w rzeczywistość zamie-
 nione.

Las, to matka czułych dusz, dusz
 ludzkich, nieskażonych zbyt kiem, roz-

pustą, chciwością;— las, to ojciec pie-
szczotliwy, który pielęgnuje uczucia
swych dzieci, i darzy ich nowemi my-
śłami; który pod cieniem swych drzew
dozwała swobodnie rozwijać pomysły,
a potem w otwartém polu, w mie-
ście, lub gdziekolwiek bądź indziej,
w wykonanie wprowadzać.

Edward nie miał czystych myśli.—
Las na niego nie wywierał żadnego
wpływu; on nie patrzył na srebrną ro-
sę, na pracowite mrówki, na trzepo-
cące skrzydełkami ptaszki; — on pa-
trzał w świat, w świecie widział tyl-
ko kobiety — kobiety koniecznie złe,
powinne ulegać najmniejszym jego
kaprysom.

Skutek wychowania.

Zaledwie w gęstych krzakach skrył
się Edward, kiedy, raz jeszcze obej-
rzawszy się, zwrócił się na prawo.

a podwajając kroku, w godzinę stanął w gospodzie Kaftala.

Długo rozmawiał z żydem; potem, widząc, że targował się, tak jakby o jaki przedmiot, gdyż żyd co słów kilka dodawał: „jaka ładna...to malina...cacko duszy... mleko z różo.”

— No dobrze... ale i ty.

— I ja.

— Kiedyż?

— Chaim z Giwokor doniesie....
dobre u niego schowanie.

— A z Medą nie ma on związków.

— To jego przyjaciółka.

— Ja jej nie dowierzam.

— Powiem, żeby nic o tem nie mówił.

— Więc kiedy?

— Chaim powie.

— Bodaj cię czarci z Chaimem
wzięli.

— Bodajby.

— No! bez żartów, żeby było prędko!

— A jak nie będzie można?

— To postaraj się o *można*, dobrze będziesz zapłacony, a jeszcze się wzdragasz.

Po takiej rozmowie Edward pożegnał Kaftala. Było to w piątek.

W następną środę Ayesza i Misalla poszły odwiedzić chorą krewną, w nieodległej mieszkającej wiosce, dla odniesienia jej wsparcia, które ojciec ich stale udzielał.



IX.

W D R A D A.

Sobotnia gwiazda wystrzeliła na wschodzie. Szabas ukończył się... Judka Kaftal wyprowadził starą, nieczysto utrzymaną, klacz, wskoczył nań lekko i oklep puścił się klusem, potrząsając obudwoma rękoma i uderzając o boki korpusu swego ciała, wówczas, kiedy pejsy rozwięwał wiatr i rzucał je albo w tył głowy, albo zasłaniał oczy Judei syna.

Księżyc błyszczał, lecz jeszcze nie

świecił. Walczył z konającym zmierzchem pogodnego letniego dnia. Nad jeziorem wznosiły się tumany mgły, rolnicy wracali z ciężkiej swej pracy witając się wzajemnie Chrystusowem imieniem, Judka Kaftal poganiał chudą szkapę, dążąc do Giwokor.

Miał dwie mile drogi przed sobą, interes i znowu dwie mile z powrotem. Nie mały kawałek, — a wiedział, że w lasach pobliskich Trokom, źli ludzie gościli, i szczególnie czyhali na bogatych panów i żydów, wiernych zawsze sług pierwszych. Nie zdziwimy się przeto, kiedy ujrzymy Judkę Kaftala galopującego i oglądającego się na wszystkie strony.

Ominął już zagrodę Zabohoskich, i przejeżdżał około kapliczki, o jakiej wspomnieliśmy, kiedy pod murami jej ujrzał śpiącego człowieka.

— Pewno to on, — pomruknął i sil-

niej przemierzył kłacz swoje, Lila
czwalem pusiła się ku Giwokorom.

Żyd nie omylił się.— Przy kaplicy
spal Buczys,— postrach całego po-
wiatu,— ale postrach tylko dla złych.

Cały nieboskłon okryty już był gę-
stemi, jarzącemi gwiazdami, w cza-
sie, gdy Kaftal przybył do szwagra
swego, karczmarza Chaima w Giwo-
korach.

.....

— Zapotszebujem Medy.

— Mede nie można.

— Dla czemu?

— Bo ten igomość, boi się Myde.

— Dla czemu?

— Czarł go zna.

— To sami zrobimy,

— Juści sami— to najlepi.

— Ale czekaj,...mami tu łęgiego
chłopa;... Kirlik, —to powiedziawszy
skinął na siedzącego za ławą wieśnia-

ka, który podniósł się i zbliżył tak, że obaj żydzi ustąpili po parę kroków.

Kirlik, był średniego wzrostu, krępy; twarz łagodna ale niedowierzająca i ciekawa, zwiastowała człowieka, który wiele doznał zawodów, i dla tego nie zbyt łatwowiernie każdemu chciał ufać.

Chaim wiedział, iż Kirlik był włóczęgą, a nawet, że podobno miewał dawniej związki z Buczysem, ale o tym ostatnim niesłyszał było od dwóch miesięcy, i od tego czasu Kirlik bardzo często przepędzał noce w Giwohorskiej karczmie. Płacił za życie i nocleg regularnie, żyd też o więcej się nie troskał, i nawet cieszył obecnością jego, gdyż przy nim chłopstwo w niedzielę i święta żadnego gwałtu ani na nim, ani też na dzieciach jego nie dopuszczało się.

Jak już powiedziałem, Kirlik

zbliżył się do żydów, a szeroka, silnie wznosząca się pierś jego, napoiła ich trwogą, jakiej nigdy ludzie tchórzliwi na widok lwiej natury człowieka utać nie mogą.

— Czego chcecie, Chaimie? — zapytał Kirlik.

— Zarobicie pare sasów (*), ale pomóżcie nam.

— O co idzie, połamać złemu panu kości, albo nakręcić kręgów, o! na tom gotów, bez pieniędzy.

— Na co ci wiedzieć co będziesz robić; pomagaj nam tylko.

— A, to dziwnie, pomagaj, cóż to myślisz, że za pieniądze zbrodni się dopuszczę.

— Nu, jaki ty sumnienny.

— Więcej aniżeli ty, — odparł kwaśno Kirlik, i zabierał się wyjść z karczmy, niechając wszczynać zwady.

(*) Talarów.

— Słuchajcie, kochany Kirliku, — zawołał żyd, przewidując zamiar wieśniaka, — słuchajcie, czy wynieznacie kogo w Trokach?

— Nie znam! a co mi po Trokach, nie lepiej mi w puszczy z zwierzętami, z nimi trzeba się ręcznie rozprawiać, i koniec;... ludzie udadzą, oszukają, uwiężą, a nawet nie raz zabiją, Bóg wie za co.

— No widzicie, to wy nikogo nie znacie w Trokach?

— Nie znam, jak mi Bóg miły.

— No, to dobrze. Tu jeden poćciwy mieszczan kocha się w Troczance, ale ojciec znagła ją, żeby poszła za bogatego szlachcica.

— To ojciec głupi, myśli, że za pieniądze kupi szczęście dziecka; mnie dawniej chcieli zrobić ciunem, ale i ciun pod batem, a Kirlik woli umrzeć, jak żyć zhańbionym.

— No, to widzicie, on chce się z nią żenić.

— To niech się żeni... w babskie interesa nie wdam się... co mi do tego... ojciec Bogu odpowie... nie chcę... bywajcie zdrowi, — to mówiąc wyszedł z karczmy, a idąc przez wieś myślał:

-- Chytre żydziska, chcą mnie na wędę złapać... o! jakieś podle mają zamiary, muszę Buczysa o nich zawiadomić.

Z temi myślami przybył do chaty Medy, w niej zastał tylko Czywasa, plecącego łapcie, i rozmawiającego z starą o młodej dziewczynie, która przed kilkunastu tygodniami będąc, historją swoją opowiadała.

Stara dosłownie powtórzyła powieść młodej dziewicy, a Czywas, opuszczając niekiedy ręce, iza błyskała w oczach, pięść nie raz zacisnęła się... dziewczyna była jego siostrą...

jedyną siostrą... pozostałą z licznej rodziny.

— To Buczys chwata, — wyrzekł Czywas, gdy stara skończyła legendę, a w duszy myślał: jedyna moja siostra, jakżebym pragnął ją uściskać... ale nie... niech będzie szczęśliwą... ja, tulacz leśny, odrzucony od mieszkalnego ludzkiego świata, zatrutbym jej spokojność, gdyby się dowiedziała, że w nocy gwiżdżę piosnkę zemsty, i trudnię się... rozbojem! — Okropnie. Świat nie pozwolił być mi pocziwym!!... Pochylił głowę na kolana i pogrążył się w zadumienie.

Kirlik siedział w kącie na pieńku, milczał i patrzył na starą, która rozkładała ogień dla ugotowania kartofli, skradzionych z pól dziedzica.

Tymczasem przy kaplicy Buczys z trzema towarzyszami oczekiwał na dawno uknowaną zemstę. Tamtędy

przejeżdżać miał dziedzie, który tak wielką krzywdę rodzinie Czywasa wyrządził. Buczys chciał go pomordować, ale nie zabić, i dla tego wyłączył Czywasa z wyprawy. Onby nie powściągnął się,—za wiele śmierci jedną zadalby, a Buczys nie tchnął taką zemstą; on chciał długo, długo być świadkiem swojej ofiary.

Okolo północy pędził z powrotem Judka Kaftal.

— Żyd, z Trok;... znam go,—cicho przemówił Pryba.

— Żyd, to nie człowiek,—dodał Wiech.

— To nie chrześcijańskie plemie,—wtrącił Kaziulis,—poigramy z nim,... czy można?

— Można,—odrzekł lakonicznie Buczys.

Judka Kaftal zaciął znowu konia, chcąc ominąć kaplicę, ale kilku ludzi zastąpiło mu drogę.

— Z konia.

-- Gdzieś jeździł?

— Po co?

Takie zapytania wyszły z ust bandytów. Buczys o kilkanaście kroków stał nieruchomy, i wpatrywał się obojętnym okiem w żyda, który zsiadłszy z konia błagał rozbójników, aby mu życia nie odbierali.

— Jadłeś w szabas ryby?— zapytał Pryba,— prawda, co? no, gadaj.

— Jadłem, wielmożni panowie.

— No to będą cię także jeść ryby.

— Ach! darujcie mi życie, mam cworo dzieciów, zonke...

— Cha cha cha.

— Jus weście konia.

— Dobrze, dobrze, o pozwolenie pytamy.

Dwóch wiązało żyda, trzeci wzięwszy konia, dosiadł go i odjechał, po-

wiadając, że w Wilnie bodaj za kilka sprzeda go złotych.

— Moi wielmożni panowie, — wypraszal się żyd, — ja wam dać dużego pieniądów, puście mnie.

— Nam nie trzeba pieniędzy... my mamy chleb; tyś jadł ryby, niech cie ryby jedzą.

I związanego powlekli do rzeczki, która przerzynała dolinę około zabudowań Zabołoskich, a która nie opodal od kaplicy pomiędzy wąwozem płynęła.

— Straćmy go.

Odgłos spadającego ciała rozległ się, nastąpiło plusknięcie, potem wszystko uciszyło się, a Wiech i Pryba wrócili do Buczysa.

Judka Kaftal wpadłszy do wody i nie mogąc ratować się pływaniem, gdyż miał ręce i nogi związane, zatrzymał oddech i płynął dopóty, dopó-

ki nie trafił szczęśliwie na korzenie podmytego drzewa, któremi igrała woda. Chwycił się za nie zębami, odetchnął, a gdy ciało pograżyło się w wodę, dostał gruntu... W takim położeniu doczekał się rana, a idący Edward zoczywszy go, podał rękę; lecz gdy mu Kaftal objaśnił, że jest związany i z pomocy jego korzystać nie może, młody Zabohoski rozebrał się, włożył do wody, rozciął więzy Judki, i osłabionego wyprowadził na wybrzeże.

Okolo południa w niedzielę, Kaftal leżał w betach trockiej swej gospody, otoczony menażerją licznych bachorząt, które śpiewały majofes, za ocalenie ojca.

Buczys nie mogąc doczekać się dziedzica, przed świtem wrócił także do chaty Medy.

— Ptaszka złapaliśmy, — mówił Pry-

ba, kładąc się obok Kirlika, — skom-
paliśmy żyda nieboraka.

— Oj! czemuż mnie tam nie było, —
z ubolewaniem przerwał mowę opo-
wiadającego Kirlik.

— Ale, ale, cóż to był za żyd?

— Kaftal z Trok.

— Kaftal! a, to on był u Chaima na-
szego, namawiał mnie do jakiegoś czy-
nu, którego przecież nie chciał przed
dobiciem umowy wyjawiać.

— Już też i nie objawi; jadł wsza-
bas ryby, w niedzielę ryby jego ciało
zjedzą.

— A gdzie Kaziulis?

— Pojechał do Wilna konia sprzedać.

— Toście konia mu zabrali?

— A juścić, przecież nie mogliśmy
go puścić na szlacheckie łąki; za-
braliby go, a z nas żaden wykupiłby
nie chciał. Z resztą co nam po szka-

pie, nam, co wrazie potrzedy, z lekkością po dwanaście mil ubiegamy.

— Zapewne... Ale powiedz mi, dla czego Buczys tak smutny?

— On zawsze taki,... przecież go znasz, istotnie śmieszny, powinienby się cieszyć z położenia swego; mieć pięciu dzielnych pod swemi rozkazami, jakież to piękne życie.

— Życie piękne, ale śmierć!

— Śmierć, ty zawsze tylko myślisz o śmierci, — cicho szeptał Pryba, — czas będzie wtenczas nią się zajmować, kiedy na nosie usiadzie.

— No, no... jaki chwał, a piekło.

Na tę wzmiankę Pryba konwulsyjnie się rzucił. On nigdy nie myślał o pozagrobowem życiu, o karze za zbrodnie, wieczystej, ciągłej, nieprzerwanej. Oczy jego przerażone, kołowato wpatrywały się w Kirlika, który tak-

że rozważając o końcu życia, nie bardzo przyjemnych doznawał wrażeń.

— Bodaj cię szatan opętał, — ryknął Pryba, — i ja też głupi, żem o takiej drobnostce zadumał się. Jeżeli będę w piekle, będę razem z tymi, co nielitościwie, po bydlęcemu obchodząc się z nami, wepchnęli nas na drogę zbrodni... Tam już nikogo bać się nie będę. O! dopieroż po lbach będę ich walić... a przecież mi śmierć siły pięściom nie odbierze, oj, będę bił, — i to mówiąc uderzał pięścią o pięść, a twarz jego przybrała wyraz srogi, dziki, palający chęcią okrutnej, nieubłaganej zemsty, sięgającej za zimną mogiłą, za proch ciała, za kaziń duszy.

— Teraz jestem zupełnie spokojny, — rzekł Pryba, skończywszy rolę boksera, — mogę spać; uda się tu, dobrze; nie uda, to tam dogodzę; — i to mówiąc

wskazał palcem w górę, do nieba; i w dół, do ziemi.

Niedługo chrapali wszyscy. Jeden tylko Buczys podniósł powieki, i, po przekonaniu się, że nikt na niego uwagi nie zwraca, wstał i wysunął się cicho z chaty. Za domostwem leżał wielki kamień; około kamienia, zagajnikiem ocienionego, wznosiła się jedyna, przewyższająca wszystkie młode drzewiny, brzoza, z spuszczonemi gałęziami, jakie pospolicie płaczącami nazywamy.

Buczys ukląkł przy kamieniu, czoło oparł o mszyste jego odzianie, ręce zarzucił za pień brzozy. Milczał, ale pierś wznosiła się gwałtownie, głuche westchnienie wydzierало się; jęk tłumionej boleści, niekiedy dawał się słyszeć.— Cierpiał.

Ludzie pełni są przesądów. Jeżeli namiętność niepowściągniona, rzuci jednego członka społeczności w chwi-

lowy obłąd, skutkiem którego jest — zbrodnia jakakolwiek; prawo go karze, lecz karze lżej zawsze aniżeli tego, który rozmyślnie dopuścił się czynu. Prawo karze go nie dla jego samego lecz dla przykładu innych, aby kosztem doświadczenia nieszczęśliwego, poprawić całą towarzyskość. Co od świata powinienby spodziewać się ów biedny, który i tak już w własnem przekonaniu najsroższe znosi katusze? mnie się zdaje, że litości, pobłażania, przytulenia straconego syna do łona społeczeństwa, — że świat mógłby też nad nim szczególną mieć pieczę, zając się losem jego, podać mu rękę, i dobrocią swoją, łagodnością, wrócić go cnocie; aby kiedyś za pogardę, pośmiewisko, wykluczenie z koła swego, nie zdał surowego, lecz sprawiedliwego przed Wszechmocnym rachunku.

Potrzebaby zrównoważyć się; — mniej obudzać uczucia drażliwych,

nie obrażając ich, — a jednak znamy takich, którzy za największą przyjemność uszczypliwość mają — za sprawiedliwość uważają to, jeżeli do śmiesznych i dziwacznych przesądów świata się stosują.

Kto jest winien, czy ten co jest pierwiastkiem zbrodni, czyli ten co ją dokonał? świat dotąd uważał ostatniego kary godnym. A gdybym ja odezwał się, że wybuduję dom bez fundamentów, czyliżbyście mnie wtenczas, za warjata nie poczytali? Jakkolwiek więc czyny złe i występki zawsze godnem są kary, nie mniejszej jednakże ulegaćby winni ci, którzy postępowaniem swoim, wzburzyli namiętności i do występku je powołali.

Słowem, wypadła nam nie z powierzchowności sądzić rzeczy; więcej rozważać siebie samych, poprawiać przyrodzone lub w naturzone własne

wady, a wtenczas przekonamy się, że mniej będzie występków, bo też mniej będzie pobudek do onych.

Z tych, na pozór z powiastką naszą niemających związku uwag, nie raczcie kochani moi współziomkowie porywczo sądzić Buczysa. Był on kiedyś bardzo poczciwym człowiekiem. Krzywdy mu wyrządzone, zrodziły w nim chęć zemsty, ale nie zatębiały w zupełności szlachetnych usposobień. Potrzeba było tylko iskry coby inne, silniejsze, obudziła w nim uczucia, a byłby to człowiek, jakich mieć pragniemy; byłby to syn marnotrawny, którego nie odrzucił dobry ojciec, — a którego także świat z pośród siebie, jako wracającego z błędnych ścieżek pielgrzyma, nie tylko wykluczać, lecz owszem przez naprowadzenie na prostą drogę i podanie przebaczącej dłoni, z zaszczytem i użytkiem dla siebie,

w grono towarzyskie przyjąłby wi-
nien.

Historja dziejów przodków na-
szych, zbyt smutne przedstawia czę-
sto wypadki, które przecież nie z roz-
myślnych chęci, lecz z żywości uczuć
obrażonej godności człowieka źródło
wzięły. Nasz naród łagodnego cha-
rakteru, dobry, pracowity, nie przy-
sposabia w łonie swoim istot, które-
byśmy tylko za stworzone do zbrodni
poczytać ośmielili się; nie, tego nikt
nam nawet zarzucić nie może; ale
nie możemy nie przyznać, że złe wy-
chowanie, uprzedzenia, (których u nas
na nieszczęście jest nie mało), wygó-
rowana duma i t. p. wady, wywoły-
wały zazwyczaj poniżonych i ciągle
prześladowanych do odwetu, który
rozjuszony obustronnem oporem,
stwarzał gwałtowne czyny i znagłał
jednego z wrogów, do usunięcia się

z obywatelskości, pomimo chęci rozumu, serca i niezeepsutęj jeszcze duszy.



Buczys był ofiarą przesądu. Niegdyś inne nosił miano; ale wyrzekł się nazwiska, znaczenia, bogactw; — bo nazwisko i dostatki wydarły mu szczęście! Nie uprzedzajmy wszelako wypadków, i spoglądajmy bacznie na poruszenie człowieka, który lat dziewięć w lesie, lat dziewiętnaście przeżył w nieszczęściu.

— Gdybyś ty żyła, — mówił z coraz bardziej wzrastającym gorączkowem uniesieniem, — jakżebym był szczęśliwy; dziś nie miałbym powodów nienawidzić ludzi, których dawniej tak bardzo kochałem. Ale tyś umarła... zabita... shańbiona... Marjo! Marjo! niech twa mogiła otworzy się, ja cię chcę widzieć! Marjo! na miłość moją; na świętość przysięgi mojej, zaklinam cię, przybądź do moich uczuć. — Nie ma, nie ma Marji, — krzyknął i zerwał się. — Nie ma Marji,

powtórzył i padł na ziemię błądy, z rozwartymi oczyma, z ustami zaciśniętymi.

Krew posączyła się zwolna przez otwory nosowe, bandyta tarzał się po ziemi, i uderzał głową o twardy granit, zdawało się, że pragnie odebrać sobie życie, że ogień jaki trawił piersi, wybuchnie po raz ostatni, aby zagaśnąć na zawsze.

Kirlik wyszedł na dwór, załamał ręce i ponuro spozierał na swego kamrata, bełczącego niezrozumiałe słowa, i rozrzucającego rękoma po wszystkich stronach.

— Dalibóg, trzeba mu pomódz, — i ledwie skończył te wyrazy, podniósł z ziemi Buczysa, i tak mocno kilka razy nim wstrząsnął, że Ludwik Buczys wrócił do przytomności, ale nie przestawał powtarzać jeszcze: gdzie Marja, gdzie Marja!

— Dzień; zaspaliśmy, do Medy goście przyjdą, dalej Ludwiku, do lasu, ... dalej ... pojmij co mówię ... niedziela, szlachta z kościoła wracać będzie.

— Co? będzie wracać, — zawołał nagle, jakby uderzeniem elektrycznem zbudzony z letargu, — idę, idę, wołaj naszych, ja poczekam, nie lubię powietrza mieszkań; ... ciężkie, dławiące pierś swobodną... idź po nich, ja poczekam.

Kirlik wszedł do chaty, Ludwik spartł się obrzożę, a gdy wyszli towarzysze, pomówił z niemi chwil kilka, i wszyscy udali się w głąb czarnego boru.



Chaim rozgniewany na Kirlika za odmówioną pomoc, postanowił śledzić jego kroki, nie dla tego, ażeby złoczyńcę wydać w ręce sprawiedliwości, lecz dla korzystania z jego tajemnic. Zaledwie przeto odjechał Judka Kaftal,

Chaim narzucił chałat, nożem uzbroił się i pośpieszył do lasu. Nie mogąc atoli domyślić się, dokądby się udał Kirlik, błakał się parę godzin po gęstwinie leśnej, i już miał zamiar powrócić do domu, gdy pomiędzy krzakami usłyszał wesołą rozmowę. Położył się na ziemi i oczekiwał rychło rozmawiający przejdą; ale jakże się przeraził, kiedy dowiedział się, że żyda, zupełnie podobnego do Kaftala utopiono, a z zabranym koniem udał się jeden z rabusiów do Wilna, dla sprzedania nieużytecznego, jak się wyrażali, ciężaru.

Pot zimny wystąpił mu na czoło, a przestach pozbawił zupełnie sił, tak dalece, że w położeniu tem przetrwał do rana. Słońce wybiegło wysoko, zanim dowlekl się do Giwokor, kazał zaprządz parobkowi konia i wspólnie z żoną pojechał do Trok.

W Trokach, lud tłoczył się do kościołów, przedzwoniono bowiem na wotywę, Chaim z żoną musiał wysiąść z kałamaszki, boby za zgwałcenie święta, i za samowolne pozwolenie jeżdżenia w czasie nabożeństwa, i szlachta, mieszczenia i chłopstwo, porządnie obili mu plecy. Drżąc, dążył do gospody Judki Kaftala, a gdy już był w wrotach stodoły, jeszcze się powstrzymał, odpoczął, a potem wszedł do izby.

— Hane! cy jest Judke?

— Co jest? on wczora pojechał do was.

— Nu, on pojechał potem do ciebie.

Po krótkiej tej rozmowie, kula-wa Hane głośno lamentować poczęła, i było czego, była matką ośmiorga dzieci.

Chaim nie wątpił, że rozmowa jaką w nocy w lesie słyszał, dotyczyła je-

go szwagra, skrzywił się więc nielitościwie i płakał. Wkrótce cała rodzina napelniła karczmę narzekaniami, które dopiero ustały za przywiezieniem przez Edwarda uratowanego Judki Kaftala.

Trudno opisać, jaka na widok wracającego ojca, męża, syna, powstała wrzawa; każdy tulił się do niego, pragnąc dotknąć szat i przekonać, że rzeczywiście on a nie ktoś inny powrócił.

Po chwili uniesienia, po radosnych uściskach, Judka położył się w pościel, kazał przywołać Chaima, zamknąć komorę, i nieprzerywać im rozmowy, trwającej długo i przerywanej niekiedy wyrazami: *dobrze, dzisiaj, zaraz*, i t. p.

Chaim odjechał po południu.

Nad wieczorem Edward przybył odwiedzić swego kupnego stronnika.

W tymże samym czasie Buczys, około kaplicy, wydał towarzyszom swoim

rozkazy, gruntujące się na doniesieniu Kirlika, który rano będąc w karczmie, i dowiedziawszy się, iż Chaim z wielką niespokojnością pojechał do Trok, udał się za nim, przekonał, że Judka Kaftal potrafił się ocalić, i że Chaim, odjeżdżając z Trok, nie do Giwokor, lecz inną puścił się drogą.

Bandyci pojęli cel jego podróży.

Znowu noc, pogodna, ciepła; księżyc jasno świeci, w dworcu Zabohoskich, przeciw zwyczajowi, goście; sami mężczyźni, zbrojni, podpili, w lufy flintładują ostre naboje, rozbierając kule z przygarści Edwarda. Huczą, śpiewają, śmieją się, pewni zwycięstwa. Chaim z Giwokor stoi w kącie, i kłania się nisko każdemu mimo przechodzącemu strzelcowi, gładzi brodę i żwija palcami pejsy, a serce mu drży, bo ma być pierwszym, który około kaplicy przejść winien.

— Czas, — mówił otyły, łysy, trędowny szlachcic, dopijając resztki miodu z ogromnej szklanicy, — to on, nie, zawodnie on. Dziewięć lat czekałem na tę upragnioną chwilę; przecież będę mógł sam z ichmościem pocieszyć się.

— Nie koniecznie sam, — przerwał drugi, — przecież i my idziemy razem.

— Ale on wam krzywdy nie wyrządził.

— Azaliż krzywda twoja nie jest naszą? — odezwał się trzeci.

— Idźmy, — zawołał pierwszy, — płaszek ostrożny, uleci.

— Chaim, — rzekł zbliżając się do żyda Edward, — naprzód!

Żyd potrząsnął głową i odrzekł: sam nie mogę.

— No, dobrze, ja ci towarzyszę, — odparł łysy mężczyzna i wyszedł

zizraelitą, zarzucił na plecy strzelbę i gwiżdżąc ruszył ku kaplicy.

Szesnastu innych, w liczbie których Edward także się znajdował, w odległości paręset kroków, pośpieszało za nimi.

— A! wej, — drżący zawołał żyd, dochodząc do kaplicy — jak się tam świeci.

— Prawda; szarańcza baluje w pustym domu bożym. ... może też modła się, przeczuwając bliską śmierć.

— A wój... może tam czary.

— Jakie czary? — przerwał mu mowę szlachcic, — czarów nie ma w świecie; czego pleciesz niepotrzebne rzeczy, — i tak rozprawiając ocierał z łysiny pot strachu, i oglądał się, czyli idący za nimi daleko pozostali.

Żyd z szlachcicem zatrzymali się, oczekując na małą armję, która zwolna postępowała, gwarząc i sprzecząc się o wybór wodza.

—Ja znam najlepiej miejscowość,—
mówił Edward,—do mnie więc prze-
wództwo należy.

—Ho, ho, młodziku,—zawołał ry-
cerskiej postawy mężczyzna, dotąd
milczący—już wolę mieć naczelnikiem
pocziwego Sapieszkę, który tyle dał
dowodów krwi zimnej i niepospolitej
przezorności.

—Dobrze, dobrze,—odezwało
się kilka głosów,—Sapieszkę mieć
chcemy.

Z takimi rozprawami połączyli się z
tędotwatem szlachcicem i tchórzliwym
żydem.

—Patrzcie,—cicho przemówił spo-
tniały szlachcic,—w kaplicy światło;
co to znaczy?

—Znaczy!—przerwał długi, chuder-
lawy sąsiad,—że się świeci, i że ty bra-
cie o rejtyradzie zamyślasz.

—Co, ja?

—Zdaje się.

— O! gdyby nie wzniosły cel naszej wyprawy, żądałbym od ciebie, kumie, satisfakcji.

— Możesz ją otrzymać po dokonanej wyprawie.

Stanęli przy kaplicy. Przy każdym oknie usadowiło się po dwóch na straży, pozostałych jedenastu u drzwi wchodowych uszykowało się z bronią wymierzoną, gotowi dać ognia, za najmniejszém poruszeniem bandytów.

Żyd zakolał, — potem obuchem siekiery uderzył w zamek. Powtarzał ciosy, ale razy były słabe i coraz słabsze, bo żydowi drżały łytki, drżały ręce, serce, oczy. Sapieszko zbliżył się, wyrwał topór z rąk Chaima, uderzył dwa razy i podwoje rozwarły się z trzaskiem.

Szlachta cofnęła się przerażona.

Na spustoszałym oltarzu sześć świec gorzało; na środku, na posadzce, sta-

ła trumna, otoczona lampami i mnóstwem małych świeczek, w trumnie leżało ciało, przykryte białą kapą, z osłoniętą głową, tak, że twarz tylko, i to nie cała, widziana być mogła.

Na stolku, szarem przykrytym płótnem, w głowach trupa, leżał przewrócony na bok kielich, pomiotelka i nóż ostry, a na świstku papieru przyklepionym do spadającego ku ziemi płótna, wypisanem było imię: Marja W...., zhańbiona, zamordowana w r. 1685.

Na ten widok, wcale niespodziewany, szlachta, jak już powiedzieliśmy, cofnęła się. Jeden tylko Sapieszko odważył się wejść do kaplicy, i zmówić głośno pozdrowienie Marji.

Krok Sapieszki ośmielił szlachtę, wtłoczyła się hurmem do kaplicy, a nawet i ci weszli, którzy przy oknach

na straży stali. Żyd tylko pozostał na dworze.

Nagle z pobliskich krzaków wysunęło się kilku ludzi, żyd pierwszą był ofiarą. Nawet nie krzyknął. Żelazo pszeszło na wskrós serce.

Szlachta klęczała i modliła się za zmarłą. Drzwi kaplicy gwałtownie zatrasły się. Trzech bandytów wlaźło na drzewa będące przy oknach, trzej inni zostało przy drzwiach, które zatarasowali wielkim i mocnym żelaznym drągiem, przesuwając go przez dwa skoble na zewnątrz będące.

Tak wszystko to zręcznie i śpiesznie wykonaniem zostało, że za nim szlachta zerwała się i doskoczyła do drzwi, już wyprzeć ich nie była zdolną. Zamieszanie powstało pomiędzy nimi, jedni radzili oknami wyjście sobie ułatwić; drudzy, mniej odważni, głosowali za układami; a tymczasem Kirlik, sie-

dzący na drzewie przy oknie przeciwno drzwi wchodowych będącém, rzucił kamieniami przez nie do kaplicy, i głośnie za każdym ciśnięciem pytał:

— Czy boli, panowie bracia?

Sapieszko widząc, że szlachta kłucząc się czas marnuje, wlaź na ołtarz i stojąc przy samym murze, tak, że mu Kirlik nie zrobić złego nie mógł, zawiązał następującą z ostatnim rozmowę.

— Słuchaj, zuchu, i my i wy wiecie bardzo dobrze, że położenie nasze jest smutne, i że na łasce waszej jesteśmy.

— Prawda, — odpowiedział śmiejący się z radości Kirlik, — więc cóż więcej chcesz powiedzieć?

— Oto, że zapewne bracia szlachta wykupi się, to ich puśćcie, ... ale ja, pieniędzy nie mam, bo przecież musie-

liście słyszeć, że Sapieszko nie bogaty; to zróbcie ze mną co się wam spodoba.

— Doprawdy, a to widzę, żeś nie mniejszy zuch od nas. Dalibóg, szkoda, iż w bandzie pijaków znajdujesz się.

— Alboż ty nie pijesz?

— Ale się nie upijam, bobyście złapali mnie tak, jak teraz sami pojmani jesteście. Wiecie, mamy tu cegły, zamurujemy was... będziecie mieli co jeść... wszakże macie trupa.

— Nie bądźcie tak złymi, zabijcie mnie, ... ich wszystkich puśćcie, okupią się wami.

— Nie pragniemy pieniędzy, lecz zemsty.

Buczys słysząc rozmowę, podszedł pod okno, wlaźł na drzewo, i zawołał:

— Tego co z nami rozmawia, prosimy wleść na okno, bez broni; inaczej, zginie.

— Broni nie porzucę, i z bronią się nie rozdzielię, ... zezwoliłem abyście mnie zabili, i teraz zgadzam się na to, potem możecie zabrać moją jedyne flintę.

— No, to dalej, pójdź do nas z bronią.

Sapieszko przeżegnał się, krótką zmówił modlitwę i wlażł na okno. Bandyci zarzucili mu na szyję stryczek i odebrali broń z ręki. Późem Buczys przyzwał Czywasa, tak, że tylko jeden Kaziulis pozostał przy drzwiach na straży, ściągnął na ziemię Sapieszkę, związał mu ręce i nogi, i broń przyłożył do jego piersi.

— Jeżeli krzykniesz, zginiesz ty, zginą i oni. — Po takiej przemowie wlażł znowu na drzewo.

— Panowie szlachta, złóżcie broń, i po jednym do okna.

Szlachta nie wiedząc z wielu nie-

przyjaciółami ma do czynienia, złożyła broń, i pojedynczo wylaziła oknem, a bandyci wiązali ich i układali jednego przy drugim.

Na ostatku pokazał się w oknie, łysy, tłusty, trędowaty szlachcie. Tego przywiązano do drzewa, wyciągając ręce tak wysoko o ile długość ich dozwalała. Zgięcia kolanowe przymocowano także postronkiem, stopy opierały się o mrówisko.

Łysy zupełnie bez rozdziany. komary gryzły głowę i plecy, mrówki nogi cięły, a stary wywijał się jak wąż, i przez silnie zatkane usta za ledwie oddech mógł przepuszczać.

— Męczylesz Czywasów? — zapytał Buczys.

— Oh! s.... — jęknął grobowo łysy.

— Boli ciało? a mnie dusza — prze-
rwał Czywas.

— Szpaczek, — rzekł Pryba, świeżo

urżniętą pałką uderzając szlachcica po grzbiecie.

— No, dosyć dzieci, — po kilku minutach przemówił Buczys — pójdziemy zabierzemy z sobą Sapieszkę, on, zdaje się nienajgorszy.

Bandyci weszli do kaplicy, wybrali z złożonych broni najlepsze, zabrali wszystek proch i kule, znieśli do grobu trumnę, zamknęli kaplicę, rozwiązali Sapieszkę, i poprowadzili go z sobą.

Kirlik nieznacznie odłączył się od bandy, powrócił do powiązanych, a przekonawszy się, że żaden z nich nie uwolnił się z pętów, zbliżył się do łysego, dręczonego przez owady, dobył z kieszeni składanego noża, otworzył go i wolno urżnął prawe ucho, a potem rozkroił łytki, wydarł ikrę, rozśmiał się, pokłonił nisko, ży-

cząc *dobrą noc*, i pobiegł jak jeleni skoro, aby dogonić swoich.

— Czywas, — rzekł za ledwie dyszący z pośpiesznego biegu, — to tobie w prezencie.

— Co to?... ucho!... coś ty zrobił?

— Pomściłem się za ciebie.

— Ach! jakżeś okrutny.

— A oni?

— Oni,... mogą być jakimi chcą, my i tak wielcy zbrodniarze.

— Bajesz, — i to rzekłszy rzucił daleko od siebie skrwawiony członek.

Bandyci odprowadziwszy Sapięszkę o milę, uwolnili go, zalecając, aby wrócił do braci i zwolnił ich z więzów.

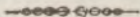
Długo namyślał się Sapięszko, czyli śledzić kroki zbrodniarzy, czyli też wypełnić ich rozkaz.

— Starego mogą zagryść mrówki i komary, — mówił do siebie, — jeżeli pój-

dę za nimi, mogą mnie pochwycić,
a wówczas i sam zginę i ich nie ocale.

I tak myśląc dążył do kaplicy.

Gdy przybył, już zorze zakolorowało
wschodnią część nieba; — natychmiast
odwiązał usta obnażonemu szlachci-
cowi, ale ten już nie żył. Całe ciało
było spuchłe, a w rozciętych łytkach
mnóstwo roilo się mrówek. Z koléi
rozwiązywał innych, leżących na zie-
mi, a każdy był tak osłabiony, że o
swoich siłach nie mógł się podnieść.
Sapieszko udał się do wioski S***, i z
potrzebną pomocą wrócił niedługo.
Pomieszczeni na wozach bohatero-
wie, wkrótce zwiezieni zostali do tej-
że wsi, jako najbliższej zaszłego zda-
rzenia.



X.

EDWARD-TATARTT.

Po dwóch tygodniach, Edward wyleczywszy się z ran, jakie żądła komarów mu zadaly, pojechał wierzchem do Trok. Domyślicie się bezwątpienia, że dążył do Judki Kaftala, który sam cudownie będąc uratowanym, przez chęć odwetu naraził na utratę życia szwagra swego Chaima. Rzeczywiście Edward raz jeszcze pragnął wciągnąć w intrygi swe izraelitę, ale ten, nie zapomniał jeszcze kąpieli,

w świeżej pamięci miał śmierć Chaima, gdyż żona jego z dziećmi do niego się sprowadziła, i niechciał wcale podjąć się spełnienia żadnych usług, lubo za nie Edward hojne obiecywał wynagrodzenie.

Po długich namowach, młodzieniec poznał, że Kaftal pod żadnym pozorem do życzeń jego nie przychylił się, prosił go przeto, aby zachował przynajmniej w tajemnicy ich związki, do czego też Judka zobowiązał się. Na tem kończy się cały udział w opowiadanych wypadkach Kaftala, i my już więcej nie ujrzymy w gospodzie Zabohowskiego.

Niezadowolony z obrotu rzeczy, Edward powrócił do domu, zamknął się w swoim pokoju, i całe trzy dni nie wychodził. W ciągu tego czasu rozważał, czyliby nie wypadało mu szukać pomocy u starój Medy, jednakże,

o ile był przekonany, że jej działania skuteczniejszymi byćby mogły, aniżeli poprzednich jego stronników, o tyle znowu nie dowierzał kobiecie, w chacie której, w czasie swjej choroby, w porze nocnej, widywał niekiedy ludzi, weale nie obiecującej powierchowości. Wreszcie, postanowił udać się do wsi Monajci, gdzie mieszkała mleczna jego matka, nie młoda już kobieta, posiadająca zupełne jego zaufanie, i od téj zasięgnąć zdania, zwłaszcza, że mu zawsze odpowiednio widokom jego doradzała.

Nazajutrz, w południe, gościł u Katarzyny. Kobieta ta wysłuchiwała go cierpliwie, a potem usilnie odradzała zamiarowi, tak niezgodnemu z zasadami poczciwości, że uważał go za występki niczem przed Bogiem i ludźmi niesprawiedliwiony.

Edward okazał jawnie nieukonten-

towanie; co dostrzegłszy Katarzyna prosiła go o dwa dni do namyslenia się, i przyrzekła, że w każdym razie kochanemu synowi swemu, będzie się starała dopomódz.

Po dwóch dniach namysłu, do czegoż nie można się skłonić? Rzecz każda ma swoją złą i dobrą stronę, w każdej upatrywać a nawet zdziałać możemy bardzo wiele. — Zdziwicie się przeto bezwątpienia, słysząc, jak Katarzyna, która poprzednio tak ostro wyrzucała Edwardowi niegodziwość jego zamiaru, teraz sama o przyspieszenie go upraszała. Edward nie znajdował w tak rażącej przemianie, nic uderzającego; ale to tylko Edward mógł nie dostrzedz wzruszeń, miotających Katarzyną wówczas, gdy pochwalając przedsięwzięcie, starała się ukryć oburzenie prostej swój duszy.

— Możemy odwieść daleko, mam krewnę ztąd mil pięć.

— To nie bardzo wygodnie, — uczynił uwagę Edward.

— Ale bezpiecniej.

— Wielka prawda.

-- Życzę ci powodzenia, kochany mój Edziu; krew zimna, odwaga, powściągnięcie w czasie drogi; pamiętaj.

— Daję słowo honoru.

Widzicie, że już i wtenczas *słowo honoru* istniało, i używano je, tak jak czasem dzisiaj, do najsprośniejszych czynów. Pytanie, czyli występpek odbierając czystą sławę winowajcy, pozostawia mu prawą moc używania zaszczytnej przysięgi? — Trzeba być bardzo czelnym! — zabić sumienie i przekonanie, pozbawić się nawet myśli o szlachetności, ażeby brudnie postępując, jeszcze samemu sobie przyznawać godność, jaką się prawi ludzie szczyścić bezzaprzeczenie mogą. Tacy ludzie, podobni są do złodziejów, bo ci ostatni kradną zazwyczaj

przedmiot wartość podzmysłową mający, — pierwsi, kradną spokojność, dobre imię, losy swoich współbliznich, i jeszcze błąka się urojenie po zbrodniczych ich umysłach, że równo z innymi uważani być winni.

Największą różnicę w tem zaiste czynię pomiędzy ludźmi: Człowieka pocziwego, łagodnego, kształcącego ducha swego i udzielającego wiadomości i pomysłów swoich światu, liśociwego, spokojnego, — czyliż niepowinniśmy przekładać nad pysznego z bogactw łotra, srogięgo, próżniaka, z kamiennem sercem, burzliwego? — Jesteście tak łaskawe czytelniczki i łaskawi czytający, że nie wątpię, iż chociaż w tym razie, zdanie moje podzielić raczycie.

Wieśniaczka nie zrozumiała wyrażenia się Edwarda, bo pocziwi nasi kmiotkowie, prosto mówią i działają, ale Katarzyna, nie znając wyrazów,

pojęła ich znaczenie, i tem zaspokojo-
na, zaczęła przysposabiać w małym
szpichlerku, pomieszkanie za kilko-
godzinne więzienie służyć mające.

— Zły chłopiec, — mówiła do sie-
bie, — ale niechno ją tylko tu zwiezie,
pożegna się na zawsze, i jeszcze rodzi-
com powiem.

Edward uradowany, że Katarzynę
znalazł powolną swoim żądaniam, po-
wrócił do domu, zajął się gospodarką,
a rodzice nie mało byli zadowoleni z
nagłej tej przemiany.

Wróćmy się teraz do Ayeszy i Mis-
salli. W ich życiu zmian żadnych nie
było. Gdy ojciec objawił im swe ży-
czenie, aby nie wychodziły do miasta;
dziewice, szanując święcie wolą jego,
i poważając łagodność, z jaką onę u-
słyszały, nie wychylały się nawet za
progi rodzinnego dachu. Dla uprzyje-
mnienia im chwil dobrowolnego zam-

knięcia się, wdowa Joanna odwiedzała ich codziennie, przychodząc z ręcznymi robotkami, w których bardzo biegłą była. Dziewice pytały niekiedy o Rudolfa, a nawet okazywały swe zdziwienie, że nigdy nie towarzyszy matce; ale Czekanowska usprawiedliwiała go ciągłą pracą, której porzucić nie może, już dla skromnego ich utrzymania, już znowu dla czerpania w źródle nauk umiejętności, mogących z czasem los ich osłodzić.

Przyczyny były bardzo słuszne, aby przeciw nim cokolwiek zarzucić, i lubo tęskniły dziewczyny za młodzieńcem, którego za brata uważały (jedna nie kochała go miłością braterską), wszelako więcej skargi żadnej nie wynurzyły i znosiły przeznaczenie swe z stoicką cierpliwością.

Jakże miłą była im wiadomość, gdy pewnego wieczoru, ojciec wezwał je

do towarzyszenia mu na brzeg jeziora. Pośpieszyły za nim z bijącym z radości sercem, i z nadzieją, że może także zabłądzą do chatki matki Rudolfa.

Nie omyliły się. Ojciec wiódł je prosto do wdowy; chciał przepędzić chwilkę w lubej spokojnej rozmowie, chciał, udzielając wiadomości własnych, zyskać coś także od Rudolfa, sława którego uczoności, już się była rozchodzić po mieście zaczęła.

Od niejakiego czasu mniej on zajmował się rybołówstwem, bowiem na usilne proźby kilku zamożniejszych mieszczan, udzielał dzieciom ich początkowych nauk, jakie, w owych czasach, za zupełnie dostateczne dla stanu miejskiego uważane były.

Jakkolwiek Rudolf, zbyt skromnym i nieśmiałym będąc, za trudy swe nie chciał wynagrodzenia przyjmować, jednakże zobowiązani poświęceniem

się jego obywatele, starali się okazać mu wdzięczność swoją w sposób tak przyjacielski i nie drażliwy, że młodzieniec, pomimo chęci, nie mógł także odmawiać przyjęcia darów, w hołdzie mu składanych.

Dzięki takiemu zatrudnieniu, domek Joanny ozdobniejszą przywdział powierzchowność. Dach był nowy, płoty gęsto i porządnie oplecione, na ścianach wił się powój, krzaki róż i bzu ocieniały zgrabne okna. W ogrodzie kilkanaście młodych krzewów, rozrastało się pod kilku starymi owocowymi drzewami, a cztery ule pszczoł, zgromadzały słodycz z kwiecistego ogrodowego kobierca wyciąganą. — Grunta wzorowo uprawne, siecie całe, statek naprawiony, wiosła nowe, żelazem okute; — wszystkiem tem życzliwość sąsiadzka zajmowała się, a Rudolf, więcej mając chwil wolnych,

od zwykłych zatrudnień, więcej mógł także zbierać plonów na rozległej niwie umysłowych pojęć, i więcej rozszerzać je pomiędzy swoimi współziomkami.

Rudolf siedział właśnie pod obciążoną owocem gruszką, i czytał Sokratesa życie, kiedy Sulejman z córkami stanął u wrot ogrodu.

Młodzieniec podniósł oczy, zadrżał, i chciał przemówić, ale w zbytku uczuć, gdy dusza pragnie od razu objawić swe myśli, najczęściej pragnienie to, zdaje się, że rozpierając piersi nasze, zatlumia możność mowy i przelewa całą swą dzielność w oczy. Rzeczywiście, cała siła, dzielność ducha; cała namiętna miłość, miłość jedyna, żywa, ognista, przemawiała w téj chwili przez jego wejrzenie. Ayesza zarumieniła się, ona jedna zrozumiała

myśli Rudolfa, i nie śmiała ich przerywać.

— Matka w domu? — zapytał Sulejman.

— Nie.... w domu,... w domu, — odrzekł roztargniony młodzian.

Sulejman z pewnem zastanowieniem popatrzył na Rudolfa, a potem wraz z córkami wszedł do domu Joanny.

— Jak się macie? — spytał na progu.

— Dzięki Bogu! zdrowo, — odpowiedziała wdowa.

— Przybywam z córkami!

— Czy niebezpieczeństwo już minęło?

— Cyt, — i Sulejman pociągając po czole ręką, spuścił ją ku wargom, i palec na ustach położył.

Dziewczęta nie przewidywałybyły, że je otaczały okoliczności, narazić mogące ich losy, lub zawichrzyć spokojność. — Zdumione przeto spoglą-

dały na siebie, tak, jakby jedna w umyśle drugiej znaleźć chciała wytłomaczenie słowa, które się mimowolnie z ust wdowy wymknęło.

— Gorąco, — rzekł Sulejman.

— Pójdziemy ojcze do ogrodu, — to mówiąc Missalla wzięła pod rękę Ayeszę i wyprowadziła ją na podwórko.

W ogrodzie siedział jeszcze Rudolf, nieporuszony, milczący, z oczyma wlepionymi w księgę, której wcale nie czytał. Dziewice zbliżyły się doń i pytały, o czemby rozmyślał.

— Czytam, — odpowiedział Rudolf.

— Oprowadź-że nas, kochany sąsiadzie, po ogrodzie; pragniemy znać tu każde drzewo, każdy krzew i roślinę; — przemówiła Missalla.

— Z ochotą.

Po za plotem, w miejscu najbardziej zarosłem pokrzywą, i najmniej z położenia swego przystępnem, człowiek

młody, w wieśniacze odziany szaty, pilnie zaglądał przez szpary gęsto uplecione go plotu, i chciwie chwytął słowo każde, jakie z niezbyt głośnej rozmowy uszu jego dolecieć mogło. — Co myślał, nie wiemy; moglibyśmy jednakże odgadnąć, gdybyśmy dojrzeli twarzy, której wcale od szczeliny nie odwracał.

Misalla oddaliła się nieco od Rudolfa, który pozostał pierwszy raz sam na sam z Ayeszą.

Sam na sam, doskonale wyrażenie; *sam na sam*, najbardziej oczekiwana chwila dla szczerze kochających, w jakimkolwiek znaczeniu i ustopniowaniu tego wyrazu. Z resztą nie potrzebujemy więcej i dobitniej objaśniać się, kto ma serce czule, pocziwe i kochające, — pojmie nas; — przez samolubów, synów czarta, czyli będziemy zrozumieni lub nie, wszystko nam jedno, — możemy na to nawet się zakląć.

Rudolf z Ayeszą pozostawiony był właśnie przez Misallę w tem miejscu, gdzie pan ciekawski obrał dla siebie stanowisko. Oboje, nie mający przychyny prowadzić skrywanej rozmowy, toczyli ją głośno i z całą otwartością wieśniaczą. Mógł przeto podsłuchujący wiele potrzebnych pochwycić mu szczegółów, i rzeczywiście, jak się później przekonamy, nie zaniedbał korzystać z wiedzy okoliczności, w jakich się rodzina Tatara znajdowała.

Wkrótce potem Tatar powrócił z córkami do domu, wkrótce też zgasło światło w chatce wdowy.



Wiedzie, bez wątpienia, kochani moi ziomkowie, że w epoce, w jakiej zdarzenia opowiadane miały miejsce, Szwed gościł w naszej krainie, że wojna była ciągłą i nieustającą, i że jeźli Augst II w przykrem znajdował się

położeniu, nieugięta wola Piotra Wielkiego przysposabiała Karolowi opór, jakiego wcale się nie spodziewał. — Daleko jeszcze było do Pollawskiej bitwy, tkwiła boleśnie w pamięci rozprawa pod Narwą, ale nie tracono nadziei, że najeźdźca z kwitkiem pójdzie, i że krwią i hańbą w przyszłości się okryje.

Pomimo jednakże takich okoliczności i usposobień, nieład był powszechny, a samowolność bez granic dozwalała zuchwalcom targać święte węzły prywatnej spokojności, niweczyć ustronne szczęście rodzin i wystawiać je na ciężkie cierpienia.

Czasem Szwed, czasem znowu Litwin lub Polak, odwiedzał Troki, innym znowu razem bagnety przeglądały się w wodach jeziora, ale wszystko było mijającym, niestałym i niepewnym, jak

to zawsze na tym przewrotnem dzieć się zwykło świecie!

Otóż Tatar, powróciwszy do domu, pewnym będąc, że w okolicach nie znajduje się żadne wojsko, zlecił swym córkom, aby nazajutrz, z rana, udały się do chorej, krewniej przyjaciela jego, mieszkającej w zaścianku, odległym nie o całą milę od Trok.— Jakkolwiek biedna kobiecina, nie była ubogą, ale od dwóch lat nie wstając z łóżka, nie mogła ani gospodarstwem zarządzać, ani też uprzyjemniać sobie życia owemi niewytwornemi przysmakami, jakie na wsi grają dosyć znakomitą rolę, i bardzo są cenione.

Dla tego też, obie siostry przysposabiały pakunki, zawierające w sobie, pierniki, chleb marcowy (*), powidła

(*) Chleb marcowy, jest z czystej razowej mąki pieczony; dodaje się do niego miód, skórki pomarańczowe, cytrynowe,

konfitury, kilka świeżo upieczonych kuciek, a nakoniec wyborowe owoce z Sulejmana sadu.

Z myślą wesołą, czystą i pogodną, dziewice udały się na spoczynek, nieprzerwany ani ogniem namiętności, ani też wyrzutem sumienia.

*

W Zabohoskich dworcu, przed ganikiem, dzielny, niecierpliwy rumak, grzebie kopytem ziemię i rozbryzguje zwirowe jej części. Tęskni za panem, który od dwóch godzin siedzi pod dachem, niemieszczącym pod sobą hożej litewskiej dziewoi. Niech sobie biegun żuje złośliwie wędzidło, niech pod swemi nogami wykopie dla złych dołek, my go omińmy i przysłuchajmy się, jaki to nowy gość zjawił się u pana Edwarda, i jaka ich rozmowa.

i t. p. przedmioty. Smakiem wyborowy, zdrowiu wcale nieszkodliwy.

W oddzielnej stancyjce, nie wielkiej, ale schludnej, siedział Edward w wielkiem poręczowym krześle. Postawę jego i charakter znamy dobrze. Drugi mężczyzna, siedzący na drewnianym stolku, był nieco wyższego nad mierny wzrost, krępy; zarosłej, ogorzałej, szerokiej twarzy; was jasny zwieszał się po za brodę, oczy zcerwieniałe, pijackie; mowa gruba, co do głosu i wyrażień, nieprzystojna; ubrany był w katanę z grubego szarego sukna, przepasany czarnym pasem, za którym tkwiły pistolety; szablę szeroką, krzywą, z żelazną rękojeścią, trzymał pomiędzy kolanami. Dzikim, bystrym wzrokiem, zdawało się, iż pragnął przedmiot każdy zbadać, a zbadany, żyłastą, ciężką dlonią, według upodobania kierować. Nie miał więcej nad lat dwadzieścia dziewięć lub trzydzieści.

Stronnik Karola, nie z przekonania lecz z potrzeby, syn właściciela wioski S^{***}, przybył do Edwarda dla pomówienia o politycznych wypadkach, i wciągnięcia go w koło zbieraną przez się drużynę.

Pomimo, że powierzchowność Darwerda, okazywało człowieka czynu, z tém wszystkiem nie był on nim w istocie. Szumno, huczno porozprawiać, na sejmikach zostawić pamiątkę krzyżowej sztuki, najechać grunt sąsiedni, rozpędzić biednych chłopków i nakazać im milczenie, o to wszystkie bohaterские dzieła, jakich dotąd dał dowody. Otrzymawszy po rodzicach piękną i zamożną wioskę, w przeciągu dwóch lat wyniszczył i obdłużył ją tak bardzo, że teraz w zapasach bojowych, chciał rabunkiem w własnej ziemi, wydrzeć grosz krwawą pracą zebrany przez rodaka, aby tém

groszem, krwią, łzami i potem rolnika oblanym, spłacić długi, a jeżeli można przedziały swej majątności rozszerzyć.

Jak już powiedzieliśmy, śmiałym, drwinkującym, rubasznym przemawiając językiem, wielki wywierał wpływ, a zbierając w szeregi swoje ludzi miękkiego charakteru, pewnym był, że zawsze nad nimi przewodzić będzie.

Cel odwiedzin jego u Edwarda mamy wykryty.

Nie bardzo jednakże był skłonny młody Zabohowski do porzucenia cichej zagrody swych rodziców; kochanej mamy, pobłażającej wszystkim jego zdrożnościom, i taty, nieośmielającego się skarcić go za takowe.

—Słuchaj Darwerdzie,—mówił Edward, zakładając nogę na nogę, —wiesz, jak rozległe mam w powiecie znajomości.

— I cóż więc?

— Nie przerywaj, a dowiesz się o moich zamiarach. Znajomości wiele, z wielu dzielnymi chłopcami.

— To mnie nieobchodzi.

— Ah! — zawołał niecierpliwiący się Edward, — i bardzo powinno cię obchodzić, mogę bowiem najmniej trzydziestu zwerbować ci towarzyszy, a każdy z mniej nad dwoma nie przybędzie luźnemi.

— Hm! nie źle, ale braciszku.

— No! co chciałeś mówić? — zapytał z kolei ciekawością zdjęty Edward.

— Tak... nic... nic, no, dalej, kończ.

— Twój hufiec pomnożyć mogę bardzo.

— Zrobię cię rotmistrzem, król Karol w stopniu tym cię zatwierdzi.

— Jakto? ty masz z królem stosunki?

— Nieinaczej, a tyś co myślał? ja będę wojewodą trockim.

— Wojewoda?

— A tyś co myślał... zapewneś mniemał, że napróżno tę szablę przypasałem. Szwed czy nie Szwed, choćby nawet djabeł, byle mnie było dobrze.

— A jeżeli Karol nie będzie zwycięzcą?

— Ho! ho! Banduro! a cóż to ty myślisz, widzę zapomniałeś Narwę.

— Nie wszędzie i nie zawsze jak pod Narwą.

— Widzę, nie mam z tobą co *gadać*, tchórz jesteś, a chłop z ciebie nie ułomek, dalibóg, łatwoby ci było mocować się z niedźwiedziem.

Na wspomnienie niedźwiedzia, Edward pobladł, przygryzł wargi, a tymczasem Darwerd dalej rzecz prowadził:

— Ale, ale... słyszałem coś o waszej nieszczęśliwej na zbójców wyprawie, cóż u diabła, wieluż ich tam

było, że was wszystkich bez strzału jak baranów powiązali? no, *gadaj*, nie myśl, to tylko głupie głowy w zadumienie wpadają.

— Ach! musiało ich być bardzo wielu.

— Co, i wy nie wiecie wielu ich było? o tchórze, choćby sam lucyfer z wszystkimi chórami strąconych aniołów, czy tam kaduków, napadł na mnie jednego, dałbym mu poznać żelaziec Trockiego wojewody.

— Nie przechwalaj się.

— Co? ja się przechwalam, zuch widzę z ciebie do kaszy, nie wierzysz w mężstwo?

— Nie w każdego.

— Co? może mojemu chcesz zaprzeczać, do biesa, jeśli chcesz to możemy doświadczyć,—to rzekłszy, uderzył o rękojęść pałasza.

— Bez zwady, kochany współbra-

cie,—przerwał przestraszony Edward, nie zaprzeczam ci bynajmniej waleczności, wiem, że kulą trafiasz w wyrzucony w powietrze tyńf, wiem także, żeś mistrz w robieniu szablą, ale z duchami.

— E, duchami, daj no tu ich, wnet policzę.

— Pójdźmy raczej na wieczerzę, przewyborna.

— Zgoda, idźmy, ale to już noc, każ mego konia pomieścić w stajni, ale oddzielnie, *jaki pan, taki kram*; mówi przysłowie, potratowałby wasze.

— O! prawda, dzielnego masz bieguna, nasze ani porównać się nie mogą,—odpowiedział, pochlebiając juna-kowi Edward.

Z temi wyrazami udali się do pokojów rodzicielskich, gdzie już stół obficie zastawiony na nich oczekiwał.

Kielich brzękał o kielich, spijano zdrowie Trockiego wojewody, a Darwerd śmiał się w duszy z łatwowiernych, i cieszył się, że dziewięćdziesiąt koni będzie mógł dołączyć do swego oddziału.

.....

Ranek pogodny, ciepły. Edward i Darwerd opuścili dom Zabohoskich; konie szły stepo, niekiedy parskając, a jeźdźcy palili tytoń, w krótkie luleczki nałożony. Mało mówili, lecz każdy z nich rozmyślał nad swemi zamiarami.

W nocnej rozmowie, jaką Edward z towarzyszem swoim prowadził, rozogniona wyobraźnia Darwerda pięknnością Tatarki, obraz której pierwszy w najświetniejszych skreślił kolorach, nie traciła bynajmniej na sile swojej, lubo świetna natura i wspaniałe wi-

doki okolic, wabiły oczy i duszę do siebie przyciągały.

Obadwaj namiętnie lubieżni, pozbawieni wszelkiej moralności, zawiązali наконец sprośną pogadankę, przerywaną zaciąganiem tytoniowego dymu, suchem odkaszlnięciem, lub przekleństwem, wówczas, gdy konie idące po sapiastej łące, potykały się. Przybywszy do rozstajnych dróg, zwrócili się na wąską ścieżkę, a potem puścili się bezdrożem, trzymając się, ile było można, pobrzeża jeziora.

— Może w nocy wypadnie wracać, trzebaby oznaczać drogę; załamujmy gałęzie.

— Gałęzie, — przewlekłe powtórzył Darwerd, — niech cię szatan porwie z gałęziami, cóż one nam pomódz będą mogły, jeżeli będziemy ścigani, oj! wtenczas podobno nie drogi się trzy-

mać, ale o własnem myśleć bezpieczeństwie wypada.

— Jakto, więc możebyś i dziewczynę porzucił?

— A tyś co rozumiał, dla jednej dziewczyny miałbym pozbawiać się przyszłej wielkości.

— Ale jakiej dziewczyny!

— Choćby ona była z siódmego nieba, czart ją bierz, bliższy kaftan aniżeli sukmana, zresztą, potem, jeżeli mi się podoba, każda z chęcią powolną będzie moim żądaniom.

— To tu... widzisz, jak gęste zarośle, wyniosła góra zasłania nas zupełnie, wówczas, kiedy my całą okolicę rzutem oka możemy obejrzeć.

— Daj no wódki, — zawołał Darwerd, — jakiegokolwiek stanowisko, wszystko jedno, daj wódki, bo w mojej flaszcze kropli już nie ma.

— Pij, ale pamiętaj, że to posiłek na dzień cały.

— Dobrze, dobrze, gdy zbraknie, pojedę do karczmy.

— To być nie może.

— To ty pojedziesz, jak chcesz, zawczasu cię ostrzegam, że gorzalki mało, a przy nudach trzeba przecież czemś się rozweselać.

— Więc wolę sam pojechać.

— Dobrze, jedź, dziewczyny pewno nie tak prędko przechodzić będą.

Edward dosiadł konia i odjechał.

— Myśli, żeś rzeczywiście Trockim wojewodą, oj pustak, pomagam mu dzisiaj, ale za to dziewięćdziesiąt koni otrzymam z jego ręki, dalibóg, nie mały poczet, można coś zrobić, ale, kto wie, może tym sposobem przewagę mieć nademną; e,—nie, zawsze będzie uważać w osobie mojej wojewodę; o! będzie się obawiał zdradzić.

Tak myślał, popijał wódkę i ćmił fajkę, a koń zarżał niekiedy, i kopytem zadzwonił o ziemię. Słońce wysoko, południe, Edward nie wraca, a Darwerd opatruje pistolety i świeży proch podsypuje na panewki.

— Ostra skałka, skrzesi, do licha, przecież chorągiew jazdy towarzyszyć im nie będzie.

Edward powrócił.

Na mórawie, w krzakach, zajadali obadwa solone mięsiwo, chleb, ser, i pili, a pili bez miary wódkę, której nie małą miarkę przywiózł z sobą Zabohoski.



Wieczorem, kiedy Sulejman opuścił wdowią chatkę, Rudolf, miotany uczuciami serca, przechadzał się po ogrodzie, i właśnie dochodził do miejsca, w którym poprzednio z Ayeszą rozmawiał, gdy ujrzał chyłkiem oko-

ło plotu idącego człowieka. Ostrożnie przelazł przez plot, i w odległości, dla nie ściągnięcia na siebie podejrzenia, wolnym krokiem szedł za uchodzącym, który, dosyć często oglądając się po za siebie, trwożliwie zdawał się uważać, czyli śledzonym nie jest.

Nakoniec wszedł do karczmy, a wkrótce potem odjechał konno. Rudolf dowiedział się o nazwisku nieznanego, i bardziej jeszcze dziwił się, jakieby przyczyny mogły go zniewalać do podobnego postępowania. Powróciwszy do domu, umyślił wyjaśnić tajemnicę, tém bardziej, że ciągléj doznawał niespokojności, i że w poznanyim człowieku, żadnej rękoi pocziwego prowadzenia się nie znajdował.

Lubo noc całą oka zmrużyć nie mógł, przecież równo z świtem, powstał z łoża, i, wzięwszy strzelbę, ru-

szył nad brzeg jeziora, tu wsiadł w małą łódkę i szybko szybował do przeciwnego brzegu, od którego nie opodal stało domostwo węglarza.

Jeszcze słońce nie weszło, a już Jan, przyjaciel Rudolfa, biegł znanemi sobie ścieżkami do dworu Zabohoskich, wówczas, gdy ostatni wracał do swej matki.



Jak już nadmieniliśmy, Tatar wyprawiał następnego dnia, po swoich odwiedzinach u wdowy Joanny, Missallę i Ayeszę do choréj kobiety. Gdy więc ułatwiły się one z domowemi swemi powinnościami, ubiegło południe, a gdy przechodziły most *żelazny*, była godzina druga.

W tym czasie syn węglarza, Jan, przepytywał się o Edwardzie w domu jego rodziców, dokąd wstąpił pod pozorem kupna koni, wiedząc, tak się

wyrażał dla zyskania u starego Zabohoskiego przychylności, że w całym powiecie u nikogo piękniejszych i lepszych nie było.

Edward spał, Darwerd palił tytuń i głaskał po szyi swojego grzywacza.

Wdowa Joanna robiła masło, jój syn uczył *dzielenia* dwunastoletniego mieszczkańskiego chłopca.

Beni-Ana i Jussuf, wyjechali na połów ryb wspólnie z Szafranowiczem; Hassan naprawiał zepsute koło.

Meda, w Giwokorach, wróżyła Karolinie Wilczyńskiej, przybyłej doń z swą ciotką; — bandyci około Waki czyhali na oficera szwedzkiego, którego pojmać wielką mieli ochotę.

Upał nieznośny. Dziewice okryły głowy białymi chustkami i szły śpiewając radosną piosnkę. Ich serca doświadczały największego ukontento-

wania, gdyż nieść pomoc bliźniemu, za najwznioślejszą cnotę uważały.

Przeszły właśnie około zarośli. Darwerd kopnął nogą swego towarzysza, a ten z gniewem zawołał:

— Warjat czy szalony, wołałbym iżby mię wół ugodził rogiem.

— Doprawdy, a to zabawnie, no proszę, cieszy mnie, że moja noga tak straszna.

— Straszna, tak jak i ty, pocóżeś mnie kopnął.

— Dziewczyny przeszły.

— Przeszły?

— A tak.

— I czemużeś dosyś wcześniej mnie zbudził.

— Jeszcze jest wódka i mięso, czekaj, będą wracały, tymczasem możemy się posilić, jestem bez obiadu, głodnym.

— Co, ty na głód narzekasz, zjadł-

szy z pięć funtów pekeflejszu, z nie-
mniejszą ilością chleba.

— Ztém wszystkiem, djabelny mam
apetyt,—to mówiąc, zabrał się do re-
szty przywiezionego przez Edwarda
pakunku, wychylił kwaterkową miar-
kę wódki, i począł polykać ogromne
kawalki niepożutego nawet mięsiwa.

Zabohoski, rad nie rad, musiał tak-
że zabrać się do jadła, bo Darwerd
byłby go pięścią, po przyjacielsku, jak
to nazywał, do tego znaglił.

.....

— Do licha, kiedyż będą wracać,
nudno mi, mam wielką chęć zjeść
z pół kopy smażonych jaj, o! bratku!
już mnie nigdy nie wywiedziesz w po-
le,—mówił Darwerd, po upływie nie-
więcej dwóch godzin, — to niezno-
śnie przepędzić dzień cały bez obja-
du... no, żywo, do koni,... idą.

Obaj dosiedli rumaków, ściągnęli

cugle, a potem nagle je puszczając, pędem wpadli na idące siostry. Misalla umknęła na bok, ale Ayesza, uderzona piersią końską, upadła bez przytomności na ziemię.

Darwerd skierował rumaka, poskoczył i schwycił za ramię Misallę, usiłując ją wciągnąć na siodło, ale dziewczyna, widząc niebezpieczeństwo, zebrała wszystkie siły, wyrwała się z rąk napastnika, i z głośnym krzykiem wpadła pomiędzy gęste zarośle, dokąd niepodobna było wierzchem za nią zdążać, gdyż mnogie parowy utrudzałyby przejazd.

Tymczasem Edward, przewiesił Ayeszę na koniu, wskoczył nań i krzyknąwszy na Darwerda, aby pośpieszał za nim, puścił się z powrotem drogą, którą z rana przybyli.

Darwerd rzucił piorunujące przekleństwo, które doleciało do uszu ucie-

kajacéj Misalli; zdawało się jéj, że wróg krok w krok za nią zdąża, że już zbojecką dłonią sięga jéj barków, podwajała przeto bieg, i, lubo wszelkie minęło niebezpieczeństwo, i znajdowała się już na żelaznym moście, jednakże nie zwolniła kroku, bezprzytomnie wbiegła do ojcowskiego domu, i padła zemdlona u stóp Sulejmana.

Starzec zadrżał, nie uległ jednak pod brzemieniem niespodziewanego nieszczęścia. Podniósł córkę, złożył ją na łóżko, posłał po Czekanowską, a tymczasem starał się ocucić nieszczęśliwą Misallę.

Skrapiał zimną wodą jéj lica, a myśl jedna, ciągle, owładnęła jego umysł: „gdzie Ayesza?“ i zwracał groźne spojrzenie na broń, towarzyszkę lat dawnych, i chciał w broni téj znaleźć pocieszenie, nadzieję; chciał bronią tą

zasłonić dzieci kochanej swój Klary, dla których najczulszym był ojcem.

Nagle wpadł Rudolf, na twarzy piętnowała się rozpacz, włos rozrzucony, w nieładzie, flinta na ramieniu, w garściach gniótł małą czapeczkę.

— I cóż?

— Nic, — odparł Gabrijel Sulejman, — nieprzytomna, Ayeszy nie ma.

— Nie ma, — wykrzyknął przez zgrzytające zęby młodzieniec, a oczy jego gorzały ogniem wścieklej zaciętości, — ha! ojcie, moja matka w drzwiach, ona będzie ratować Misallę, idźmy, szukać, .. to niepodobna... trzy kule wpakowałem w lufę, dziesięciu przesyję złoczyńców, idźmy, a jeśli w was, serca nie ma... sam pójdę.

I nie czekając, wybiegł z domu, a ludzie, ustępowali przed nim, bo rysy oblicza zwiastowały obłąkanie rozumu, serca i całego jestestwa.

Biegł do jeziora, do swęj starej łódki; już w nią wsiada, odbija od brzegu, kiedy spostrzega zmierzające ku sobie czółno, sterowane przez Jana.

— Z Boga się poczęłeś... a co? u nas źle, Misalla umiera, Ayeszy nie ma.

— A to pewno on, niewątpliwie on, łotr... dzisiaj rano wyjechał z drugim jakimś człowiekiem, który u nich nocował i dotąd nie wrócił.

— Masz broń, Janie?

— Mam bracie.

— Daj mi rękę, niech przejdę w twoje czółno, w mojem byłoby za ciasno.

Jan podał Rudolfowi rękę, młodzieniec wskoczył do łodzi, odpychając małą łódkę nogą, i przeznaczając ją na igraszkę losom.

— Mówiłeś, że dotąd nie wrócili?

— Tak jest.

— A nie wiesz, kto był drugi.

— Parobek opowiadał, że go widy-

wał tu w Trokach, i że zna go jako zawadjakę, nie tylko w karczmach zaczepkę dającego, lecz nawet szukającego sporów na publicznych drogach.

— Daj go katu, odpowiednia przyjaźń, a łatwa, kiedy tak, sprawa.

— Biedny Sulejman, musi bardzo cierpieć.

— Nie wiem... byłem tam... ale bracie, pośpieszajmy.

Wiosła żywiej rozdzielać poczęły wody jeziora, pot wystąpił na czoła pracujących, ręce mdlały, a jednak uczucia sił dodawały i pośpiech z każdą chwilą był widoczniejszy. Czólno mknęło się po wodzie, jak łyżwiarz po kryształowym lodzie.

Dobili do brzegu, rażno wyskoczyli, Jan wstąpił do węglarskiej chaty, i wkrótce powrócił uzbrojony strzelbą.

— Nie miałeś dawniej broni.

— Kupilem ją bardzo tanio, od starej kobiety z Giwokor.

Noc zapadła, chmury zasłyły widnokrąg, i drobny deszczyk padał, Rudolfowi wróciła przytomność, tylko pozostał żal i troskliwość. Szli prędko, a jednakże zachęcał on Jana co chwila do pośpiechu, mimo, że strudzenie widocznie wyczerpywało siły ostatniego.

Scieszka prowadząca przez las, wydeptana była po nad samym brzegiem małej, lecz szeroko rozlewającej się, i tworzącej po obu swych stronach bagniska, rzeczki, a te, bardziej jeszcze rozwilżane deszczem, zamieniły się prawie w kałużę, przez którą wędrownicy nasi brodzić przymuszeni byli. Nogi za każdym krokiem zagryzały się w błoto, a przez to pochód ich coraz bardziej utrudzającym i powolniejszym się stawał. Po dwugodzin-

nym marszu, Jan zatrzymał Rudolfa, i zaleciwszy mu, iżby zaczekał przy kamieniu zwanym *Czaszka*, z pod którego wydobywało się źródło, sam udał się ku folwarkowi Zabohoskich.

Syn węglarza był od każdego lubionym, bo też starał się uczynnością zyskiwać sobie serca. Swobodnie przeto przekroczył most, wiodący do dworcu szlacheckiego, przelazł przez wrota i zakolatał do stajni.

— Kto tam?

— To ja, dobry Franku, wyszedłszy dzisiaj od was, zachciało mi się polować, deszcz mnie zaskoczył, zziąłem czekając u powały na zająca, pozwól mi chwil kilka spocząć u was.

— Bez wszystkiego, dobry panie Janie, — odrzekł Franek, otwierając drzwi, — jeżeli chcecie to możecie i przenocować, dam wam tyle siana ile za-

żądacie, nową guńkę do przykrycia,
a nawet ustąpię własnego posłania.

— Dziękuję, spocznę tylko godzin-
kę, a potem iść muszę, mój kochany
ojciec jest zapewne niespokojny.

— O tóż to, z pana, to syn jak się
należy, ale nasz panicz, to djabła wart,
Bóg wie gdzie się włóczy.

— Jak to, nie ma go jeszcze w domu?

— Nie był jeszcze wcale.

— I gdzież on przebywa?

— Bóg to wie, może w Trokach u
karczmarki, siedział ci tam parę ty-
godni, a przeszłej nocy gdym wyszedł...
e... powiem prawdę,... aby uściskać
moją Rozalkę, przechodząc około o-
kna pomieszkania jego, usłyszałem
głosną rozmowę, nadstawiłem ucha,
mówił o jakiejś dziewczynie, że ją
chce koniecznie mieć, i dodał, iż jeżeli
nie zechce dobrowolnie, to ją porwie;
ten drugi, co nocował, przyobiecał mu

pomagać, pewno to oni dzień strawili u niej, a z resztą, Bóg wie, to wielki psotnik.

— A gdzież mieszka ta dziewczyna?

— Tego nie wiem dobrze, ale *gadał* coś o Trokach, czy też o bliskiej wsi, niedosłyszałem, potem też i nie chciało mi się, i bałem się trochę, i poszedłem do Rozalki, a dziewczucha mnie nie puściła, i tylko przez okno powiedziała, żebym jęj spać nie przeszkadzał, a jeżeli ją miłuję tak bardzo, to niech się prędzej żenię, a wtenczas już nie będę potrzebował lazić po nocy.

— No,... trzeba iść, dziękuję wam Franku, bywajcie zdrowi.

— Idźcie z Bogiem, ale lepiejbyś panicz zrobił, gdybyś tu do dnia przesiedział; w okolicy teraz nie bardzo bezpiecznie, zbójcy się zjawili, oj! śmieszny to był niedawno kawalek; i naszego panicza złapali, podobno tam

coś oberwał, bo go nawet aż zwieść musiano, a nieborak długo się skrobał po ciele i oczy miał zapuchłe. Opowiadał, że go związali, na ziemi położyli i zostawili, a komary tak go jadły, że aż osłabł, oj! dalby to Bóg, żeby mu kto lepiej się przysłużył, bo to ladaco, każdemu zaskwierzy i czleka nieraz nahajką przemierzy, a za nic, tylko dla satysfakcyi, bo lubi bić i pałtrzeć jak biją, złe ma serce, Boże mu przebac.

Franek miał wielką chęć rozprawiania, ale Jan pożegnał go znowu, i wyszedł, szczęśliwy, że niewątpliwe powziął już przekonanie, o dokonanym przez Edwarda napadzie. Idąc zatem przez pola, myślał, jakimby sposobem odkryć miejsce, do którego zawiedziono Ayeszę, potem westchnął, zmówił pacierz, łaskawej matce nieba się

polecił, i z nadzieją stanął przed swym przyjacielem.

— Tak, to on, niezawodnie, — rzekł Jan, spozierając na Rudolfa, — służący się wygadał, dotąd go jeszcze w domu nie ma.

— A więc cóż uczyniemy? — zapytał zasmucony Rudolf.

— Trzeba czekać, bądźmy cierpliwymi, tyś zapewne strudzony, pójdźmy pod to oto wzgórze, jest tam szalas pasterski, spoczniesz, — i wzięwszy pod rękę swego przyjaciela, zaprowadził go do wieśniaczego schronienia, gdzie na garstce starganej słomy, znaglił prawie do położenia się Rudolfa.

— Spocznij, ja będę pilnować, złąd widok na całą odkrywa się okolicę; skoro tylko wracać będzie, zbudzę cię, przecież mu podolamy, prawda?

— O! prawda, nawet na dziesięciu

rzuciłbym się, tak cierpka boleść przyniata moją duszę.

— Tem żywszą będzie radość.

— Niech się sprawdzi przepowiednia twoja, — z temi słowami usnął Rudolf, a Jan usiadłszy przed szafą, baczną na wszystkie strony wzrok obracał.

Zostawmy na czas jakiś dwóch przyjaciół, a wróćmy do Trok, do domu Gabrijela Sulejmana, Tatarskiego chrześcijanina.

Gdy Rudolf wybiegł, wkrótce Misalla odzyskała tyle przytomności, że urywkowo opowiedzieć mogła całe zdarzenie. Sulejman prosił Czekanowskiej, iżby chciała pozostać przy jego córce, a sam zdjął wiszącą na ścianie strzelbę, nacisnął czapkę na głowę i wyszedł.

Beni-Ana, Hassan i Jussuf, którzy pod tę właśnie porę nadeszli, spoj-

rzeli po sobie, a potem, jakby jedną natchnieni myślą, wszyscy wybiegli za Sulejmanem.

Na próżno jednakże zbiegli okoliczne lasy, nigdzie najmniejszego nie odkryli śladu. Trzeciego dnia wracając do Trok, nieśli na szerokiej burce złożonego Sulejmana, który miotany gwałtownem cierpieniem, uległ gorączce, i nie był w stanie o własnych siłach dowiec się do domu.

Tegoż samego wieczora przybył także do domu Rudolf, żadnych, nad nam znane, nie powziawszy więcej wiadomości.



XI.

MONAJCIE.

W granicach Kowieńskiego powiatu, wśród ciemnego boru, stały dawniej porozrzucane tu i ówdzie domostwa, wieś Monajcie składające. Na próżno chcielibyście dzisiaj wynaleść toż samo położenie. Gdzie las, pola; gdzie posady domów, stoletnie stoją sosny; a w końcu, na wyschłym łożysku stawu, wznoszą się dwa szeregi jednostajnej wielkości i kształtu wieśniaczych mieszkań. Jeżeli przeto przy-

padkiem zabłądzicie w ustronny Europy tenkatek, i nie znajdziecie, jak o tém uprzedzilem, (i jak Dumont d'Urville nie znalazł na Isle de France, przy kościółku w Pamplémousses, grobu Pawła i Marji), nawet śladu spopie lenia starych Monajci, to nie zechcecie obwiniać mnie o wprowadzenie was w błąd, bo istotnie, na mój szacunek i życzenie dla was, mówię szczerą prawdę, i radbym bardzo abym kiedyś posady starych Monajci mógł wam wskazać. Z tém wszystkiem, lubo w opisanym obrazie, obecnie zawiedzeni bylibyście, wszelako, jeżeli chcecie uwagę na miejscowość zwrócić, i śladami memi idąc, prawdę koniecznie odkryć, przekonacie się, że ja nie stwarzam ideałów, lecz rzeczywistość wam maluję, wprowadzie dawną, zastarzałą i zapomnianą, ale przecież wartą tyle, aby po wspaniałym litewskim lesie

przejsć się, okiem na uplynione wieki rzucić, i w przeszłości poszukać skarbów mądrości, mającej nam przewoźniczyć w biegu przyszłego życia, wykazującej słabość stworzenia każdego, wielkość stwarzającego, siłę jego ręki, i trwałość praw ugruntowanych na opoce obopólnej miłości i czystej prawdy.

Możem życzycie, iżbym wam objaśniał położenie dawnych Monajci, może się zżymacie, lub, lepić powiem, poziewacie, ja wiem, że powinienbym was oszczędzać i nie nudzić, ale czyliż jestem winien, iż mi drga ręka i nie pozwala opuścić wywołania z prochu zapomnienia jednej, nie zbyt obszernej, litewskiej wioski!!!

Tu, gdzie teraz dwa szeregi dymnych, pochylonych w bagnistej ziemi, stoi domów, niegdyś w przezroczystej wodzie stawu, przeglądało się

słońce, i, prawdziwie, musiała ta planeta pokochać się w tym zwierciadle, gdyż pierwszy promień kąpała w spokojnej jego toni, ostatnim przesywała złotym sznurkiem powierzchnią, tak, jakby kochanek czulem uściśnieniem żegnał ulubioną, i natchniony boskim duchem, ducha tego myśli jednoczył z myślami serca kochanki!.. Dalej, za karłowatemi krzewami, otaczającemi pobraża, na okalającym staw wzgórzu, wyniosłe swe szczyty okazywały posępne sosny, a za tym dopiero pasem czarnego boru, w pośród przerzedzonych drzewin, w nieporządku, i w znacznem oddaleniu jedna od drugiej, pobudowane były włościńskie zagrody, otoczone owocowemi drzewami i kwiecistemi krzewami, bardziej jeszcze umilającemi rozkoszne to miejsce.

Na początku lata, gdzie rzuciłeś

okiem, widziałeś wieniec róż uśmiechających się, wabiących, zdających się mówić: *podziwiał i kochał mnie*, otoczony całym orszakiem młodzi bogatej Flory. Było to może jedyne miejsce, gdzie wieśniacy tak bardzo starannie pielęgnowali kwiatki, gdzie wszystko oddychało wonią pięknej natury, i łączyło czystość, niewinność i braterstwo, w sploty jednego koła.

W tém lubem ustroniu mieszkała mleczna matka Edwarda, Katarzyna, rządna, pracowita, pocziwa kobieta. Nie zawsze zaczęła matka mleko, wykarmia również zaczęte dziecko. Mamy w tym przykład na Edwardzie, i widzimy rażącą sprzeczność pomiędzy dobrą wieśniaczką, a złym wychowawcą szlacheckiego dworu.

Od czasu, w którym Edward odkrył przed Katarzyną swe zamiary, wieśniaczka, urządziwszy dla mającej być

porwaną dziewczyny schronienie, nie myślała bynajmniej z pod strzechy swęj oddać ją komu innemu, tylko ojcu; lubo poprzednio oświadczyła, iż odwiezie ją do swęj krewnej. Przyczyną tęj zmiany nie było nic innego, nad to, że kuzynka jej w odosobnionej osadzie z mężem mieszkając, nie mogłaby, w razie potrzeby, nie tylko mieć starania około dziewicy, ale nawet postawić Edwardowi oporu, jeźliby ten cokolwiek przeciwnego jej bezpieczeństwu uczynić zamierzył.

W chacie Katarzyny było trzech dziarskich synów, i dwóch hoźych parobczaków, a oprócz tego, sąsiedzi gotowi byli nieść pomoc w każdej chwili. Była ona zatem pewną, że Edwarda potrafi utrzymać na wodzy. Plan ten, usnuty w prostego rozumu i serca głowie, o ile odpowiadał prawom ludzkości, o tyle znowu przyczy-

nił się do obecnie widzianej przemiany w położeniu Monajci.

— Noc już była, gasły kolejno światelka, kiedy przed wrotami Katarzyny, uderzył kopytem rumak Edwarda. Kobieta śpiesznie wybiegła, i przy pomocy Darwerda odebrała od Zabohoskiego bezprzytomną Ayeszę.

— Katarzyno, ratuj ją, — zawołał młodzieniec, — bo dalibóg scena ta już mi się naprzykrzyła, — a masz w domu wódkę?

— Nie, paniczu.

— Zjedzże djabła, — krzyknął rozgniewany Darwerd.

— Nie gniewaj się, kochany Jacku, — przerwał Edward, — Katarzyna postara się o nią.

— Zaraz, zaraz paniczu, będzie wszystko, tylko pozwól mnie pierwój ratować tę biedniaskę, aż żal bierze, taka blada, — dodała wieśniaczka, gdy

wyniesione przez syna światło, rzuciło swą jasność na lica Ayeszy.

— No, to jeszcze nie źle idzie, — przemówił znowu Darwerd, — pewno także dostaniemy przekąski.

Obadwaj rycerze weszli do chaty, a gdy Katarzyna zajęta była ratunkiem Ayeszy, Edward i Darwerd chętnie opowiadali przed stojącymi wieśniakami o popełnionym napadzie, z tą zimną krwią wyuzdańców, którzy ją tylko w bezpiecznem miejscu zachować umieją.

Późno już było, Darwerd jechać nie chciał, lecz złożyłwszy na stole ręce, wsparł na nie głowę i usnął. Edward szukał wygodniejszego posłania, udał się przeto do stodoły i tam na noc pozostał.

Gdy wyszedł z chaty, wieśniacy spojrzeli po sobie, nie jeden wzruszył ramionami, a najstarszy syn Katarzy-

ny, przewidując, że przybyłcy wcale im się nie podobali, rzekł:

— Matka wie, co robi, idźcie spać, ja idę do spichrza.

Rolnicy udali się na spoczynek, a pierworodny syn Katarzyny, przeszedłszy nie wielkie podwórko, skrzypnął drzwiami i stanął obok matki.

— Nie ma rady,—mówiła doń litościwa wieśniaczka,—żyje, to prawda, ale zupełnie straciła rozum, biedne dziecko, gdybym wiedziała o mieszkaniu jej rodziców.

— Jaby tam zaraz poszedł.

— O wiem, że serce twoje, w każdej chwili gotowe nieść pomoc bliźnim,... ale cóż zrobimy... ten nie dobry Edward, nie zechce powiedzieć, a sami jakże się dowiemy?

— Może w ich dworze będzie kto?

— Rozumiem, to byłoby próżne tylko usiłowanie... ale cicho,... usnęła...

idź do chaty,... ale nie, przynieś tu wiązkę siana.

Wkrótce Katarzyna na przyniesionem sianie położyła się, a syn jej wrócił do chaty, zapalił fajkę i czuwał do wschodu słońca.

W tém stanie przetrwała Ayesza dwa tygodnie. W pierwszych dniach dowiadywał się o nią Edward, ale później, bądź to, że uczucie miłości wygasło, bądź też dla innych przyczyn, nie odwiedzał wcale Katarzyny, która nie mogąc sama przez się żadnej ulgi przynieść choréj, postanowiła nakoniec użyć pomocy czarownicy z Giwokor.

Pewnego dnia, wybrała się przeto do Medy, poprzednio zmówiwszy różaniec. Wzięła z sobą pół kopy jaj, ser i garnczek masła, aby darami temi skłonić starą do opuszczenia rodzinnej wioski, gdyż wiedziała bardzo

dobrze, iż Meda nigdy jeszcze siedzi-
by swęj nie opuściła, pomimo wzywa-
nia jęj nawet przez znakomite rodzi-
ny. Lubo przeto nie tuszyla sobie, aby
udało się jęj skłonić starę do przyby-
cia do Monajci, jednakże, miała na-
dzieję, że prośbom jęj odmówić osta-
tnia nie zechce.

Katarzyna, idąc wązką, pomiędzy
zaroślami wijącą się ścieszką, posta-
nowiła do prośby swęj użyć najtkli-
wszych wyrazów, jakie w ubogim na-
rzeczu wiejskiego słownika, zebrać
tylko mogła, i w tym celu zatrzymy-
wała się często, wyszukując w umy-
śle swoim słów odpowiednich jęj pla-
nowi.

— Gdy więc tak łamała sobie głowę,
nie spostrzegła, że kilku ludzi ślad
w ślad za nią postępowało, i że zatrzy-
mywali się zawsze, ile razy Katarzy-
na to uczyniła.

Była to banda Buczysa. Kirlik skrył się w krzaki, wyprzedził wieśniaczkę i zastąpił jej drogę.

— Niech będzie pochwalony, — przemówiła, chcąc go ominąć, kobiecina.

— Na wieki, — odparł Kirlik, — ale zatrzymajcie się, i pokażcie co niesiecie?

— Tak, tak, — odezwało się kilku nadchodzących mężczyzn.

— Jeść nam się chce, odprzedaj, na targ daleko, i z taką odrobiną iść nie warto.

— Nie mogę, wielmożni panowie, — odparła przestraszona kobieta, — ja na targ nie idę, nie na sprzedaż, lecz na podarek niosę moich kur jaja.

— Pewno dziesięcinę do dworu? — zapytał Czywas.

— Nie do dworu.

— To może dla tłustego popa, — śmiejąc się zawołał Kaziulis, — przy-

sięgał na ubóstwo, może się obejść bez masła.

— Nie.

— A więc dla kogóż to niesiesz?—
łagodnie przemówił do niej Buczys.

— Darujcie mi państwo,.. ja idę do czarownicy Medy.

— A to jaki macie interes?

— Ah! wielmożny panie, nie moje i nie moich to dzieło, ale ludzkie, jakże mam biedną dziewczynę opuścić, -- i opowiedziała o chorobie dziewczicy.

— Moja matko, Meda do was za podarek nie poszłaby. O to, sprzedaj nam co niesiesz, powrót do domu, a ja cię upewniam, że Medę do was przyprowadzę.

— Ale pewno, panie?

— Pewno, jeszcze nikogo w niczem nie zawiódł; i cóż chcecie za waszą żywność?

— Miałam to odnieść Medzie, ale

kiedy obiecujecie ją przysłać, to rachujmy się po ludzku, mnie się nic nie należy.

— O! nie z tego, niewiasto, dosyć tyle, wszakże prawda,—rzekł Buczys wścibiając w dłoń Katarzyny czerwony złoty.

— Oh! dla Boga... ja tego przyjąć nie mogę, to tak wiele znaczy.

— Przyjmij, my cię nie krzywdzimy, szwedzkie to złotko, nie mało naszego zabrali, a nas nie wiele kosztuje,... jeden strzał.

Katarzyna wahała się jeszcze czas niejaki, a tymczasem bandyci odeszli, i chociaż pobięła za nimi, aby im pieniądze zwrócić, jednakże nie mogąc dogonić, powróciła około południa do domu.

Kiedy rzeczy taki obrót miały w Monajciach, zobaczmy co się wówczas w Trokach działo.

Rudolf pozostawiawszy przyjaciela swego w domu jego ojca, wsiadł w czółno, i smutny wziął się do wiosła, którym powolnie robił, pogrążając się w złowróżbnych myślach.

Nagle ożywiło się jego czoło, zabłysły oczy, — może Sulejmanowi udało się wynaleść, — sam do siebie przemówił, i żywiej począł żeglować. Zdawało się, że nadzieja ta zamieniła się w pewność, tém spieszniej więc zdążył do brzegu, aby mógł rychłej troskliwość swoją zaspokoić.

Lekko wyskoczył na ziemię i prosto udał się do tatarskiego domku; gdy wszedł, zastał mnóstwo zgromadzonych osób, pomiędzy którymi ujrzał także swoją matkę. Zbliżył się, mniemając, że ta milcząca grupa otacza odzyskaną Ayeszę, którą w każdym przypadku, spodziewał się zastać chorą, jakże się przeto zasmucił, kiedy się

dowiedział, o bezskutecznych poszukiwaniach Tatarów; a przed oczyma miał widok bolesny, cierpki, widząc klęczącą Misallę przy łożu bez nadziei leżącego poważnego starca; wyschłego, wybladłego, z rozrzuconym siwym włosiem, z zapadłemi lecz gorejącemi oczyma, bezmównego, z sinemi ustami Sulejmana.

Zapłakał, a potem tłumiąc łkania, i ocierając rękawem kapotki rzewne łzy, postąpił do matki, ucałował jej ręce, przenikająco spojrzał jej w oczy, i znalazł w nich gorzką, niepokieszącą odpowiedź.

Zachwiały się pod nim nogi, usiadł na stolku i plakał jak dziecko; plakał, ale gdyby kto zażądał od niego objaśnienia, nie byłby w stanie takowego udzielić, tak ogrom nieszczęścia go przygniótł, że pomieszały się myśli, a

zawiedziona nadzieja, pozbawiła go ostatnich sił.

Nazajutrz Gabrjel miał się lepiej; Misalla usiłowała pocieszyć biednego młodzieńca, ścisłała jego dłonie, nazywała bratem, pragnęła okazać z całym uczuciem wdzięczność za podjęte usługi. Rudolf patrzył na nią, na ten drugi obraz Ayeszy, z rozrzewnieniem, z czułością, a Misalla mniemała czytać w jego twarzy miłość.

Myliła się, była miłość, ale nie dla niej.

Rudolf nad wieczorem pożegnał matkę, mówiąc, że się udaje do Jana. Rzeczywiście nie same tylko odwiedziny miał na celu, przeciwnie, zamierzył on nowe czynić poszukiwania, a nawet w ostateczności zmusić gwałtem Edwarda do wykrycia miejsca schronienia Ayeszy.

— Słuchaj Janie, — mówił do przyjaciela, skoro wszedł do jego domu, — jeszcze chciej mi towarzyszyć, muszę z narażeniem życia wynaleść tego anioła. Co ona tam za cierpienia znosić musi.

— I cóż zrobimy? — smutnie zapytał Jan.

— Ha, pogroziemy temu nic dobremu.

— Pogrożki, nie wiem czyli odpowiedzą naszym zamiarom.

— A więc cóż zrobić?

— Wiesz co, niedaleko ztąd mieszka czarownica, Medą ją nazywają, pójdźmy do niej, może wykryje gdzie jest ukrytą Ayesza, a przecież wróżba jej wcale nam nie zaszkodzi.

— Zdaje mi się, że także nie pomoże, i dla tego ja do niej nie pójdę. Z resztą, otwarcie ci powiadam, nie wierzę w czary.

— Wierz lub nie, a jednak usłuchaj

mojej rady; upewniam cię, że więcej nam Meda pomoże, aniżeli ciąгла bieganina, chociażbyśmy cały powiat przetrząść mieli.

— Nie, nie pójdę, a jeżeli mi towarzyszyć nie chcesz...

— Ja miałbym cię opuścić? nie; dawałem ci tylko radę; niepodobała ci się, to możesz ją odrzucić.

Rudolf stał i oczekiwał na Jana, który przewdziewał odzież, a potem podsywał na panewkę świeżego prochu, zarzucił przez plecy torbę, wziął strzelbę, i rzekł:

— Gotów.

— Dobrze.

Milcząc zdążali ku dworowi Zabohoskich, Jan zdawał się nie mieć żadnej nadziei w skuteczności przedsięwzięcia, w ruchu Rudolfa dostrzegać się dawały gwałtowność i chęć przedszego ujrzenia przeciwnika. Nie dłu-

go doszli do miejsca, na którem poprzednio przez dni trzy wartowali. Jan udał się do dworu. Rudolf pozostał przy kamieniu *Czaszka*, obejrzał swą strzelbę, odwiódł kurek, i z takim sposobieniem oczekiwał na nowiny.

O kilkadziesiąt kroków ozwała się trąbka myśliwska.

— Może to on, — cicho do siebie przemówił Rudolf, i ruszył w kierunku słyszanego odzywu.

Przeczucie go nie omyliło. Pomiedzy dwoma wzgórzami, w miejscu, jak na litewski las, dosyć odkrytém, spotkał Edwarda. Krew mu zawrzała w piersiach, jednakże usiłując utrzymać umiarkowanie, zbliżył się do niego, i, śmiało patrząc mu w oczy, zapytał:

— Proszę powiedzieć, gdzie jest Ayesza?

— Co?

— Gdzie jest Ayesza?

— Precz, chamie.

Rudolf cofnął się nieco, zatrzęsł, kolory gniewu okryły twarz jego, tupnął nogą, uderzył o ziemię kolbą, i krzyknął:

— Nikczemniku, odpowiadaj, albo trupem padniesz,— i podniósł broń do wystrzału.

Edward plunął mu w twarz; a w téj chwili rozległ się wystrzał.

Rudolf tak był wzruszony i przejęty doznaną obelgą, że mimowolnie wypalił, i chybił. Spostrzegłszy Edwarda również chcącego do niego wystrzelić, dobył strzeleckiego noża, rzucił się na niego, obalił go na ziemię, i, przykładając żelazo do piersi, domagał się odpowiedzi na pierwsze swe zapytanie. Bylby może przełęczniony Edward żądaniu jego zadość uczynił, gdyby w téj właśnie chwili nie nadbiegło kilku towarzyszących Edwardowi my-

śliwców, którzy pochwycili i związali Rudolfa, najgrawając się, że mu wkrótce *do twarzy* będzie wisieć na szubienicy.

Z pochwyconym jeńcem udali się wszyscy do wioski S***, aby dopiero ztamtąd zawieść rozbójnika, tak bowiem uczczono Rudolfa, z tryumfem do Trok, i poddać mieszczanina za zamiar zabicia szlachcica, karze śmierci, jaką wówczas prawo przepisywało.

Gdy więc Jan powrócił do kamienia *Czaszka*, gdzie był pozostawił Rudolfa, i nie zastał go w tem miejscu, oczekując napróżno do wieczora, niespokojny powrócił do domu.

Młody Czekanowski związiony został do Trok i osadzony w miejskim ostrogu. Ani matka, ani nikt z przyjaciół nie wiedział, co się z nim stało, a tymczasem Zabohoski miał sposobność do działania, do poburzenia

szlachty całego powiatu przeciwko więźniowi, i do zyskania nieomyślniej nadziei, że tenże niewątpliwie na gar-dło skazany będzie.

Kilka dni upłynęło, a jeszcze proces rozpoczętym nie został. Edward nie bywał w Monajciach, bo potrzeba zgubienia człowieka, niedozwalała mu myśleć o kobiecie, której nie wiedział, czy zdrowie czyli też wydarł życie.

Przez te kilka dni Jan biegał po wszystkich okolicach, ale nigdzie nie mógł o przyjaciela swoim najmniejszego powziąć śladu. Postanowił na koniec udać się do Medy. Skoro ta myśl zjawiała się w umyśle jego, doprowadzić ją bezzwłocznie do skutku, za najpierwszy uważał obowiązek.

Równy z świtem, dnia następnego, udał się do Giwokor, a słońce jeszcze nie weszło, kiedy już w chacie stariej się znajdował.

Opowiedział wszelkieszczegóły zaszłych od dziesięciu dni wypadków, a stara pomyśliwszy przez chwilę, jakby starała się z posiadanych wiadomości, pewnych tylko udzielić, odpowiedziała, że o dziewczynie nie może zaraz zaspokajającej dać odpowiedzi, jednakże z pewnością twierdzić może, że Rudolf osadzony jest w trockim więzieniu.

Jan z przerażającą tą wieścią, przybył do Trok, dla dokładniejszego przekonania się o prawdzie słów Medy.

Stara z Giwokor, o zaszlem pomiedzy Edwardem a Rudolfem w lesie zdarzeniu, miała sobie doniesieniem przez Kirlika, który wtenczas, kiedy myśliwcy wiązali ostatniego, zrządnym hałasem zwabiony, podszedł krzakami aż do miejsca czynu, a potem śledził ostrożnie, co się z pojmanym zrobiło.

W nocy, bandyci zgromadzili się wszyscy w chacie Medy, która zawiadamiając ich o dopełnionej przez Edwarda zbrodni porwania dziewczicy, poleciła zarazem im wyszukać Ayeszę. Od téj nocy kilka dni wywiadywali się oni napróżno, aż nakoniec szczęsny traf sprowadził Katarzynę, od której zakupiwszy żywność, w rozmowie z nią mianej zdołali pochwycić słów kilka, naprowadzających ich na pewne przekonanie, że chora dziewczyna, jest właśnie poszukiwaną.

Jak już powiedziałem, spotkanie się bandytów z Katarzyną, nastąpiło po dwu tygodniach od czasu napadu i uwięzienia Ayeszy przez Edwarda, dziewięciu dni od uwięzienia Rudolfa, a trzech od wróżby Medy na prośbę Jana.

Buczys z podwładnymi swymi opuściwszy w zadumieniu pogrążoną Ka-

farzynę, zboczył na prawo z drogi i przedarłszy się przez mnóstwo umyślnie nagromadzonych wywroci, wszedł na małą dolinę, przerzniętą strumieniem czystej wody i na tej rozłożył się; aby jednakże dotrzymać danego słowa wieśniaczce, zlecił Kirlikowi zanieść wiadomość o dziewczynie Medzie.

Kirlika znamy dobrze; okrutny i zadowolony zbrodniarz, z odwagą nadludzką, silny, a z tém wszystkiem pełen przesądów i ślepego posłuszeństwa dla swego herszta, pod rozkazy którego dobrowolnie się poddał, zaledwie odebrał polecenie, nie myśląc o posiłku, pomimo, że dzień cały nic nie jadł, wybrał się zaraz do Giwokor, gdzie po dwugodzinnym pochodzie stanął, i poselstwa swego cel starzej Medzie objawił.

— Ah! to dobrze, rzecz bardzo wa-

zna, — rzekła stara, — słuchaj Kirliku, nad brzegiem jeziora, około *Zielonej*, o kilka staj na prawo, wśród gęstego boru, stoi chata, węglarz w niej mieszka.

— Wiem, wiem, u niego ma przytułek od lat wielu siostra Czywasa.

— Zkądże ty wiesz?

— Czegoby też niewiedział Kirlik, wróżyłaś dziewczynie, a ja pode drzwiami słuchałem.

— O! niecnoto.

— No, mówcie tylko, co chcecie, zrobię wszystko, ale dajcie mnie chociaż kilka kartofli, bom głodny.

Stara podała mu miarkę wódki, kawałek chleba i słoniny.

— Doskonale, słucham.

— W tej chacie mieszka Jan.

— Tak, syn węglarza, już o tym wiem.

— Jego przyjaciel uwięziony, dzisiaj go sądzą, jutro pewno powieszą.

— Szczęśliwej drogi.

— Trzeba go uwolnić.

— Uwolnić?—z zadziwieniem zapytał Kirlik,—a to jakim sposobem.

— Jakim chcecie; idź do Buczysa i powiedz mu, że chcę tego koniecznie, rozumiesz; ja się wybieram do Monajci. Pamiętaj tylko, żebyście wieczorem już byli w Trokach, a o północy przyjaciel Jana ma być wolnym, i będzie.

— To tak przepowiadacie.

— Nieinaczéj, włos z głowy wam nie spadnie.

— A, to znowu co innego, teraz poszedlbym na dwudziestu, na ich miecze i noże.

— Bywaj zdrów, ale, ale, gdy się zbierzecie, wstąpisz do Jana, powiesz mu, że jesteście przysłani przezemnie,

on was przewiezie przez jezioro, dalej co macie robić, wasza przezorność i waleczność niech wam wskaże.

To mówiąc, stara opuściła domostwo, Kirlik zjadł chleb i słoninę, a potem zaczął szukać czyli więcej czego nie znajdzie. Omylony jednakże, wyszedł, podparłszy drzwi pustej chałupy drągiem, na znak, że Medy nie ma. Gdyby kto przyszedł do niej wtenczas po radę, byłby nie tknął się drąga, nie zajrzał przez okno, lecz tylko przeżegnawszy się, wrócił z kąd przybył.

Kirlik wstąpił do karczmy w Giwochorach, i kazał sobie dać kwartę wódki, nad którą strawił nie mało czasu, tak, że za przybyciem swoim na dolinę, gdzie Buczys obozował, już go tam nie zastał, a nawet nie wiedział, dokądby się udał. Zasmucony i gniewny sam na siebie, iż opieszalscią swoją naraził interes powierzony mu

przez Medę na zupełne zawiedzenie, nie wiedząc co ma uczynić, zamierzył udać się sam jeden do Jana, i przy jego pomocy oswobodzić Rudolfa.

— Do diabła, — mówił w duchu, przedzierając się przez zarośla, — powiedziała przecież, *nie spadnie włos z głowy*, to się rozumi, czy nas dziesięciu lub jeden, to wszystko jedno... jeżeli przytrudno będzie gwałtem, mam pieniądze; pocziwe szwedziątko, dało się obedrzeć, hm, istotnie pocziwy, nawet broń oddał; — mam pieniądze, przekupię miejskie straże, a sława będzie przy mnie, i na odchodnem podpale im jeszcze ostrog; tam podle mieszkanie i wolałbym się powiesić o to tu, na téj gałęzi, aniżeli być powieszonym wśród miasta na brzydkiej szubienicy.

Tak rozprawiał sam w sobie Kirlik, a tymczasem w Trokach do wię-

zienia Rudolfa wpuszczono bernardyna, aby go przysposobił do wiecznej podróży. Mnóstwo ludu otaczało ostróg, każdy chciał widzieć niewinnie skazanego przez sąd, każdy w myśli pragnął go zbawić od śmierci, ale nikt nie ośmielił się wyznać tego otwarcie przed innymi, bo wiele zbrojnej szlachty zjechało do Trok, a Edward i Darwerd, otoczeni jej tłumami, przechadzali się po ulicach, grożąc każdemu mieszkańcowi, i naśmiewając się, że *pan nauczyciel* wisieć będzie.

Matka Rudolfa nie mogła go odwiedzić. Z chwilą bowiem dowiedzenia się o okropnym losie syna, w niebezpieczną zapadła chorobę, a Jan, który przybył dla niesienia pociechy przyjacielowi, nieodstępnie znajdować się musiał przy łóżku Czekanowskiej, wówczas, gdy Misalla ojca swego także opuścić nie mogła.

Szafranowicz obszedł wszystkie siedziby przyjaznych sobie Tatarów, potem wstąpił do mieszkania Sulejmana, następnie do wdowy Joanny, a ztąd wrócił do domu, rzucił się na kolana przed obrazem Antokolskiego Jezusa, modlił się długo i gorąco, nie zważał bynajmniej, że kur pierwszy już zapiał, i nie myślał wcale udać się na spoczynek.

W tém otworzył ktoś drzwi i po o-macku zbliżył się do łoża jego. Szafranowicz postrzegł człowieczą postać i zwykle: „kto tu?“ zabrzmiało w ciszy nocnej.

— To ja, Jan.

— A co powiesz?

— Umarła...

— Wieczny jej pokój, lepiej; nie przeżyła hańby i śmierci nieszczęśliwego syna.

— Trzebaby go ratować.

— Staralem się o to, ale nie ma nadziei.

— Nie ma, — smutnie powtórzył Jan i zwiesił na piersi głowę.

— Zaledwie kilkunastu mogłem zebrać zuchów, a ich jest więcej jak paraset.

— Ale za naszym przewodem, ruszą się mieszczanie, trzeba by ratować Rudolfa.

Tak Jan, syn węglarza, radził z Szafranowiczem, gdy nagle o ich uszy obily się okrzyki trwogi, pomieśzane z jęklwym głosem dzwonów. Na szwach okna, czerwone, jaskrawo-brunatne zajaśniało światło, przyćmiewane niekiedy, w miarę, jak gęsty dym, pomiatany silnym wiatrem, kłębami swemi zasłaniał płomień coraz bardziej rozszerzającego się pożaru.

Ogień wybuchł w miejskim więzieniu. Strażnik więzienny, myśląc

tylko o własnem ocaleniu, pakował ubogie swe mienie na furę, bynajmniej nie myśląc o uwiecznionych. Rudolf, na pierwsze doszłe go okrzyki, a zaraz za nimi i rozłaczające się po ziemi massy dymu, powstał z łoża, zbliżył się do gęsto zakratowanego okna, i widząc coraz bardziej rozszerzający się żywioł około siebie, szczerze wzniósł do Stwórcy modły, błagając opatrznej jego łaski, dla nieszczęśliwej swej matki.

Zbliżająca się z każdą chwilą śmierć tak okropna, możeby w kim innym zrodziła przestrah i pragnienie przedłużenia życia, chociażby ono haniebnym skonem, nieco później przeciętem być miało. Nie jeden z więźni życzył sobie tego nędznego, *później*, upośledzającego w takim razie godność człowieka, wykazującego bezsilność moralną i nagotę tchórzliwych myśli.

Ale Rudolf błogosławił poniekąd opatrności, że skracając nie jego byt na tej ziemi, ochrania go zarazem od dotkliwszych nad śmierć cierpień, od pośmiewiska ludzi, którzy w dzikości charakteru swego, szyderstwa nawet na ruszłowanie przesyłają.

Temi wzniosłemi zajęty myślami, oddany czystej duchowej pobożności, nie zwracał najmniejszej uwagi, ani na postęp ognia, ani też na wzmagający się coraz bardziej hałas; na jęki nieszczęśliwych, którzy zamknięci w swoich odosobnionych celach, męczeńską śmierć ponosili.

Liczba ratujących z każdą chwilą zdawała się powiększać, a nawet, dało się słyszeć wylamywanie drzwi bliższej celi. Rudolf w chwili jednej uderzony nadzieją ujrzenia matki, kochanki, przyjaciół, stracił całą filozoficzną siłę, jaką był poprzednio na-

techniony, przewrócił stół, wyłamał jedną jego nogę i tą drzwi wyważyć usiłował. Zajęty z całą gorliwością tą niepodobną do skutecznienia pracą, z radością ujrzał wypadające na zewnątrz podwoje.

Jeszcze nie potrafił wytłomaczyć sobie, czyli własnym usiłowaniami, czyli też pomocy obcej winien otworenie wrot, do życia go wiodących, kiedy silne dłonie porwały go i rzuciły na swe barki. Kirlik, on to bowiem był sprawcą pożaru, i zbawcą wielu więźni, unosił Rudolfa, przeskakując przez palące się belki, i zbliżając do wschodów z tą żywą i zwinną lekkością, jaką się tylko ludzie herkulesowej siły odznaczać mogą.

Przybywszy do objętych płomieniem wschodów, Kirlik zatrzymał się chwil kilka, szerokiem, zmoczonem płótnem, które był z sobą przyniósł,

przykrył głowę i piersi Rudolfa, a zasłaniając niem także włosy i twarz swoją, końce szmaty pochwycił w zęby, i rzucił się w płomienie.

— Jesteśmy przecie na dworze, — rzekł cicho do Rudolfa, — powiedz jak się nazywasz? bo już szczęściu wyniosłem, a zawsze nie tego, co mi kazano.

— I kogóż szukasz?

— Powiedz jak się nazywasz, a lepiej, odpowiedz jak na imię synowi węglarza, z przeciwnego brzegu.

— Jan.

— To dosyć,.. bywaj zdrów, a nie leż drugi raz w tę psią klatkę, mnie także chcianoby tu posadzić, ale,.. i zaraz.

Z temi słowami znikł Rudolfowi z oczu.

— Ach! matka,.. pójdźmy tam, uściśnąć ją, ostatni raz w życiu, bo po-

wrócę, jestem niewinny, a niewinnemu śmierć nie straszna.

I Rudolf poszedł do chaty Joanny Czekanowskiej, aby ucałował i łzami oblał zwłoki matki.

Drzwi zamknięte; puka, nikt nie otwiera; kołacze mocniej, milczenia nawet szczeknięcie psa nie przerywa.

— Matka zapewne u Sulejmana.

Wrócił się na ulicę i skierował drogę do Tatara. Tu był szczęśliwszy. Drzwi mu otworzono, Misalla przyjęła go na progu, pytając:

— I cóż?... czy już wiesz?

— O czem?

— Biedni my.

— Na Boga, czyliż jakie nowe nieszczęście zagraża?

— Nie, ono już spełnione, musisz kielich goryczy do dna wychylić.

— Zmiluj się... objaśnij dokładnie.

— Idź do Szafranowicza.

— Jakże się twój ojciec ma?

— Zdrowszy, już może o własnej siedzieć sile.

— A o Ayeszy?

— Nic nie wiemy.

— A mojej matki tu nie ma?

— Idź do Szafranowicza.

— Byłem w domu, zamknięto; psa nawet nie ma, matka moja musi być u was.

Misalla nieprzyzwyczajona kłamać, a nagłona zapytaniami do odpowiedzi na nie, rzuciła się z łkaniem na piersi Rudolfa, boleśnie wołając:

— Ona u Boga!

— Nie... to za wiele... to nie prawda... nie, prawdą być nie może; gdzie moja matka, matka najdroższa, zlitujcie się, powiedźcie prawdę, ... moja matka, matka... — Zamilkł, muskuły twarzy ściągnęły się konwulsyjnym ruchem, ręce wyprężyły się,

oczy kolem stańely, i tak, jak piorunem rażony, Rudolf prawie skamieniał.

Sulejman usłyszał ten przenikliwy, rozpaczliwy wykrzyk, powstał z łoża, chwiejącym krokiem wyszedł dopierwszej izbedki, i zoczywszy Rudolfa dotkniętego najżywszym żalem, słowami ewangelicznej pociechy, słowami Chrystusa Zbawcy, pocieszał swego przyjaciela.

Ale, kiedy nic nie skutkowało, Sulejman, głos zmieniając, uroczyście zawołał:

— Jam jeden winien, jam na karę zasłużył, Boże...

— O! wstrzymaj się, wstrzymaj ojczy, — krzyknął z letargicznego osłupienia obudzony siłą wyrazów jego Rudolf, — nikt z nas nie winien, Bóg dobry, nie sarkaj.

— Synu tej miłej dla mnie ziemi,

tyś prawdziwy sługa Boga, niosłeś pomoc nieszczęsnemu ojcu, lży w źródle ich chłochałeś otrzeć, życie w ofierze ponieść zamierzyłeś, straciłeś matkę, pozwól, niech będę twoim ojcem, niech córki moje będą dla ciebie siostrami. Ja i one, wszystko poświęcimy, aby ci umilić pielgrzymkę na świecie, a nasza miłość, prawdziwa, ludzka, zaprowadzi nas kiedyś do mojej Klary, do matki twojej Joanny.

Ostatnie słowa rozrzewniły młodzieńca, zamknięta jego dusza, otworzyła się przez lży serca, wylała się z wszystkimi uczuciami, jakie nią władały, lecz nie szukała ani pociechy, ani ukojenia na łonie rodziny, która do niego braterskie wyciągała dłonie.

— Tak, — rzekł, gdy się nieco uspokoił, — ja się z nią połączę, za kilka godzin, i dla czegoż rozpaczam. Kil-

kogodzinnęj wolności użyję na spędzenie w kole przyjaciół, a potem, potem przedstawię się moim niesprawiedliwym sędziom.

— Jakto, mógłbyś to uczynić? — zawołał przerażony Sulejman, — my cię wszysej tak bardzo kochamy, a ty chcesz nas opuścić?

— Aby połączyć się z matką.

— Ona wypełniła obowiązki, jakie na nią chwila urodzenia włożyła; ale ty, młody człowieku, chcesz samobójcą prawie zostać, oddając się samowolnie pod wyrok, który na cię przedajność i intryga wyrzekła. Przebacz mi, jam stary i prawdę zawsze mówiłem, może nie zgadzam się z twoimi chęciami, ale zapytaj własnego przekonania, a ono, zgłębi tajnic duszy twojej, potwierdzi słowa moje. Straciłeś matkę i straciłeś ją przez nas, chciałżebyś, chrześcijanie, włożyć na

sumienie całej mojej rodziny wyrzu-
ty, żeś i ty życie przez nas także utra-
cił? jakiż cel, jaki użytek z śmierci
twojej? O to, gdy jeszcze możesz nie
jednej nieszczęśliwej istocie dłoń po-
mocy podać, gdy ją możesz zasłonić
przed jej wrogami, nikczemne zamy-
sły ich, silną młodzieńczą prawicą
obalić, i zedrzyć z nich maskę poczi-
wości, pod zasłoną której ciągłych
dopuszczają się bezprawi; gdy swém
poświęceniem się użytecznym stać się
możesz krajowi, ty, niebacznie chcesz
głowę swoją pod miecz katowski pod-
dać. Czyliż, przekonanym będąc o
swej niewinności, o fałszywym oskar-
żeniu i krzywoprzysiężnych świadc-
twach, nie bronić się, nie szukać oca-
lenia, i dobrowolnie ulegać zbrodni u-
kartowanej, nie jest samobójstwem?
Synu, nie daleś sobie życia, i Bóg ci
odjąć takowego nie dozwolił, a jawną

jego mocą, oczewistym życzeniem pozostawić cię jeszcze na ziemi, skoro przed godziną cudownym sposobem z nieuchronnego wyprowadził cię niebezpieczeństwa.

— Prawda, ... cóż mam czynić?

— Wyrok ciąży nad tobą; mężstwem, prawością i poświęceniem się zmazać go potrzeba, przed tobą... Warszawa.

— A wy?

— Dopóki żyję, córki moje mieć będą troskliwą opiekę, gdy umrę, bracia Tatarzy nie odmówią im pomocy; cieszę się w tej chwili, że ich dotąd w niewiadomości o wyznawanej przezemnie wierze zostawiłem.

— Ah, jakże mi trudno z wami się rozłączyć.

— Rozumiem, Rudolfie, ale potrzeba. Wiem, że dobrze nam życzysz, i dla udowodnienia tego, ocal się, powrócisz, przyjmiemy cię z otwartymi

ramionami, a jeżeli już wtenczas zwłoki moje ziemia Trocka pokryje, to jeszcze kwiatki na tej mogile wyrosłe, obróćą swe ku tobie kielichy, i rozleją łzawe krople rosy, w sercach ich zgromadzone, na radosne powitanie ciebie. Tyś mój prawdziwy przyjaciel, tyś brat, ty, pozwól objawić życzenia duszy, syn starego Gabrijela.

— Tak, syn... bywajcie zdrowi... zobaczę tylko zwłoki matki i pożegniam Trockie słońce.



Wiemy z poprzedniego opisanja, że Kirlik mając sobie przez starą Medę poleconem uwolnienie Rudolfa, pozostał w chacie po jej wyjściu, że ztamtąd wyszedłszy wstąpił do karczmy, a przez to nie znalazł na umówionem miejscu swoich towarzyszy. Dalej, że sam postanowił, jakimkolwiek sposobem, wydobyć z więzienia Rudolfa, i

że to dopełnił; — potrzeba nam tylko wiedzieć teraz, jaki był skutek pielgrzymki starej z Giwokor do Monajci.

Meda nad wieczorem przybyła do wsi. Znana przez kilku jej mieszkańców, wkrótce otoczona została przez wielu, wyciągających ręce i proszących o wróżbę.

— Potém, moje dzieci, jest tu u was chora, téj pomoc naprzód nieść trzeba.

— Widzicie, — wołali jedni do drugich kmiotkowie, — nawet wie, gdzie kto zachoruje, jaka ona dobra, chociaż czarownica.

Meda pewnym krokiem zbliżała się do zagrody Katarzyny, która poprzedzona wieścią o jej przybyciu, wybiegła naprzeciw, i ściskając wyschle ręce starej, zaprowadziła ją prosto do Ayeszy.

Gorączka i maligna tak dalece wycieńczyły ciało dziewczycy, że Meda

z przestrachem poznała zbliżającą się ostatnią chwilę jej życia. Długo, bystremi swemi oczyma śledziła oddech chorąg, macała puls, i badała jakich dotąd używano do ratunku środków. Potém, nic nie mówiąc, wyszła z spichrza i udała się do lasu.

Kiedy powracała, znowu gromada wieśniaków zastąpiła jej drogę, i znowu takąż samą odpowiedzią pozbywszy się ich Meda, z całym pakunkiem uzbieranych ziół, weszła do chaty Katarzyny, a gdy, na żądanie, wszyscy ustąpili, ona przysposabiać zaczęła lekarstwa.

Całą noc przepędziła nad tém zajęciem, troszcząc się ciągle nad wypadkami, jakie w tym czasie zająć mogły w Trokach, i lubo wiedziała, że odważni bandyci, na słowa jej, gotowi rzucić się na śmierć widoczną, jednakże będąc przekonaną, iż nie za-

wsze garstka mężnych pokonać może
następczące się trudności, coraz wię-
kszej doświadczała niespokojności.

Z świtem dnia, Meda oddała w rę-
ce Katarzyny przysposobione lekar-
stwa, udzieliła stosownych objaśnień
i ostróg, i opuściła Monajcie, obie-
cując, jak najspieszniej odwiedzić
chorą.

Stara obrała inną a niżeli tę, którą
przybyła, drogę; przykrzejszą wpra-
wdzić, ale znacznie krótszą. Pośpie-
szała ile jej tylko sił starczyło, i nigdy
jeszcze nie czuła w sobie takiej nie-
spokojności, ile w obecnym razie. Nie-
daleko już od Giwokor, spostrzegła
śpiącego pod drzewem człowieka. Nie-
pewność, w jakiej się znajdowała,
zrodziła w niej uczucie silnej cieka-
wości. Lubo śpieszyła do domu, je-
dnakże zboczyła z drogi, chcąc prze-

konac się, ktoby pod drzewem spoczywał.

Był to Pryba.

— Jako, ty tutaj? — przeraźliwie zawołała stara, szarpiąc za ramię śpiącego.

Pryba otworzył oczy, przetarł je z niedowierzaniem, a gdy Meda powtórzyła zapytanie, odpowiedział:

— A gdzież mam być? my tu jesteśmy wszyscy.

— Wszyscy! i Kirlik?

— Tylko Kirlika nie ma.

— I nie byliście w Trokach?

— Nie.

— A Kirlik?

— Od wczoraj go nie widzieliśmy.

— Pewno się upił... gdzież Buczys?

— Czy mam go obudzić.

— Tak, zaraz, natychmiast, ... idź; czy daleko?

— Z pół wiorsty.

— Idź zaraz i przybywajcie wszyscy do mnie, wracam do domu.

— Ależ teraz już dzień.

— Nic nie znaczy, przychodźcie bez straty jednej chwili.

Meda podwoiła kroku i wkrótce przybyła do Giwokor.

— Hultaj, nawet drzwi drągiem nie zaparł,— to do siebie powiedziawszy, stara otworzyła drzwi, i z zadumieniem wstrzymała się.

Kirlik siedział za stołem, przed nim flaszka z wódką, masło, ser i chleb. Na przedpiecku palił się ogień, a przy nim ustawione były dwa wielkie garnki. Meda, u której nigdy ogień w dzień na kominie nie palił się, zapytała:

— Cóż to, takeś wypełnił mój rozkaz?

— Rozkaz nie zupełnie, ale cel osiągnięty, a ponieważ, co miało zrobić sześciu, jeden dokonał, pozwoliłem

więc sobie przekroczyć zasady przez was podane. Wyprawiam bal, na który was także zapraszam. Pałac Trockie więzienie, nie zapomniałem o kurach, trzem łby ukłęciłem, wszystkie trzy upiekę, i, o to widzicie, wodę na oparzenie ich gotuję.

— Prawdaż-to, żeś spalił ostróg?

— Do posady.

— A więźniowie?

— Co zdążyłem, to uratowałem, reszta pewno się spaliła, — obojętnie uczynił uwagę Kirlik.

— A syn wdowy?

— Był ostatni, któregoś wyniósł z płomieni.

— To dobrze. Przebaczam i zaproszenie na ucztę przyjmuje; ale ty pójdziesz do syna węglarza.

— Dobrze, pójdę jeszcze raz spalić ostróg, bo to dosyć łatwo mi udało się, ale pójde nie prędzej, aż kury mo-

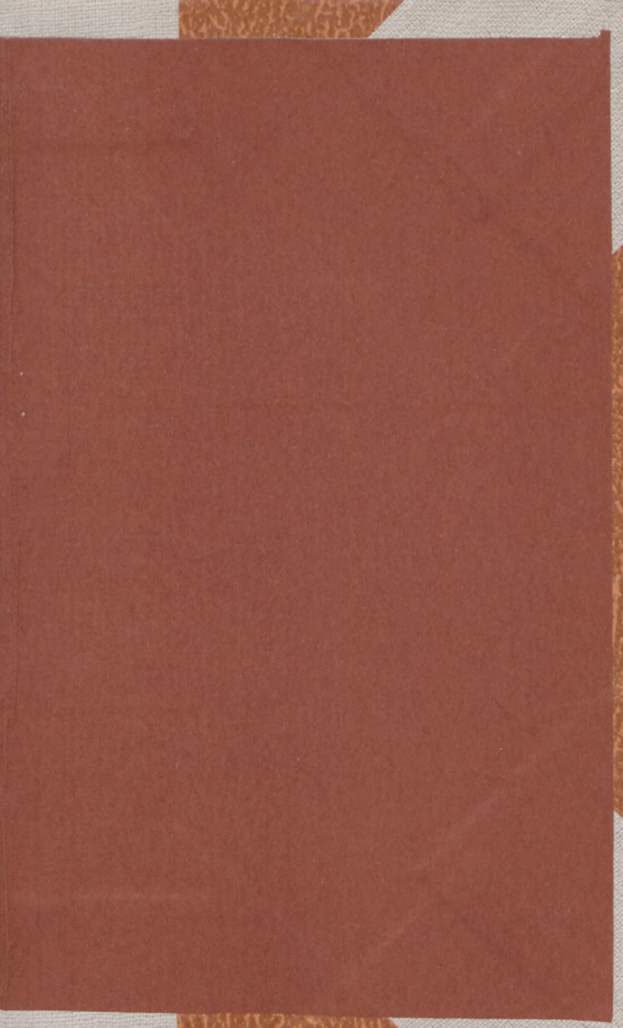
je upieką się, aż wypije wódkę, zjem
pieczone i piwem je poleję.

— Jak chcesz.

— Chcę, jakem już powiedział.

Meda zasłoniła małe okna i poma-
gała Kirlikowi w przysposabianiu bie-
siady, a tymczasem inni bandyci, po-
jedynczo ściągali się do chaty.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.



BIBLIOTEKA
UNIwersytecka
Gdańsk

I 319248